



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





WSPOMNIENIA
O PUŁKU TRZECIM UŁANÓW
BYŁEGO WOJSKA POLSKIEGO

SPISAŁ

Leopold Szumski
OFICER TEGOŻ PUŁKU.



W KRAKOWIE,
W Drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Spółki
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1883.

STANFORD
LIBRARIES

UA829
P7598

NAKLADEM AUTORA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Dywizya ułanów składała się z czterech pułków, a pułk każdy z czterech szwadronów. — Rozłożoną była garnizonem po prawym brzegu Wisły, w Województwach Lubelskiem i Podlaskiem. — Dowódcą dywizyi był generał JAN WAYSENHOFF, który ze swym sztabem stawał zwykle w Lublinie — szefem zaś sztabu dywizyi był podpułkownik, ANDRZEJ STROWSKI.

Brygadę I^{sz} ułanów składały pułki: 1^{sz}, którego dowódcą był pułkownik JAN TOMICKI, i pułk 3^{ci} pod dowództwem pułkownika MICHAŁA KORYTOWSKIEGO.

Dowódcą brygady I^{sz} był generał TADEUSZ SUCHOZREWSKI.

Brygadę II^{sz} ułanów składały pułki: 2^{ci}, z dowódcą JÓZEFEM DWERNICKIM — i pułk 4^{ty}, z dowódcą pułkownikiem ANDRZEJEM RUTTIE.

Dowódcą zaś brygady II^{sz} był generał książę ADAM WIRTEMBERGSKI.





Dywizya ułanów wychodziła corocznie na wiosnę z garnizonów, zbierała się i stawała po wsiach wokoło Łączny na mustry dywizyjne. Corocznie przerzucano pułki po różnych miejscowościach, z których niektóre były bardzo przyjemne, jak np.: Zawieprzyce, Kijany, Łańcuchów. W ostatnim roku na zebraniu zajmował nasz pułk Biskupice, gdzie stał sztab pułku, a nasz szwadron stał w Małgwi. Na mustry dywizyjne pod Łączną przyjeżdżał zazwyczaj Wielki Książę Konstanty. Jeżeli wszakże bywał on na takichże mustrach Szaserów pod Łowiczem, wówczas przyjeżdżał w jego zastępstwie generał jazdy Roźniecki. Manewra odbywały się wraz z artyleryą konną. Wykonywało się najtrudniejsze a szalone obroty; żadnego też roku nie obeszło się bez wypadków śmierci zatratowania i niejednego ciężkiego kalectwa.

Ponieważ zebrana cała dywizya ułanów i artylerya około Łącznej, potrzebowaly znacznego okręgu do umieszczenia, bo konie sprawiają największą trudność, musiały niektóre pułki od placu znacznie być oddalone i właśnie nasz pułk w ostatnim roku najdalsze zajmował stanowisko, co przy zebraniu nużyło wielce żołnierzy i niszczyło bardzo konie.

Nadeszły rozkaz z pułku do wystąpienia, obejmował zwykle najdrobniejsze szczegóły. Już z tegoż wiadano, kto będzie na manewrach, bo, jeżeli w paradzie, to W. Księżę; jeżeli zaś w starszych mundurach, z zapiętymi rabatami i w kaskach ceratą krytych, to Roźniecki. Wówczas w olstrach nie dwa, ale jeden mieścił się pistolet, a drugie olstro służyło za schówkę zapasów na posiłek po trudach, a były-to trudy nielada, bo z mustry wracało się około wieczora ze zmęczeniem nie do opisania.

Z powodu, że znacznie oddaleni byliśmy od placu mustry, dlatego nakarmiwszy konie, wychodziło się z miejsca zaraz z północy, a ze wschodem słońca stawało się na placu w oznaczonym miejscu. Po otwarciu szeregów, zsiadało się z koni, żołnierze otrzepywali z prochu siebie, konie i efekta. Szczęście, jeżeli była pogoda, bo w przeciwnym razie czyściono się z błota. W oznaczonej godzinie wszystko stało w szeregach w porządku.

Jak się wyżej powiedziało, jeżeli przyjazd W. Księcia nastąpił, to trwożył wojsko, bo znany jego niestały humor i niczem niehamowana porywczość, była nadzwyczajnie przykra. Prawie zawsze jednak odjeżdżał zadowolony.

Inaczej rzecz się miała z Roźnieckim, który jako generał jazdy sam tylko przyjeżdżał na mustry. Znienawidzony ten w wojsku Perekińczyk, brudny na duszy i ciele, w ubiorze nader zaniedbany, zawsze prawie po bezsennych nocach przy grze w karty i pijatyce, nietrzeźwy, ufny w protekcję W. Księcia, najbrutalniejszy impertynent, zameczał i konie i ludzi. Niejednokrotnie dywizya zebrana długo czekała na placu, kiedy on wprost z nocnej hulanki siadał na konia. I dlatego wśród największego upału odbywały się manewra, które rano odbyć się mogły. Winieniem tu zanotować próbki brutalności, jakiej się Roźniecki niejednokrotnie z oficerami dopuszczał, i dlatego ludzie honorowi uznali, że taki spodony nikczemnik nikogo obrazić nie mógł.

Przy defilowaniu powiedział jednemu, zwróciwszy mowę niby do konia: »Oj koniu! koniu! jakiego ty osła na sobie nosisz!« Innemu zaś, który był istotnie słaby, a jednakże dla kompletu wystąpił: »Wisisz waćpan na tym koniu, jak pies na płocie!« Takie i tym podobne brutalności raniły serca, ale trudna była rada, bo wiadano, kim był, a takim wówczas wszystko było wolno. Ci jednak, tak boleśnie dotknięci oficerowie, z wielkim żalem kolegów, podali się do dymisyi.

Raz także, pułki zebrane na placu czekały na owego opilca, a konie niecierpliwiły się długim staniem, a jeszcze i robactwo im dokuczało, nadjechał przecież, i jak zwykle, objeżdżał pułki. Właśnie, kiedy przejeżdżał przed naszym pułkiem, a pułkownik go przeprowadzał, z szeregu wysunął się koń i w największym pędzie uniósł żołnierza. Roźniecki się zatrzymał, zdjął stosowany kapelusz i pokłoniwszy się nim, zaintonował: »A kiedy odjeżdżasz, bądźże zdrów!« Naraz, zwróciwszy konia, zawołał: »Pułkowniku! co to znaczy? Jak może taki koń znajdować się w szeregu?«

Pułkownik zmięszany tłumaczy się, że to koń młody i pierwszy raz się uniósł, a tą razą mówił prawdę i zaręczył, że go zaraz każe wyranżerować. »A jak się teraz luka w szeregu wypełni?« — zapytał Roźniecki. Co do luki w szeregu, jakoś temu można było zaradzić, a co do reszty, jakoś tę sprawę zapewne jeszcze tego wieczora przy zielonym stoliku między sobą załatwili.

Po mustrach dywizyjnych, w końcu września, pułki wracały na zimowe leże.

Pułk 3ci ułanów rozłożony był w Podlaskiem i zajmował miasteczka: Międzyrzec, Białą, Terespol, Łomazy, a że podczas naszej bytności pod Łączną, Biała przez pożar w znacznej części zniszczoną została i szwadron w niej pomieszczonym być nie mógł, przeznaczono mu na stacyę miasteczko Sławutycze nad Bugiem.

W Międzyrzeczu stawał zawsze sztab pułku, a mianowicie dowódca pułku, pułkownik Michał Korytowski, podpułkownik Bogusławski, major Chmielewski, kapelan pułkowy X. Klemens Szymanowski, lekarz sztabowy Flajszerowski, audytor pułkowy Aleksander Grodzki, przytem jeden szwadron służbowy, muzyka, lazaret, infirmarya, wszystkie zakłady rzemieślnicze, składy mundurów i wszelkich efektów pułkowych.

Przy sztabie pułku w Międzyrzeczu mieszkał także generał Tadeusz Suchorzewski, dowódca brygady Iszej, to jest pułku 1go i 3go, przy którym był adjutantem kapitan z gwardyi Cesarza Napoleona, Kotkowski.

Szwadrony zajęły przeznaczone garnizony; szwadron 2gi, który miał stać w Białej, gdzie były stajnie skarbowe, plac mustry i kryta rajtszula, z powodu zniszczenia przez pożar, z wielkiem niezadowoleniem kapitana, musiał maszerować do Sławutycz.

Tu wszystko trzeba było stworzyć. Konie umieszczono po małych stajenkach, i jedna zaledwie znalazła się stajnia, w której umieszczono cały pluton. Nie było placu mustry, nie było rajtszuli, wszystko to niecierpliwiło kapitana, a był nim Feliks Kleszczyński, bardzo zdolny oficer, ale nadzwyczaj surowy.

Szwadron ten nazywano w pułku szwadronem karnym, a biada temu, kto się w tę prasę dostał, bo literalnie godziny nie było wolnej: a w tym właśnie szwadronie ja od wejścia do pułku służyłem. Plutonami komenderowali: 1^{szym} Brzoska, 2^{gim} Strzyżewski, 3^{cim} Długoszewski, 4^{tym} Kotowicz, do którego ja się zaliczałem.

W tym-to czasie odchodzili każdorocznie wysłużeni żołnierze z dymisją, a zastępowali ich przeuczeni z rezerwy, gdzie znowu w tym czasie nadchodzili rekruci.

Odsyłano wymustrowane konie spokojne do nauki rezerwistów, a do pułku nadchodziły remonty z Ukrainy, gdzie

odkomenderowani oficerowie Kownacki i Sz wajkowski, takowe w Berdyczowie dla pułku zakupywali.

W tym właśnie czasie ogłoszono w rozkazie dziennym awans na oficerów: Wrońskiego, Roli, Górskiego i mnie. Trudno sobie wyobrazić radość, jakiej doznaliśmy, że już przecież będzie można odetchnąć swobodniej. Mnie winszowano, że tak prędko dosłużył się stopnia. Ależ przecie służyłem już lat sześć, a zdawało mi się, że to są wieki, tak ciężką była u nas służba, szczególnie w kawalerji.

Ponieważ awansu w tym roku spodziewałem się, miałem więc prawie wszystko przygotowane, a konia ustąpił mi kapitan, słowem, w tygodniu mógłem już na Saski Plac wystąpić.

Nadszedł rozkaz z pułku, by porucznik Wincenty Długoszewski wraz z przeznaczonymi do szkoły podchorążych podoficerami, stawił się w sztabie, z kąd z całym oddziałem odejść miał do Warszawy. Wskutek tego oddano mi po nim pluton 3ci.

W nowej miejscowości, gdzie szwadron umieszczono, konie były rozrzucone po małych stajenkach, więc dozór był trudniejszy, dla podoficerów praca cięższa; oficerowie też spacer mieli ciągły, a w późnej jesieni nie bardzo przyjemny. Jakoś, zdaje mi się, drugiego czy trzeciego grudnia, zatrąbiono na alarm. Wszystko się zbiegło w stajni, która stała wśród rynku i mieściła cały pluton; załamała się w niej bowiem powała, obciążona furazem. Żołnierze jęli się do ratowania koni, zbiegło się także wiele ludzi z miasta.

Konie jakoś szczęśliwie wyprowadzono i tylko dwa cokolwiek podrapane były. Wynoszono dalej różne efekta, a kapitan, który bynajmniej cierpliwością nie grzeszył, teraz zgniewany, na wszystkich się miotał: na burmistrza, że w słabym budynku umieścił konie; na porucznika Brzosekę, którego pluton mieścił się w tej stajni, jak mógł na to pozwolić, by obciążano furazem słaby budynek. Gdy się

to dzieje, ukazał się podoficer z 4go szwadronu, który spostrzegłszy zebranych oficerów, a wśród nich kapitana, nad wszystkich wzrostem górującego, podjechał i osadził konia. Gdy kapitan się zwrócił, dostrzegł jeźdźca na spienionym koniu.

— Co to jest? — zapytał. — Jak pan śmiałeś tak zmęczyć konia?

Podoficer odpowiedział, że miał rozkaz największego pośpiechu. Trzeba wiedzieć, że był-to u nas grzech ciężki zmęczyć konia w marszu, i tylko przez ścisły post o chlebie i wodzie, w zimnej komorze, mógł być odpokutowanym.

Podoficer wręczył depeszę. Kapitan odebrał takową zniecierpliwiony, szybko rozerwał pieczęć i począł czytać.

Uważaliśmy, że przy czytaniu twarz mu się mieniła, wreszcie odezwał się do nas: »Panowie, coś jest nadzwyczajnego; w tej chwili wychodzimy, strąbić żołnierzy na apel; zapowiedzieć, że za dwie godziny szwadron ma stanąć na placu do marszu gotowy. Forszpanów żadnych, wszystko ma być zabrane, owies w sakwach, siano w furazsznurach na dwa dni, torby do żywienia koni, a teraz konie nakarmić!«

Rozbiegliśmy się po plutonach. Zwołani na apel żołnierze otrzymali najsurowszy rozkaz, by wszystko na oznaczony czas było gotowe. Nie zapomniał jednakże w tym zamęcie kapitan o podoficerze oraz o zmęczonym koniu i kazał go wziąć do swojej stajni.

Okolo godziny 3ciej po południu zatrąbiono »na koń!« Szwadron zebrał się w rynku, dowódzca przejechał przed frontem i zakomenderował: »Rotami od prawego marsz!« Trębacz wyplacił sygnałem wszelkie pretensye i opuściliśmy miasteczko z wielkiem zdziwieniem mieszkańców, nie wiedząc jeszcze, gdzie idziemy i jaka być może przyczyna takiego pośpiechu.

Zwykle przed marszem wysyłano naprzód za kwaternami, wychodzono rano a nie pod noc, jak teraz. Wszystko

to nasuwało różne myśli, a to tem więcej, że już od jakiegoś czasu chodziły głuche wieści, iż się zbrojono przeciw Francji.

W dniu tym powietrze było mocno chłodne, posępne i wkrótce mrok zapadł. Maszerowaliśmy już prawie całą noc mocno zziębnięci. Dlatego podjechaliśmy do kapitana, który zadumany przed szwadronem maszerował, robiąc mu uwagę, że konie bardzo zmęczone, by cokolwiek pozwolił wytoczyć.

— Właśnie o tem myślałem — odpowiedział. — Nie spóźnimy się na oznaczoną godzinę, byle tylko upatrzeć stosowny plac.

Jakoż wkrótce zatrzymał szwadron.

— »Otworzyć szeregi — z koni!« — zabrzmiała komenda.

Kazaliśmy konie karmić w torbach po obozowemu; a było z tem dosyć trudności i tu już starzy żołnierze byli nauczycielami; kapitan tymczasem podjechał pod karczmę i kazał żołnierzom dać po półkwatku wódki.

Największą trudność stanowiło pojenie koni, bo w rzece pić nie chciały; ale za to później, te nasze zepsute pieszczochy ze wszystkim się godziły.

Przed godziną 8mą rano stanęliśmy w Międzyrzeczu. Zastaliśmy tam już wszystkie szwadrony gotowe, czekające na nas tylko, jako najdalej stojących. Zaledwie sformowaliśmy się, nadjechał generał Suchorzewski, a przy nim adjutant Kotkowski, jakoś uśmiechnięty. Po zwykłym przez generała powitaniu, rozeszła się komenda: »Trzema w prawo zajdź, marsz!« Trębacze, jak zwykle, wypłacili sygnałem ułańskie długi i wszelkie pretensye.

Ruszyliśmy traktem ku Siedlcom. W powozie ukazał się także pułkownik Korytowski z podwiązaną twarzą; jakoś mu fluksya serce, zęby i słuch zainflamowała. Podpułkownik Bogusławski prowadził pułk. Spotkaliśmy w drodze aptekę polową, ambulansę, kuźnię polową, kasę i kancelaryę pułkową.

Z tego wszystkiego widocznem było, że wychodzimy zupełnie; ale dlaczego tak nagle i dokąd, jeszcze nam nie powiedziano, tylko głuche wieści obiegały i to bardzo sprzeczne jedne z drugimi.

Kiedy już oddaliliśmy się blisko milę od Międzyrzecza, zatrzymano pułk, kazano w czystem polu sformować czworobok ze szwadronów; w środku stanęli: generał Suchorzewski i jego adjutant, podpułkownik Bogusławski, major Chmielewski i cały korpus oficerów różnych stopni.

Wówczas przemówił podpułkownik, że w Warszawie wybuchło powstanie, że wojsko nasze zmusiło Wielkiego Księcia do opuszczenia stolicy i kraju wraz z gwardyami i że wraca on na Brześć Litewski do Rosyi, a czego od nas kraj żąda, odczytanem zostanie z nadesłanej depechy.

Tu adjutant generała, Kotkowski, odczytał wezwanie od Rządu Narodowego w gorących słowach, wzywające pułk do Warszawy dla obrony kraju i zawiadamiające, że dyktaturę przyjął generał Chłopicki. Na wieść tę rozległ się okrzyk radości, niedający się opisać; bo chwili tej opisać, ani zapomnieć byłoby niepodobna, gdyby życie trwało nawet wieki.

Rozsunęły się szwadrony, kazano zsiąść z koni, a że czas naglił, po obozowemu pospiesznie popaść konie; szwadrony, które tej nocy daleki marsz zrobiły, koniecznie tego potrzebowały. Zalecono pośpiech, popas więc trwał niedługo i wkrótce zatrąbiono »na koń!«

Marsz odbywał się gwarno i wesoło. Przed Siedlcami muzyka pułkowa grała marsza, następnie kilkunastu podoficerów śpiewało marsz Dąbrowskiego. Śpiew ten nie wytrzymałby krytyki, jednakże w chwili ogólnego rozgorączkowania, wywołał on zapał nie do opisania. Cała ludność miasta wyległa i witała przybywających z największą radością.

Jeden szwadron, który był na służbie w sztabie pułku i niedaleki marsz zrobił, stanął w rynku; kazano mu zsiąść z koni, a trzy szwadrony pomaszerowały za miasto, gdzie

były stajnie skarbowe i wielki plac mustry, na którym się rozłożyły.

Wszystko na tym placu zastaliśmy przygotowane do karmienia koni: siano, owies i wodę w różnych naczyniach. Oddano to wachmistrzom szwadronowym do rozdzielania między plutony; znalazła się także beczka wódki i tytoń dla żołnierzy.

Kto to wszystko przygotował wówczas, nie wiem; ale pewna rzecz, że był-to wojskowy, który znał dobrze potrzeby żołnierza. Jedzenia tyle dla żołnierzy naniesiono, że dwa pułki, nie jeden, można było pożywić.

Wyżsi oficerowie pozostali w mieście, gdzie przygotowano posiłek; młodszy zaś, zarządziwszy porządek w szwadronach, powrócili do miasta do wspólnego stołu.

Zjazd z okolicy był liczny, stało wiele powozów, a widocznym było przy powitaniu, gdyśmy wchodzili do miasta, że panie nasze nigdy i nikomu wyprzedzić się nie dadzą; chociaż bez wątpienia niejedną pierś ścisnęła obawa o najdroższe osoby ojca, męża, brata, którzy w wojnie udział wzięść mieli. Z dumą przecież powiedzieć możemy, że są to Westalki, w których sercu ogień święty miłości Ojczyzny wszystkie inne uczucia zagłusza.

W domu na przyjęcie przeznaczonym, w kilku pokojach zastawiono stoły różnemi mięsiami, jako najstosowniejszemi do przyjęcia zbrojnej drużyny; a co prawda, głód nam się mocno czuć dawał po pospiesznym marszu dwudziesto-cztero-godzinnym. Powitani uprzejmie przez gospodarzy, wzięliśmy się pospiesznie do pokrzepienia się, uwolniwszy się tylko od kaszkietów i mieszcząc się, gdzie kto mógł i jak mógł. W użyciu różnych trunków, których nie brakowało, wszyscy ogólnie byli skromni.

Gdyśmy już posileni opuszczać mieli salę, jako wety wniesiono na tacach prześlicznie upięte kokardy dwukolorowe, t. j. czerwone z białem, oraz trójkolorowe, t. j. szafirowe

i czerwone z białem. Dwukolorowe rozebrano zaraz, byli jednakże niektórzy, co wzięli niebacznie jedne i drugie. Zaraz ich nazwano nietoperzami, dlatego, że między ptakami dla skrzydeł zechcą być ptakami, a między zwierzętami myślą. Mieli więc między kolegami za swoje.

Spieszno nam było do szwadronów. Pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, zdążyliśmy szybko na plac, a to tem więcej, że szwadron, który stał w rynku, już odmaszerował. Powróciwszy na plac, zastaliśmy wszystko w porządku: żołnierze byli zadowoleni, że dobrze nakarmili konie i sami się pożywili, a cokolwiek podchmieleni, rozmawiali z mieszczanami, między którymi byli i znajomi, bo tu zwykle stawała rezerwa pułku, przez którą prawie każdy żołnierz przechodził.

Wypoczynek trwał około trzech godzin. Należał on się i koniom i ludziom pospiesznym marszem zmęczonym. Wkrótce pokazał się nasz kapitan, a obszedłszy szwadron, zastał wszystko w porządku. Bardzo był z tego zadowolony, a rzadko się to trafiało.

Odtąd mieliśmy oznaczone stacye spoczynku; poszły rozkazy od właściwej władzy, by wszystko było przygotowane pod najsurowszą odpowiedzialnością, chociaż tego rygoru nie było potrzeba, bo wszyscy i wszędzie z największą gotowością wszystkiego dostarczali.

Jakoż wkrótce wszyscy komendanci szwadronów kazali munsztuczyć konie, nadciągnął także sztab pułku, zatrąbiono »na koń!« i w tymsamym porządku puściliśmy się w dalszą drogę.

Ponieważ szwadron nasz zrobił najdalszy marsz, przeto z porządku wypadło, że zajmiemy najbliższą stacyę na spoczynek. W tak pospiesznym marszu, jaki odbywaliśmy, dopiero w miasteczku Kałuszynie zatrzymano szwadron. Mieścina ta była własnością starego niecnoty generała Roźnieckiego. Chętnieby tu żołnierze zrobili byli jaki wybryk, ale

kapitan surowo tego zakazał z uwagi, że w ten sposób żołnierze się demoralizują.

Dnia 5go grudnia przed południem stanęliśmy na Pradze, wchodząc z muzyką. Przyjęto nas z uniesieniem największej radości, bo chodziły pogłoski, że Wielki Książę, wracając do Rosji na Brześć Litewski, zgarnął nasz pułk po drodze. Była ta wieść bardzo do prawdy podobną, dlatego-to tak ciężano się z naszego przybycia. Pułk sformował się na placu i wysłano doniesienie do Warszawy, że czeka dalszych rozkazów. Wkrótce z wielkim naszym zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że mamy tą drogą wrócić do Siedlec, skąd uda się pułk na posterunek do Wągrowa.

Rozkaz ten ogólnie wywołał niezadowolenie. Po co było forsownymi marszami robić przeszło 20 mil drogi, kiedy można nas było w Siedlcach zawiadomić o naszym przeznaczeniu. Kazano zsiąść z koni i po obozowemu popaść, rozesłano natychmiast stójkowych posłańców z zawiadomieniem, że pułk temczasem stacyami powraca. Praga pożywiła żołnierzy; my zmartwieni, że czuć jakiś nieład w rozporządzeniach, z gościnności poczciwych Prażanów mało korzystaliśmy i żalowaliśmy biednych koni, które się bez potrzeby niszczyły.

Była może godzina 2ga po południu, kiedy po dwóch godzinach spoczynku zatrąbiono »na koń!« Wróciliśmy nocą do tychsamych stacyj, z których wyszliśmy. Witano nas z wielką pociechą, bo się obawiano, że wojsko cofnie się za Wisłę, a mieszkańcy na łup Moskałom zostawieni będą. I tak się, niestety, później stało.

Wróciwszy do Siedlec, zastaliśmy wszystkie nasze tabory zgromadzone, które natychmiast do Wągrowa wysłano. Postarano się o wysłanie rozporządzenia, by po etapach przygotowano potrzebny furaz dla koni i jakietakie umieszczenie; pod wieczór ruszyliśmy w dalszy pochód; w So-

kołowie miał stanąć sztab i jeden szwadron, reszta po wsiach w okolicy, ale bardzo blisko.

W dniu następnym zająć miały, jako posterunek, szwadrony miasteczka Mokobody i Mordy; Wągrów zajął sztab pułku i jeden szwadron; dla naszego szwadronu przeznaczono miasteczko Stardyń. Pułkownik Korytowski, jako chory, zdał komendę pułku z wyższego rozkazu Bogusławskiemu, i już go więcej nie oglądaliśmy; wyzdrowiał z owej choroby dopiero po upadku powstania i jako generał w służbie rosyjskiej sformował żandarmeryą w Królestwie Polskiem. Adjutant pułkowy, porucznik Majewski, przeszedł z awansem do innego pułku; powołano z naszego szwadronu porucznika Strzyżewskiego na adjutanta, a po nim komendę plutonu 2go objął Łącki.

Najpierwej ustanowiono stacye kresowe, by rozkazy pułkowe i raporta szwadronowe szybko przechodzić mogły. Zaczęła się służba ciężka patrolów; podczas zawiei śnieżnych, nad granicę rosyjską do Jabłonny, Kamieńczyka, Ciechanowca i Nura; każdy szwadron miał na trakcie ustawioną placówkę, która przejeżdżających od granicy badała. Podano ze wszystkich szwadronów zażalenie, że żołnierze na czas zimowy byli źle ubrani, a szczególnie, że mają stare płaszcze i liche obuwie, z prośbą, by to wszystko przedstawiono jaknajspieszniej wyższej władzy. Nasz kapitan najgorliwiej tę sprawę popierał; jakoż wkrótce nadesłano żołnierzom krótkie kożuszki i dobre buty.

Na takiej-to, jak powyżej określiłem, służbie, zeszedł czas do końca stycznia. Gdy zaś wieści przez patrole donoszone potwierdzały zewsząd, że wojska rosyjskie koncentrują się nad granicą, z wyższego rozkazu ścisnęły się szwadrony około Wągrowa, a opuszczone stanowiska zajął inny pułk ku nam posunięty.

Jeden z naszych szwadronów zajął miasteczko Miedzną, przez co nasz posterunek w Stardyńi wzmocnił.

Nasz tylko szwadron został w miejscu, ku Bugowi naprzód wysunięty. Ciągłe patrole mijały jedne drugie, rzadko już można było pod dach się schronić, a do tego zima była niestała, marzło i puszczało; Bug dotąd nie był jeszcze zamrznięty, dopiero z początkiem lutego mrozy się wzmogły.

Nasz szwadron odbywał patrole do Nura, które-to miasteczko leży za rzeką. Przewóz przez Bug promem na laskach jest we wsi Łągu. Dokąd Bug nie był zamrzniętym, nie przedstawiał żadnej trudności w przeprawie; byłem też w Nurze parę razy z kolei z patrolem, a dowiedziawszy się od burmistrza o wieściach znad granicy, brałem poświadczenia, które po powrocie przesyłane były przez kresy do sztabu. W ten sposób odbywała się służba bez zmiany, tylko nakazano zwiększyć ostrożność placówek co do baczności widet.

Dnia 7go lutego przyszła na mnie kolej patrolu do Nura, — jakoż pod wieczór już ruszyłem z plutonem. Jeszcze o dobre pół mili od przewozu w lesie Ceranowskim, przez który przechodziliśmy, słychać było huk lodów na Bugu. Uważałem, że niełatwe będzie zadanie przeprawienia się przez rzekę, jeszcze wśród ciemnej nocy. Ale że mus jest wielki pan, a w słowniku ułańskim nie było wyrazu: »nie można,« obmyślałem środki, by wypełnić rozkaz. Winienem tu jeszcze dodać, w jakim porządku postępowały patrole: naprzód szła wysunięta szpica z dwóch żołnierzy i podoficera z dobytymi pistoletami, a za tą w niewielkim oddaleniu postępował oficer z oddziałem. Usłyszawszy z przeciwnej strony nadchodzący oddział, podoficer miał zawołać: »stój! kto idzie?!« Gdy się oddział zatrzymał na to wezwanie, winien był zawezwać: »komendant oddziału naprzód! daj hasło!« Po wymienieniu takowego, każdy z oddziałów we wskazanym kierunku postępował, a swoje patrole często się mijały.

Inaczej rzecz się miała, gdy się zdybało z nieprzyjacielem. Wówczas po wymianie strzałów pistoletowych, zamiast

hasła, jeżeli siła była przeważniejsza, oddział robił obrót na lewo w tył i wracał z doniesieniem, a w takim razie szpica stanowiła aryergardę oddziału i wtedy już sam oficer ją prowadził. Tym razem nie spotkaliśmy nikogo.

Wychodząc z lasu Ceranowskiego, przedstawił mi się widok niebardzo przyjemny: lody szły szalenie. Posłałem podoficera i żołnierza do zastępcy wójta gminy, by go do mnie zaprosili; drugiego zaś podoficera i kilku żołnierzy po sołtysa, żeby zrobiono łówkę po wsi i spędzono ludzi, ilu można, z osękami i łuczywem do świecenia na przewozie. Równocześnie obsaczono przewoźników przy promie. Wkrótce dał się słyszeć tu i ówdzie płacz kobiet, że ich mężów prowadzą na pewną zgubę.

Przyjechał zastępca gminy i zaczął także argumentować, że jest-to czyste niepodobieństwo myśleć o przeprawie i że nie można ludzi na pewną zgubę narażać. Na to krótko mu odpowiedziałem, że tak być musi, że w razie nieposłuszeństwa każę użyć broni, a wtedy wzięto się bardzo energicznie do zebrania zdatnych ludzi i wkrótce zeszło się ich podostatkiem; naniesiono żerdzi, osęk kutych i pozapalano na przewozie światła.

Żołnierze zsiadli z koni i z trudem wprowadzili je na prom, ludzie ze wsi wzięli się do lasek przewoźniczych, a jakaś część żołnierzy do rozpychania kry żerdziami. Z wielką trudnością dostałem się za rzekę, chociaż połowa plutonu została w Łagu, bo nie można było obciążać promu. Z tych, co się przeprawili, musiałem jeszcze zostawić podoficera na straży przy przewozie, by się ludzie nie rozbiegli, zanim powrócę. Z resztą tak uszczuplonego oddziału pospieszyłem do Nura nie bardzo oddalonego i stojącego na wyniosłym wzgórzu.

W miasteczku zastałem ludzi przygnębionych obawą, spodziewali się bowiem co chwila Moskali. Burmistrz, na nogach, jak powiadał, że nikt tej nocy o spoczynku nie po-

myślał. Obawa jest wielka, wojska skoncentrowane czekają tylko rozkazu do przejścia granicy, a może to każdej chwili nastąpić.

Wziąwszy, jak zwykle świadectwo, spieszyłem do przewozu, gdyż nowiny, z którymi wracałem, były nader ważne. Na przewozie zastałem wszystko w porządku, przewieźliśmy się też szczęśliwie. Potem krótko bardzo trwał popas koni, gdyż furaz zarekwirowany dostarczono; podziękowałem ludziom za trudy i chciałem ich uczęstować, ale zastępca wójta przygotował już i posiłek i napitek nietylko dla żołnierzy, ale i dla przewoźników. Wszyscy byli ucieszeni, że się ta niebezpieczna przeprawa udała. Pożywiwszy się, wkrótce pospiesznym marszem wracaliśmy.

Wskutek tej mojej relacyi, nadszedł jeszcze jeden szwadron z Wągrowsa dla wzmocnienia posterunku, bo patrole dniem i nocą ciągle się mijały w drodze ku Bugowi i z powrotem.

Wzdłuż granicy były wówczas ustawione słupy alarmowe oblane smołą, a na wierzchu ich były jeszcze przymocowane baryłki także ze smołą. Istniał rozkaz, by w razie ukazania się w bliskości nieprzyjaciela, słupy te zapalano. W niektórych jednakże tylko miejscach rozkazu tego dopełniono, zapewne z obawy, by nieprzyjaciel nie mścił się za ostrzeżenie o jego nadejściu. Do wykonania potrzeba było zostawić żołnierzy.

Jakoś w parę dni po mnie, 9go lutego zdaje mi się, poszedł z patrolem porucznik Jabłuszewski z pierwszego szwadronu; powietrze było nieprzyjemne, zadymka, noc ciemna; zbliżając się ku lasowi Ceranowskiemu, miał się zetknąć Jabłuszewski z rekonesansem nieprzyjacielskim, a sam prowadził szpicę. Przy wymianie strzałów ciężko raniony, dostał się do niewoli; zginął także żołnierz ze szpicy. Podoficer z resztą plutonu powrócił i opowiadał, że szpicę obsypano gradem kul.

Wypadek ten zasmucił nas bardzo. Po powrocie podoficera z oddziałem, cały nasz szwadron pod komendą kapitana Kleszczyńskiego poszedł na rekonesans. Dowiedzieliśmy się po drodze od uchodzących przed Moskalami ludzi, że dwie sotnie kozaków, które uprowadziły rannego oficera, cofnęły się w lasy ku Bugowi i że już znaczna część wojska nieprzyjacielskiego przez Bug się przepawiła.

Posuwając się naprzód, ujrzeliśmy jakiś znaczny oddział kawaleryi, wychodzący z lasu. Oddział ten, dostrzegłszy nas, zatrzymał się, lecz kapitan nasz, widząc przeważne siły, które się już ukazały, a za nimi mogły być jeszcze większe w lesie ukryte, zatrzymał szwadron, a postawszy chwilę, by dokładniej rozpoznać siły, zakomenderował: »Trzema na lewo w tył!« — i stępo wracaliśmy z powrotem.

W drodze przez kresowego odebrał kapitan rozkaz, by nie zatrzymując się, maszerował do Wągrowa.

Przechodząc, nie zastaliśmy już szwadronu 4go w miejscu, gdzieśmy stali, a strwożeni mieszkańcy, widząc się opuszczonymi, chronili się, gdzie mogli. Miedzną opuścił już także stojący tam szwadron. W Wągrowie zastaliśmy już tylko jeden szwadron 1szy, bo wszystkie tabory i sztab pułku odeszły do Liwa, gdzie i nam ciągnąć dany był rozkaz. Po dalekim jednakże marszu, kazano chwilę wypocząć i pożywić konie, szwadron zaś 1szy miał pozostać w Wągrowie na posterunku; placówka była przed miasto wysunięta i rozstawiono widety. Żartowaliśmy z kolegów, że im dano przed innymi pierwszeństwo, by z kozakami czaj spijali.

Krótko trwał popas. Pospieszaliśmy do Liwa za innymi szwadronami, a jakaś gorączkowa niecierpliwość w przewidywaniu bliskiego starcia, wszystkich owładnęła. Dochodząc do Liwa już pod wieczór, ujrzeliśmy przy moście kompanią piechoty. Widok-to był dla nas przyjemny, bo dawno już piechurków nie widzieliśmy, a chociaż w żarcie przemawiamy sobie, czuje się przecież w krytycznej chwili, że

wzajemnie jesteśmy sobie potrzebni. Serdecznie się też powitaliśmy z nimi.

Do miasteczka dochodzi się przez długą groblę. Płyynie tu rzeczyna Liwiec, bardzo bagnista, do której dostęp jest dlatego trudny; mosty na rzece dotychczas przez naszą piechotę strzeżone, po powrocie naszego szwadronu, jako ostatniego posterunku z Wągrowa, miały być zniszczone. Przed miastem i w mieście stał jakiś pułk piechoty, którego w zmroku nie można było rozpoznać, dalej sześć dział pozycyjnych.

Przechodząc przez miasteczko, widzieliśmy oddziały różnej broni, świeżo nadchodzące, które się na oznaczonych stanowiskach ustawiały. Wśród ciemnej nocy zaledwie odzyskaliśmy nasze szwadrony. Właśnie rozdawano furaz i żywność z furgonów przy świetle, kazano paść konie, rozpalano ognie, które inne oddziały już rozpały i wzięto się do gotowania po raz pierwszy w kociołkach. Starzy żołnierze byli w tej sztuce mentorami, a za to młodzi musieli robić wszelką posługę, jak starać się o drzewo, przynieść wody, która na szczęście była w bliskości. Słowem, zaczęło się słodkie obozowe życie z całym komfortem, bo już i oficerowie wspólny stół dzielili, a chociaż z innego kociołka, to przecież tesame specyały zajadali.

Okolo północy nadszedł ostatni szwadron naszego pułku, naciskany przez znaczne siły nieprzyjaciela, który zajął Wągrów.

Tu więc skoncentrował się cały pułk po kilkotygodniowym rozproszeniu po różnych posterunkach. Z naszego szwadronu podał się wachmistrz Kleczeński do sztabu niższego na oficera do furgonów, który-to stopień za wstawieniem się kapitana uzyskał. Wachmistrem w jego miejsce został podoficer Rutkowski; na podoficera awansował Zieliński. Zmiana ta zaszła w moim plutonie, a mnie sprawiła taką

dogodność, że po wachmistrzu Kleczeńskim dostałem dobrego służbowego konia, a bardzo go potrzebowałem.

Wszystko tu urządzono pospiesznie, by wszelkie tabory wysłać naprzód, ku Dobremu, nim się dzień zrobi, bo się spodziewano, że zaraz zrana usłyszymy koncert działowy. W ciągu nocy nadchodzące oddziały różnej broni, a przeważnie piechoty, zajmowały oznaczone stanowisko na linii bojowej.

Naszemu pułkowi kazano stanąć w asekuracji przy działach, których było kilkanaście na linii. Z kawaleryi można było widzieć po jednym szwadronie 1go i 4go pułku ułanów i dwa szwadrony nowo uformowanej jazdy Mazurów, które nam się podobały. Brygadą naszą dowodził generał Ruttie, były pułkownik 4go pułku ułanów, zatem dobrze nam znany. Jakie pułki składały wówczas brygadę, nikt z nas nie wiedział, a pora nie była stosowną, by się o tem dowiadywać.

Miasteczko Liw leży na wyniosłym wzgórzu. Linia nasza bojowa miała dominującą pozycję nad gościńcem, wiodącym z Wągrowa ku miastu, któreśmy zajmowali — i tu właśnie ustawioną była pół-bateria dział pozycyjnych. Rzeka zaś Liwiec przed miastem szła zakrętem, a brzegi jej są niedostępne z powodu bagien; ustawiono więc resztę dział tak, by na gościńcu od Wągrowa krzyżowo raziły. Za plecami naszymi była ściana lasu, gdzie majaczyły oddziały różnej broni, zapewne by utrzymać nieprzyjaciela w mniemaniu, iż tam mogą być skoncentrowane znaczne siły.

Przed południem pokazały się pierwsze kolumny nieprzyjacielskie od Wągrowa i zaczęły się rozwijać na prawo i lewo gościńca. Wkrótce długa linia bojowa wyciągniętą została, posuwając się zwolna naprzód. Przed tę linią wysuwały się małe oddziały, a rozumieliśmy, co znaczą te małe kupki, które wkrótce głośno do nas odezwać się miały. Nieprzyjaciel rozwinął już bardzo znaczne siły, a ciągle je-

szcze od Wągrowa przybywały wojska. Gdy linia ta zbliżała się ku miastu, dwa bataliony, jeden z prawej, drugi z lewej strony gościńca wysunęły się naprzód i kroczyły ku mostowi. Dotąd była uroczysta cisza, aż przerwał ją huk dział naszej pół-baterji, strzegącej gościńca. Strzały skierowane były do kolumn, które się zbliżały, a że były trafne, widać było po ruchu, jaki się w nich zrobił. Kolumny te zatrzymały się chwilowo, na całej linii nieprzyjacielskiej zrobił się ruch wielki, a kupki owe spiesznie posuwały się naprzód. Za drugim strzałem dział naszych, odpowiedziało na linii nieprzyjacielskiej kilka baterji, obsypując nas kulami.

Tu się zaczęły sztuki łamane: jeźdźcy z końmi wywracali koziołki, a przyznać muszę, że nie podobało nam się to bardzo. Stare wygi napoleońskie, patrząc na nas młodych, uśmiechali się złośliwie zpod wąsa, a ta obserwująca galerja wzbudzała w nas energję.

Że naszym działom nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, bo wojska walczące rozdzielala rzeka, więc kazano nam się cofnąć, by się nie narażać na niepotrzebne straty. Tu sama tylko artylerya mogła z korzyścią być użytą, ona też zwróciła ogień na działa nieprzyjacielskie. Dobra pozycya i wyższość naszej artyleryi, niejedno działo nieprzyjacielskie wkrótce do milczenia zmusiły.

Linia tyralierów nieprzyjacielskich zbliżała się ciągle ku rzece, a zebrana w kompanię, posuwała się do grobli, chroniąc się za różne budowle, których rozbieranie już było przez nich rozpoczęte dla uzyskania materiału na zniszczone mosty; postarano się jednakże, by im ulżyć w tej pracy: kilka rzuconych granatów wypłoszyło ich z tych kryjówek, a budynki poszły z dymem.

Przed wieczorem odkomenderowano nasz szwadron, który drogą ku Dobremu się posuwał. Uszliśmy z milę drogi, kiedy w lesie nas zatrzymano, kazano zsiąść z koni, karmić konie i żołnierzom się pożywić. Rozpalono więc ogień i wzięto

się do gotowania. Miejscowość była dogodna, drzewo i woda znajdowały się w bliskości; tu staliśmy kilka godzin, nareszcie kapitan, zwoławszy nas oficerów, wyjaśnił plan wycieczki, a raczej napadu, jaki mieliśmy zrobić.

Rzecz się tak miała: w miasteczku Jadowie stać miał szwadron kawaleryi nieprzyjacielskiej w rynku, placówkę miał wysuniętą przed miasto i rozstawione widety; chodziło zatem o to, by go z dwóch stron zaatakować. Kapitan dał rozkaz porucznikowi Brzosce, by zatrzymawszy się w ukryciu, później gościńcem zwolna postępował z plutonem jaknajciszej; kapitan zaś miał obejść dalej z tyłu ów posterunek z 3ma plutonami, a gdy trębacz da sygnał do ataku, by równocześnie porucznik Brzoska galopem z frontu na placówkę uderzył. Przewodnik siadł na małego konika i zrównał się z kapitanem. Maszerowaliśmy jakąś wąską drożyną w las, mrok się zrobił zupełny, a że z lancami trudny marsz po lesie, kazano więc wziąć broń do flanku. Tak maszerowaliśmy około godziny, nareszcie ukazało się przecież pole, a niedaleko łuny ognisk w miasteczku. Pospieszaliśmy, ile było można. Jeszcze do miasteczka nie doszliśmy, gdy się już dały słyszeć strzały. Kapitan, nie chcąc narazić Brzoski na walkę o nierównych siłach, kazał zatrąbić do ataku. Galopem puściliśmy się do miasta, ale już szwadron wrogów był w zupełnej rozsypce. Jako łup, dostało nam się 17 koni i 3eh ludzi, którzy, jak się zdaje, sami dobrowolnie oddali się w niewolę, bo podczas ciemnej nocy łatwo im się było schronić. Było w tem spotkaniu kilku żołnierzy nieprzyjacielskich rannych, czy zabitych, trudno było wśród nocy sprawdzić, czas też naglił do pośpiechu.

Nie zatrzymując się, otrzymał jeden pluton rozkaz zabrać powodowe konie i maszerować naprzód, a kapitan z 3ma plutonami trzymał aryergardę na wypadek pościgu. Przewodnik prowadził najbliższą drogą do gościńca, z którego zeszliliśmy. Rano przyszliliśmy pod Dobre, znużeni cało-

nocną poniewierką i stanęliśmy na oznaczonym dla pułku miejscu. Tu wzięto się spiesźnie do paszenia zmęczonych koni, a że i furgony tu zastaliśmy, o furaz więc i żywność nie było kłopotu i spiesźnie je wybrać było można, bo szwadrony naszego pułku jeszcze nie nadeszły.

Co do naszej nocnej wyprawy, okazało się w sprawozdaniu, że porucznik Brzoska, maszerując z wolna ku miastu, spotkał patrol z tamtąd wysłany, a po wymianie strzałów, wiedząc, że nastąpi atak z przeciwnej strony, popędził za ustępującym patrolem, który razem z placówką w nieładzie wpadł do miasta. A gdy i z przeciwnej strony atak nastąpił, ujrzeni się Moskale otoczonymi, a nie namyślając się długo, wszystko poszło w rozsypkę.

A rozsypali się tak z ręcznie dlatego, że stali tu we dnie, znali kierunek dróg i z tej przyczyny małe stosunkowo ponieśli straty. Z naszej strony było tylko dwóch żołnierzy lekko rannych.

Winiennem tu nadmienić, że cała ta nocna wyprawa mogła nas wiele straty kosztować, bo posterunek, na który napadliśmy, stanowił szwadron konno-litewskiego pułku ułanów, który tak mało różnił się w umundurowaniu, że nawet wśród dnia możnaby go wziąć za nasz pułk, i siedział na koniach także kasztanowatych, łatwo zatem mogło się wydarzyć, że wśród ciemnej nocy albo błędnych świateł byłoby zaszło zamieszanie i swoi między sobą mogli się byli wykluczyć; szczęściem więc było, że poszli w rozsypkę i nie przyszło do starcia.

Nadeszły nasze szwadrony zmęczone, ponieważ od dnia wczorajszego z koni nie zsiadały, pełniąc różną służbę obozową. Wzięto się przede wszystkim do żywienia koni, kazono rozpalić ognie i gotować posiłek. Nie było czasu do stracenia, bo już w oddaleniu słyszeć się dawały strzały armatnie. Strata w dniu wczorajszym pod Liwem wynosiła 2 ludzi i 3 konie.

Z nocnej zdobyczy, której nam szczerze winszowano, rozdzielono po szwadronach konie, a wzięci do niewoli żołnierze zaraz się do pułku zwerbowali. Że zaś mieliśmy straty w dniu poprzednim w zabitych, a nasz szwadron wskutek nocnej wyprawy miał dwóch rannych, znalazły się luki do ich pomieszczenia. Odchodziły furgony, a nasi ranieni żołnierze prowadzili przy nich powodowe konie pod dozorem naszego dawnego wachmistrza, któremu także z tej zdobyczy dostał się koń, a właśnie bardzo go potrzebował. Usuwały się wszelkie pociągi pospiesznie, bo już i strzały ręcznej broni słyseć się dawały; pokazywały się oddziały nasze różnej broni z lasu i zajmowały wskazane stanowiska. Przeszły dwa bataliony 8go pułku liniowego przed nami, z którymi powitaliśmy się serdecznie, bo od początku byliśmy razem. Wszystkie siły ciągnęły na lewo i ustawiały się na polach Dobrego, a my trzymaliśmy prawe skrzydło. Wkrótce odezwały się w bliskości działa, a równocześnie batalionowy ogień. Nam dano sygnał: »Na koń!«

Pułk sformował się i stanął na linii. Pomiędzy dywizyonami stanęło sześć dział pozycyjnych. Ogień ręcznej broni na lewem naszym skrzydle stawał się coraz silniejszy; po batalionowym sypał się ciągle rotowy, a niekiedy słyseć było: hura! Był-to znak ataku na bagnety. Odezwały się także i nasze działa, by powstrzymać nadchodzące kolumny nieprzyjacielskie, które się szybko rozwiały. Wszczął się zacięty bój na całej linii, a szczególnie na lewem naszym skrzydle. Nadszedł szwadron 1szy pułku 4go ułanów i zajął nasze miejsce przy działach. Pułkowi nakazano ruch rotami w prawo i posunięcie się klusem na skrzydło.

Jakaś kawalerya w oddaleniu się podsuwała, chociaż pola tu nie bardzo stosowne do użycia jazdy. Należało się mieć na ostrożności, a to tem więcej, że kolumna ta raz pokazywała się na polu, to chroniła się w lesie, wszelako zbliżając się ku nam.

Bój trwał ciągle zacięty, już i nasze prawe skrzydło zaczęły strzały armatnie dosięgać. Padł granat przed frontem, a pękawszy, zabił dwa konie i urwał nogi żołnierzowi. Wkrótce padł drugi, zabił konia i żołnierza, kazano więc cofnąć się o paręset kroków i zwrócić do frontu. Padło jeszcze kilka granatów, ale te, albo przed, albo za frontem w oddaleniu pękały i nie zrzędziły nam już żadnej straty.

Piechota w tym dniu, co chwilę idąc na bagnety, cudów waleczności dokazywała. Odznaczyła się tu szczególnie brygada generała Skrzyneckiego, który sam osobiście prowadząc ją, okazał zdolność i osobistą odwagę. Z nocą bój ustał i nasi utrzymali plac bitwy; nieprzyjaciel cofnął się z głównymi siłami do obozowania, tylko forpocztę jego pozostały na zajmowanym podczas dnia stanowisku.

Że piechota walczyła w tym dniu z największym wysileniem przeciwko przeważnie większym siłom nieprzyjaciela i była bardzo znużoną, kazano naszemu pułkowi na linii rozstawić szwadrony, wysunąć placówki i obstawić widetami. Nasz szwadron został w miejscu i stosownie do rozkazu rozstawił czaty. Strony więc walczące tak były sobie bliskimi, że każdy ruch wzajemnie dostrzedz było można. Po niejakiem czasie ukazały się łuny ognisk obozowych z jednej i drugiej strony w niewielkiej od siebie odległości; u nas skromne z braku drzewa, z przeciwnej strony silne bo stała w lesie.

My zaś, trzymający straż obozową, bez ogni stać musieliśmy przy koniach omunszuczonych, by na każdy alarm wsiąść na koń. Ciszę przerywał tylko jęk rannych, których znoszono i umieszczano w ambulansach i podwodach na ten cel sprowadzonych; albo zmiana rozstawionych czat. Tak nam zeszła noc długa o głodzie i chłodzie, bez snu, a była to już noc nie pierwsza.

Przededniem piechota zajęła nasze posterunki, a my cofnęliśmy się po za naszą trzecią linię dla pożywienia zgłodniałych koni i ludzi. Furgony na nas czekały, bez straty więc czasu wybrano furaz i żywność; wzięto się do popasu, wiedząc z doświadczenia, że tu długo stać nie będziemy. Po bitwie pod Dobrem nie tak spieszo było Moskałom nowy bój rozpoczynać, ponieważ dnia poprzedniego, jak opowiadali jeńcy wzięci do niewoli, wielkie ponieść mieli straty i zrozumieli po tem pierwszym spotkaniu, że im nie tak łatwo pójdzie, jak-to żołnierzom obiecywali, iż nie potrzebują się bić, bo nas czapkami zarzucą. Sprawdzało się to później nieraz, gdyż po doznanej porażce zarzucali swemi czapkami nie nas, lecz gościńce, rejterując pospiesznie.

Dłuższy cokolwiek wypoczynek skrzepił konie i żołnierzy. Przed południem słyszeć się dały strzały i wkrótce rozpoczął się ogień żywy na całej linii. Nasi, przeważnemi siłami naciskani, ustępowali ku Stanisławowu, stawiając na każdym kroku zacięty opór; trwało to do ciemnej nocy. Stanisławów wszakże utrzymali nasi. We dnie nie wiele byliśmy czynni, tylko przeważnie piechota zacięty bój prowadziła, za to z porządku rzeczy w nocy taka sama służba, jak dnia poprzedniego, nas czekała, to jest straż obozu. Było to już dla nas jakby chleb powszedni, wprawdzie gorzki, ale i do biedy przywyknąć się musi. Jak tylko bój się uciszył, zajęliśmy wskazane szwadronom stanowiska, ustawiono placówki, rozstawiono widety i znów przepędzaliśmy noc bez ogni, lecz na szczęście czas był pogodny i bez ciężkich mrozów.

Po północy zluzowała nas piechota. Cofnęliśmy się poza linię. Tu już widocznem było znużenie wielkie żołnierzy i upadek koni, z których się od kilku dni prawie dniem i nocą nie zsiadało. Właśnie nadjechał generał Ruttie, któremu przedstawiono stan rzeczy, że jak mu wiadomo, pułk od tyłu tygodni pełniąc trudną służbę na kresach i to w ciężkiej

zimie, w odwrocie prawie z koni nie zsiadał, by je pożywić, i dlatego-to konie w pułku są w oplakanym stanie, o czym sam naocznie przekonać się może.

Po wysłuchaniu tej relacji, generał kazał się pułkowi zatrzymać, a sam odjechał, zapewne by się porozumieć i zarządzić zmianę. Jakoż wkrótce nadjechał adjutant generała z rozkazem, by pułk maszerował do Okuniewa i tam się do obozowania rozłożył.

W Okuniewie zastaliśmy nasze furgony. A że mieliśmy dłuższy czas spoczynku, można więc było dobrze nakarmić konie, mogli się i żołnierze pożywić i jeszcze cokolwiek przedrzęmac. Zastaliśmy tu także wóz markietanów z Warszawy, z czego bardzo byliśmy zadowoleni. Kupowaliśmy, co tylko pomieścić się dało w naszych szczupłych schowkach na zapas, a radość naszą z tego nabytku każdy łatwo pojmie, skoro się dowie, że już od dni pięciu wielu z nas żywiło się suchym chlebem, z dodatkiem wędzonej surowej słoniny i trochy wódki, nie mając nic ciepłego w ustach. A! wojna, to nie zabawka! Dyletanci tylko ówczesni improwizują o niej, jakby opisywali kulig lub inne zabawy, a co najpewniej, że sami zbliżka jej się nie przypatrzyli, czego ich improwizacye najdokładniej dowodzą.

Po kilkogodzinnym odpoczynku kazano się na koń, i pułk zajął wskazane miejsce na linii. Ogień ręcznej broni już się słyszeć dawał, wojska nasze zajmowały pozycye pod Okuniewem, przy których utrzymać się postanowiono i dlatego bój coraz bardziej się wzmagał, chociaż jeszcze w oddaleniu; wszystkie nasze pociągi ustępowały pospiesznie ku Pradze.

Już samym wieczorem, kolumny nasze silnie napierane, z bagnetem w rękę odpierały natarcia i wznowił się bój, jak pod Dobrem; tu dał się słyszeć śpiew w kolumnach naszych idących na bagnety, który sprawiał wrażenie niedające się opisać, radości, że waleczni bracia nasi imponują

wrogom odwagą, a smutku, że wielu z tych walecznych ze śpiewem na ustach zaśnie na wieki. Nieprzyjaciel z całą usilnością starał się zająć te stanowiska, artylerya jego ciągle rzucała granaty, które w pomroce świeciły nad nami jak gwiazdki, a kiedy który z nich pękł w górze, robił się jasny obłok, zaś skorupy spadały z góry, jak niespodziana sukcesya na tych, którym ją otrzymać było przeznaczone.

Ciemność nocy przerwała ten zacięty bój. Nasi utrzymali się na placu bitwy. W nocy zrobił się ruch wielki a pospieszny, ciągle szły wozy z rannymi, z amunicją i działa ku Pradze, i nam tąż drogą nakazano odwrót. Podczas marszu ukazały się przed nami łuny ogni, sądziliśmy więc, że przyszło nas wzmocnić więcej wojska. Drogą ciągnącą się lasami, zbliżaliśmy się do tych ognisk, przed którymi stały dwie kompanie piechoty, z bronią do nogi. Zdaje się, że był to oddział służbowy przy ogniach. Przechodząc około nich, widzieliśmy tylko kilkunastu ludzi, którzy dokładali drzewa. Wkrótce pokazała się i druga linia ognisk. Stanęliśmy po za nią. Kazano zsiąść z koni, bo gościnniec był zapchany, przechodziły działa, wozy amunicyjne, różne oddziały wojska, tak piechoty, jakoteż jazdy, których jednak wśród ciemnej nocy rozpoznać nie było można.

Po parogodzinnem wytchnieniu, zatrąbiono »na koń!« Ruszyliśmy w dalszy pochód ku Pradze. Stanęliśmy przedniem około zabudowań Grochowa. Tu przeznaczone było dla pułku stanowisko; stanęły więc szwadrony w wyciągniętym szyku, zwrócone frontem ku lasowi Wawerskiemu i w zwykłych odstępach zsiadliśmy z koni. Nakazano stać przy koniach, cisza panowała, głuchy tylko szmer w ciemności słyszeć się dawał, bo wojska pocichu na linii bojowej ustawiały się.

Nasz szwadron stał przy budynkach, których przeznaczenia w ciemności odgadnąć nie było można. Znużony chciałem się zdrzёмnąć, wtem zauważyłem jakiś niezwykły

ruch między żołnierzami. Mój ordynans przybiegł spiesznie po kociołek. Zrywam się z siedzenia i pytam go, co to znaczy? »A to, panie poruczniku, dobyli się żołnierze do składu słodkiej wódki i każdy bierze, w co może.« Nakazałem mu najsurowiej, by się od koni nie oddalał, sam zaś pobiegłem copędzej do kapitana, by z jego poradą złemu zaradzić. Gdy mu powiedziałem, o co chodzi, pobiegł ze mną, wpadł do składu, amatorów wódki rozpędził i postawił wartę przy drzwiach składu, której nadzór mnie oddał. Potem zrobił rewizyą — i z kociołków kazał wódkę powylewać. Byli już wszakże niektórzy żołnierze dobrze podchmieleni, ale mogło być o wiele gorzej. Za nadejściem dnia, ile wódki było jeszcze w składzie, wszystkę między szwadrony rozebrano, bo jakkolwiek oddział byłby po nas zajął to stanowisko, tożsamo byłby uczynił, więc o ochronieniu jej nie można było myśleć.

Dzień zaczął się robić, a był-to ów dzień 19go lutego, którego setki naszych walecznych miały nie przeżyć. Nadeszła do nas bateria artylerji konnej, z którą nie jeden raz manewrowaliśmy pod Łęczną. Rozstawiła się ona pół-bateriami po skrzydłach pułku, naprzód się wysuwając.

Najpierwej od Białoleki dał się słyszeć silny ogień działowy, a wkrótce rozwinął się on na całej linii aż do Saskiej Kępy; piechota zaś równocześnie wtórowała mu.

Po jakimś czasie, nasza bateria także rozpoczęła ogień. Odpowiadały jej ciężkie działa pozycyjne, i z powodu różnicy kalibru dział, nieprzyjaciel miał nad naszą baterią przewagę. By nas zpoza budynków wypłoszyć, obrzucono nas granatami i nie obeszło się bez dotkliwych strat w ludziach i koniach, jakie zwykle asekuracją spotykają. Z wielką przykrością widzieliśmy także straty naszej artylerji, bo w ciągu dnia dwa działa zostały zdemontowane, a poniosła ona stratę i w ludziach. My bylibyśmy nierównie większe ponieśli straty, jednakże budynki murowane, a między niemi

dom piętrowy, znacznie nas osłaniały. Między budynkami był stawek i do niego wiele granatów wpadało, a niektóre z nich na lodzie pękały.

Najzaciętszy bój toczył się na naszym prawem skrzydle, wysuniętem ku Saskiej Kępie, przy owej tak sławnej później Olszynie. W dniu tym czynną była artylerya, a przeważnie potykała się piechota, która, chociaż znaczne straty poniosła, przecież na zajmowanych stanowiskach utrzymała się.

Kawalerya zaś nasza, z powodu niestosownego terenu, bo po gołoledzi, prócz w asekuracyi dział, inaczej użytą być nie mogła. Na prawem tylko naszym skrzydle wprowadził generał Szembek dwa pułki ułanów do akcji, która się wszakże najzupełniej nie powiodła, bo niestosownie była użytą.

Już późnym wieczorem, gdy ogień obustronnie przycichł, dano rozkaz, by pułk pociągnął ku naszemu prawemu skrzydłu. Na wyznaczonem stanowisku, niedaleko szanieców Pragi, stanęliśmy rozwiniętymi szwadronami, otworzono szeregi i zsiadliśmy z koni po służbie w asekuracyi cało-dziennej a ciężkiej, bo bez żadnego ruchu, a obsypywani granatami. W dniu tym straciliśmy w pułku sześć koni i ośmiu ludzi w ciężko rannych i zabitych, między tymi znajdował się podoficer Kozicki, któremu skorupa od granata urwała nogę.

Zaraz w dniu pierwszym, gdyśmy stanęli pod Warszawą, okazał się wielki nieporządek w zaopatrywaniu wojska. Dawał się dotkliwie czuć brak wszystkiego; furgony nasze, które przyszły z Pragi, dostawiły bardzo szczupły zapas furażu i żywności; szczęściem, mieliśmy niejaki zasoby z Okuniewa, gdzie były magazyny, które niszczone; tym tylko sposobem można było konie jako-tako pożywić, a o to głównie chodziło, bo żołnierz w takim razie o sobie nie myśli.

Nadeszła noc. Ognie palić, to rzecz zbyt kowna, a zresztą o tem nie można było ani marzyć, bo przy Warszawie o drzewo trudno, a nikt nie pomyślał, by go dla obozujących przysposobić. Gdzieniedzie też tylko i słabo w na-

szym obozie ogień błyszczał, za to obóz nieprzyjacielski, rozłożony w lesie Wawerskim, mając drzewa podostatkiem, jaśniał na całej długiej linii ogniami, chcąc niejako tym sposobem siły swoje nam okazać. Ale podobne strachy nie na Lachy; nam też zupełnie taki postrach nie imponował.

Dnia następnego, to jest 20go lutego, równo ze dniem, rozpoczął się ogień z wielkim naciskiem na nasze prawe skrzydło, od Saskiej Kępy, szczególnie na Olszynkę, której grunt bagnisty, tylko dla piechoty mógł być dostępny. Dlatego też zaraz zrana przeszło po przed nami kilka batalionów tak piechoty liniowej, jakoteż strzelców, by to stanowisko wzmocnić. My, w trzeciej linii stojąc, nie siadaliśmy na koń, pomimo zaciętego na całej linii boju. Niekiedy kule działowe, tocząc się zwolna po ziemi, zatrzymywały się przed naszym frontem, ale te już żadnej szkody zrządzić nam nie mogły. Bawiła nas tylko konkurencya zbieraczy tych kul, bo za każdą taką kulę płacono jakąś kwotę w Warszawie. Tu było pole dla żarcików żołnierzy.

Jakoś z południa, kazano posunąć się PUŁKOWI więcej ku prawemu skrzydłu, gdzie bój zacięty ani na chwilę nie ustawał. Sądziliśmy, że i nam przecie pozwolą się teraz rozruszać po kilkodniowej, bo od Liwa ciągle na nas przypadającej służbie asekuracyjnej dział, która bądź-co-bądź, zawsze jest niezabawną, bo pozwala jedynie stać na miejscu i służyć za tarczę dla dział nieprzyjacielskich; a gdy ogień umilknie, drzémac na koniach.

Dzień miał się już ku schyłkowi, a ogień nie ustawał, raczej wzmógł się jeszcze. Nasza waleczna piechota z bagnetem w ręku odpierała nieprzyjaciela, o czem znać dawały bębny grające do ataku i przeciągłe okrzyki: hura! Z nastaniem zupełnego zmroku dopiero bój zwolniał. Nieprzyjaciel ani na krok naprzód się nie posunął; niektóre oddziały piechoty cofnęły się, by się rozłożyć do biwakowania.

Nam nakazano pozostać w miejscu. Furgony nadeszły, przywiózłszy na całe pożywienie dla koni trochę owsa i mąki żytniej zmieszanej ze stęchlami otrębami, ale ani jednej porcy siana, a z tej przyczyny już powstało wielkie niezadowolenie. Przykro było patrzeć na biedne konie nasze, które o takim pożywieniu miały dnia następnego być użyte do ciężkiej służby. Naradzano się, by złemu zaradzić, i postanowiono wysłać raport w tej mierze wprost do Warszawy.

Jak się z sumiennego opisu pokazuje, to nie psuto nas pod Warszawą, bo dla żołnierzy rozdano bardzo skromne porcyjki sucharów, niewiele mięsa solonego, wódki i tytoniu po raz pierwszy, który starych wiarusów cokolwiek udobruchał, bo już zaczęli bardzo rezonować. Na noc dzisiejszą o paleniu ogni z powodu braku drzewa nie można było pomyśleć.

Nad ranem rozeszły się pogłoski, z których jedna mówiła, że na pięć, druga zaś, że na trzy dni zawarto zawieszenie broni. Jak się później okazało, było w tem coś prawdy. Rano zapanowała cisza zupełna na liniach, zajmowanych przez obie strony, były tylko rozstawione forpoczty z jednej i drugiej strony.

Kazano PUŁKOWI naszemu zmienić stanowisko w ten sposób, że stanęliśmy po prawej stronie gościńca wiodącego ku Miłosnej, na pagórku. Obok nas znajdowała się kępa lasu karłowatej sośniny, między którą chowano w ziemi ziemniaki. Wprawdzie ziemniaków już nie było; nie wiem wszakże, czy je poprzednio wybrali właściciele, czy też nasze poczciwe a zmyślne piechurki, wywączawszy je, skonsurowali; dołów jednakże nikt po nich nie zasypał i zostało jakby jakie kretowisko. A rozpatrzyliśmy się dokładnie na nowem stanowisku, bo dla żołnierza, szczególnie dla kawalerzysty, zawsze potrzebnem jest, by się obeznał z miejscowością, o ile można najdokładniej, ażeby przez nieuwagę nie ponieść szwanku.

Zaraz od rana zrobił się ruch wielki ambulansów, a nawet znaczna ilość doróżek z Warszawy stawiała się po rannych, stosownie do zawartej umowy. Sprzątano pomiędzy liniami ranionych i znoszono zabitych do przygotowanych dołów, słowem, robiono najsmutniejszy porządek. A robienie podobnego porządku nawet na żołnierzu, który w wojnie żyje bez jutra, robi wrażenie bolesne. My staliśmy niedaleko gościńca na wzgórzu i wszystko to działo się w naszych oczach.

W ustawieniu na linii PUŁKU, szwadron nasz dotykał owej sośniny. Patrzyliśmy na nią z pożądliwością, ale konary cieńsze już były okrzesane, a drzewa zrąbać nie było czem, więc był-to post bez ognia, którego bardzo byliśmy spragnieni, a żołnierze od tyłu dni nie gotowanego nie mieli w ustach. Nadeszły furgony i rozdzielono, jak zwykle, skromne zapasy tak furaju, jakoteż i żywności. Skorzystano z ich przybycia i wypożyczono dwa topory z furgonów. Ochocho wzięli się żołnierze do rąbania drzewa, a wkrótce zajaśniał i u nas tak pożądany ogień. Po pokonaniu tej, pozostawała już tylko jedna trudność z wodą, której kawalerya tak wiele potrzebuje do pojenia koni.

Choć już dni kilka staliśmy w bliskości Warszawy, mimo to doznawaliśmy wielkiego niedostatku najniezbędniejszych potrzeb. Mniejsza już o ludzi, ale konie bardzo źle były żywione. Sprawiało to tem przykrzejsze wrażenie, że czuć było zły zarząd, bo cofając się, zostawialiśmy magazyny prawie w każdym miasteczku, które, gdy nieprzyjaciół nadchodził, niszczone. Był więc nieład w ich zakładaniu, a wszystko to, co było zmarnowane, bardzoby się teraz przydało.

Przededniem jeszcze, dnia 25go lutego, posunięto nasz PUŁK więcej ku prawemu naszemu skrzydłu. Zajęliśmy stanowisko w drugiej linii przy drodze, prowadzącej z Pragi ku Saskiej Kępie. Pierwszy dywizyon, to jest szwadrony 1szy i 2gi, więcej był zbliżony ku okopom Pragi; drugi zaś dywizyon, który składały szwadrony 3ci i 4ty, zbliżony

był ku Saskiej Kępie. Przed pułkiem między dywizyonami stała baterya dział pozycyjnych. Dalej ku Saskiej Kępie stał batalion strzelców pieszych, których poznać można było po czarnych przyborach.

Miejscowość znaną nam była dobrze, bo drogą, przy której obecnie staliśmy, za dawniejszych czasów, zebrani pod Warszawą, przechodziliśmy. Wówczas szwadron stawał we wsi Lasy zaraz za Saską Kępą położonej. Że wieś ta otoczona jest bagnami, bynajmniej więc z tej strony nie groziło niebezpieczeństwo oskrzydlenia. W tem ustawieniu szwadron nasz 2gi, jako skrzydłowy w dywizyonie, stał cokolwiek przysłonięty ową sośniną, przy której poprzednio staliśmy, tylko z przeciwnej strony.

Że na to skrzydło w dniach poprzednich główny był atak, spodziewaliśmy się, że po chłodnej nocy za nadejściem dnia będzie nam tu ciepło. Jak można było przewidzieć, nieprzyjaciel równo ze dniem uderzył na skrzydła. Od Białoleki słyszeć się dały działa, a jakby na dane hasło uderzono na Olszynkę. Od samego rana piechota wiodła bój zacięty i bagnetem odpierała natarczywość nieprzyjaciela, który coraz-to nowe siły w bój wprowadzał. Przytem ogień działowy nieprzyjacielski wzmógł się do tego stopnia, że na nasz jeden strzał odpowiadały pół-baterye. Obrzucano nasz szwadron granatami, co naturalnie powodowało straty, jak zwykle w asekuracyi; przytem sąsiedztwo owej sośniny, do której szwadron był zbliżony, bardzo nam tym razem było niepożądane; nieprzyjaciel bowiem, sądząc, że może tam być ukrytą jaka kolumna piechoty, ciągle obrzucał ją granatami, które, pękając, narażały szwadron.

Dla tej przyczyny musieliśmy się cokolwiek cofnąć. Dzień był posepny, a dym z ręcznej broni piechoty i z dział rozchodził się za powiewem wiatru po linii i tworzył czasami grobową pomrokę. Furczenie zaś kul armatnich rdzenym strzałem rzucanych i nieustanne pęknięcie granatów, głu-

szyły nasze działa, które przy takiej przewadze słabo odpowiadały, bo naturalnie artylerya ponieść musiała straty, a w naszych szwadronach także, niby w tarczy, luki się pootwieraly.

Nieprzyjaciel wytężył na prawe nasze skrzydło jak najsilniejszy atak, by je złamać. Piechota nasza cudów waleczności dokazywała, odpierając ten nacisk liczniejszego o wiele nieprzyjaciela. Widzieliśmy ciągle przejeżdżających adjutantów, przechodziły jakieś bataliony dla wzmocnienia, a ogień trwał bez przerwy.

Do nas także w pędzie na koniu nadszedł jakiś adjutant, skinął na kapitana Kleszczyńskiego i zamieniwszy z nim słów kilka, pędem napowrót odjechał. Zaraz też kapitan zakomenderował: »plutonami od prawego, na odstęp plutonu, kłusem marsz! — szarża będzie.« Przygotowaliśmy do niej żołnierzy.

Szliśmy w kierunku do gościńca głównego, prowadzącego na Pragę, a zaledwie minęliśmy lasek, który ten ruch zasłaniał przed ogniem działowym, bo odmieniając front, mogliśmy wielkie ponieść straty, — ujrzelśmy na gościńcu masę czarną kawalerji, posuwającą się ku Pradze. Przechodziła ta masa około jakiegoś batalionu piechoty, rażącego ją ogniem; inny zaś batalion nowo uformowanego pułku ustąpił w nieporządku, zbliżając się ku tej sformowanej do szturm kolumnie. Kapitan zakomenderował: »formuj szwadron na lewo! dyrekcyja na prawo! marsz! marsz!« I jak na Saskim Placu, sformował się szwadron frontem do nieprzyjaciela w ten sposób, że 4ty pluton, przed którym kapitan był na przodzie, zabarykadował gościniec, a szwadrony 2go pułku ułanów dochodziły z drugiej strony gościńca.

W tej nieprzyjacielskiej kolumnie szturmującej szedł pierwszy szóstkami pułk kirasyerów księcia Albrechta Pruskiego na karych koniach. Napadnięty przez nas z dwóch stron, miał bardzo trudną obronę, będąc partym do środka;

skrajni jego żołnierze od lanc ginęli, kłuto konie i ludzi, jak tylko grot mógł dosięgnąć, w tym prawdziwym chaosie. Kapitan nasz, znany z wielkiej siły, zmiatał, co mu pod rękę podpadło, czy-to łeb koński, czy kark kirasyera. — Właśnie, kiedy jakiś sztabs-oficer od jego cięcia dał nurka pod konia, trębacz, który był obok poległego oficera i podoficer, zaatakowali kapitana z dwóch stron, któremu jakby umyślnie w cięciu na odlew przysła klinga, tak, że tylko garda została w jego ręce. Byłby niezawodnie zrąbany, ale żołnierze Wziętek i Banach zrzucili napastników lancami z koni, a Wziętek podał swój pałasz kapitanowi. Banachowi dostało się cięcie w twarz, a chociaż je cokolwiek sparował, było jednakże dość silne, a mogłoby się ono kapitanowi dostać, jako już bezbronnemu.

Wkrótce z owego pułku kirasyerów usłał się wał z koni i ludzi wzdłuż gościńca, począwszy od żelaznego słupa, a nasi żołnierze, podczas bitwy a raczej rzezi, tak się pomieszali, że trudno ich było do porządku przyprowadzić, pomimo ciągłego trąbienia i komendy: »formuj się na prawo!« Dopomogli nam w tem Moskale, którzy widząc, że pułk stracony, obrzucili nas formujących się granatami i dotkliwie w szwadronie zrzadzili straty.

Zginęło sześciu żołnierzy, między tymi podoficer Starochurski; rannych było jedenastu. Mieliśmy kilka koni zabitych, ja także straciłem konia, któremu skorupa od granata nogę urwała i w tem nadzwyczajnem zamięszaniu zostałem spieszony, i dlatego przez nagle ustępujących mogłem być stratowanym.

Szwadron wracał pospiesznie, zkad był przywołany, by się z pułkiem połączyć. Na pobojuwisku błąkało się kilku naszych żołnierzy, którzy utracili konie, a widząc mnie także spieszzonego, złączyli się ze mną.

Konie tak kirasyerskie, jak nasze, po zabitych lub rannych, biegały, łatwo więc było w takowe się zaopatrzyć.

Między nimi były ranione i niezdatne do użytku, ale były i zdrowe, w cugle tylko zaplątane, i takich też schwytailiśmy kilka. Miałem przy sobie dwóch starych i zręcznych żołnierzy, którzy także koni potrzebowali, więc już wspólnie sobie pomagaliśmy. Przy pomocy też owych żołnierzy schwytailiśmy konia, zdaje się podoficerskiego, który cokolwiek, ale nieszkodliwie, był lancą skaleczony. Żołnierz, nazwiskiem Zgorzały, wielce mi był pomocnym, i on przyniósł siodło z mojego konia, który z nogą urwaną stał w miejscu. Trudno wypowiedzieć, jaka-to przykrość dla żołnierza stracić konia, który z nim dzieli, jak najlepszy przyjaciel, wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Okulbaczono zdobytego konia w moje siodło. Ściągało się także więcej naszych żołnierzy, którzy byli bez koni i wszyscy się w nie zaopatrzyli. Zdjęto kulbaki, które tylko zdjąć się dały z naszych zabitych koni. Mieliśmy, prócz mojego, ośm koni zpod kirasyerów. Odprowadziłem wszystko w tył na trzecią linią, by okulbaczenie skompletować.

Ku wieczorowi dostaliśmy się do szwadronu, który cofnięty na trzecią linię, kompletował się. Powitali mnie serdecznie kapitan, jak również i koledzy, bo nie wiadano, co się ze mną stało; koni naszych do PUŁKU wróciło kilka, które szwadronowi zwrócono. Konie wojskowe to mają do siebie, że po utracie jeźdźca, koń wraca za swojemi końmi i ciśnie się do szeregu, gdzie należał, tak też i teraz wróciło ich kilka z pobojobowiska; mieliśmy przeto więcej koni, niż nam było potrzeba.

Samym wieczorem dano rozkaz, by nasz szwadron cofnął się na Pragę. Gdyśmy przeszli szaniec przedmostowy, kazano zsiąść z koni, które były tak zmęczone i głodne, że się zaledwie na nogach utrzymać mogły, i wzięto się do popasu. W takim razie koń przedewszystkiem zajmuje żołnierza, o sobie on wówczas nie myśli.

Stojąc na Pradze, dowiedzieliśmy się niektórych szczegółów z dnia dzisiejszego, o których, będąc na linii, dowiedzieć się nie było można.

Otóż, z jakiegoś wyższego punktu dostrzeżono kolumny kawaleryi, posuwające się z lasu Wawerskiego gościńcem ku Pradze. By jej atak powstrzymać, rozesłano po najbliższej znajdującej się kawaleryę, a że tu dywizye generałów Łubińskiego i Skarzyńskiego były rozstawione, zbierano, co było można naprędce.

Naprzód wysunięty pułk kirasyerów rażony był przez batalion 8go liniowego pułku, ale ten ogień nie powstrzymał go, pomimo strat, jakie poniósł.

Dalej na drodze stał batalion nowo-sformowanej piechoty, kosami uzbrojony, ale ten w nieporządku ustąpił. W tym właśnie czasie dostrzeżono nas ułanów z dwóch stron pędem dążących i wkrótce nastąpiło starcie.

Zaczęto w tej chwili rzucać z szanców race kongrewskie na dalsze kolumny kawaleryi do szturm idącej, by ją powstrzymać. My też słyszeliśmy podczas ataku na kirasyerów syczenie rac, ale w tym chaosie, jaki wówczas panował, trudno było poznać, w jakim kierunku były one wypuszczane.

Kto dowodził wówczas szwadronami 2go pułku ułanów, które udział brały w tej szarży na kirasyerów, trudno się było dowiedzieć, gdyż złączone były w pierwszej chwili wiadomości. Jedni utrzymywali, że pułkownik hrabia Mycielski; drudzy, że pułkownik Kicki. Nie chcąc dopuścić się grzechu niesprawiedliwości, stanowczo w tym względzie nie orzekam i powtarzam tylko wieści, choć brałem udział w tej bitwie.

Już przed wieczorem rozpoczął się odwrót wojsk naszych zupełny i to bardzo pospieszny. Mówiono nam, że już znaczna liczba kawaleryi przeszła, teraz zaś przechodziły parki artyleryi i piechota sunęła się przez most bokami.

Ścisk panował nie do opisania, a naglono do pośpiechu, bo woda szła po lodzie i gdyby te puściły, nastąpiłoby zerwanie mostu, a w takim razie znaczna ilość wojska naszego byłaby została odcięta na Pradze.

Czekaliśmy na nasze szwadrony, a skoro tylko nadeszły, pospieszyliśmy na most, bo naglono, by jaknajspieszniej przechodzić. Dano rozkaz pułkowi, że ma się udać do wsi Włochy i tam się rozłożyć. Przeszliśmy w nocy dawno już przez nas niewidzianą Warszawę, która dzień cały była w wielkiej trwodze, a teraz nie myślała także o spoczynku, a wszystko w niej było w ruchu z powodu niepewności o jutro.

Maszerowaliśmy podczas ciemnej nocy na oznaczone miejsce; a jakby umyślnie, żeby nam się nie przykrzyło, padał ciągle deszcz ze śniegiem. Stanąwszy w polu, kazano nam zsiąść z koni do obozowania, a na wielką pociechę żołnierzy, furgony zaraz za nami nadeszły. Wybrano więc furaz i żywność, a ze wszystkiego wódka i tytoń były najpożądane dla żołnierzy. Niewiele ogni rozpalono. Wszyscy byliśmy nadzwyczajnie znużeni, dlatego też pomimo słoty i bez garści słomy, a jak my zwykliśmy mówić, bez materacy, gdzie kto siadł, tam zasnął, o tyle spokojny, że alarmu nie będzie, bo nas Wisła od nieprzyjaciela rozdzielała.

Z nadejściem dnia poszedł sztab pułku i dwa szwadrony do Parysowa, tu zaś we Włochach został pierwszy dywizyon, oraz szwadrony 1szy i 2gi. Wzięto się do urządzania stajni i gdzie tylko było można, rozlokowano konie, które od tak dawna pierwszy raz były rozkulbaczone.

Żołnierze też niespodziewanie ujrzeć mieli dach nad głową. Rozbiegli się oni najpierw, by się o podściółkę wystarać; znieśli, co gdzie zdobyć mogli; a kiedy koniom cokolwiek podesłano, uwolnione z kulbak pokładły się natychmiast i strudzone tak spały, że do pożywienia niechętnie wstawały.

Z raportów nadesłanych ze szwadronów okazało się, że w dniu wczorajszym stracił PUŁK przeszło 30 ludzi w zabitych i ranionych, a między tymi trzech podoficerów, ośmnaście koni frontowych i trzy oficerskie. W tymże raporcie, który do Warszawy odesłano, proszono, by z rezerwy, o ile można, najspieszniej nadesłano ludzi, którzyby braki zastąpili.

Rozkazem dziennym zawiadomiono PUŁK, że naczelnym wodzem został obrany generał Skrzynecki. Jakkolwiek okazał on już zdolności, mianowicie w odwrocie spod Liwa, a szczególnie pod Dobrem, jak również w bitwach Grochowskich w sławnej owej Olszynie, ta ciągła przecież zmiana w naczelnem dowództwie, przykre robiła wrażenie. Znając przytem naszych generałów, których miłość własna tym wyborem niezawodnie dotkniętą została, że ich podkomendny nad nich wyniesionym został i że rozkazy jego wypełniać będą obowiązani, przewidzieć można było, iż wznieci to przeciwko niemu zawiść, co szkodliwie wypaść może na dalsze działania wojenne.

W raporcie pułkowym przedstawieni zostali do krzyża: kapitan Feliks Kleszczyński, komendant szwadronu 2go i żołnierze: Banach i Wziętek, którzy kapitana ocalili od pewnej śmierci w starciu z pułkiem kirasyerów.

Zaledwie żołnierze ze znużenia cokolwiek wypoczęli, wzięto się do robienia porządku. Przykry widok przedstawiali nasi żołnierze i my oficerowie razem z nimi. Każdy z nas wyglądał, jak jedna bryła błota, bo przymarzło ono do odzieży, a o zmianie bielizny, pod przykryciem często niełaskawych Niebios, pomyśleć było trudno. Konie i efekta jeszcze gorzej wyglądały.

O naszym nędznem nad wszelki wyraz pożywieniu, to już i mówić nie warto. Istna to była ironia losu, bo w tychże samych miejscowościach i na tychże polach w roku 1829, podczas bytności Cesarstwa, PUŁK tak świeżo się przedsta-

wiał, z tą wszakże różnicą, że wówczas występowaliśmy jako strojni niewolnicy, dziś zaś znękani i obrudzeni, ale jako ludzie wolni i wyswobodzeni zpod owego nieznośnego ucisku W. Księcia.

Pomimo takiej strasznej nędzy, serce się radowało, patrząc na tego poczciwego żołnierza, który na duchu nie upadał; zawsze słyszeć się dawały tesame rubaszne żarty; i zaledwie cokolwiek spoczeli, brali się ochoczo do robienia porządku. Rozpakowano mantelzaki, a w każdym, jak w małym sklepiku, znalazły się nici różnokolorowe, igły, szydła, dratwy i różne drobiazgi; a pod ręką zręcznych starych wiarusów wszystkie efekta zostały wynaprawiane i odświeżone tak, że w przeciągu tygodnia można było bardzo świetnie wystąpić.

Bliskość Warszawy nastęczyła nam sposobność do uzupełnienia braków. Zaczęło się kompletowanie pułku: konie na kirasyerach zdobyte wzięto do artylerji, w zamian dano nam inne i braki dopełniono.

Nadeszli ludzie z rezerwy; zajęto się mustrą przybyłych i ujeżdżaniem koni. Była więc zabawka całodzienna, a pod ręką tak energicznego kapitana, jakim był Kleszczyński, szło wszystko, jak za ś. p. dawniejszych czasów; w krótkim też czasie szwadron był do wystąpienia gotowy.

Jak wiadomo, za czasów W. Księcia oficerowie siedzieli na anglezowanych koniach, a że ja mego anglika straciłem, jak się wyżej powiedziało, w dniu 25 lutego, i że bardzo trudno było w owym czasie dostać dobrego wierzchowego konia, więc występowałem na zdobytym po-kirasyerskim. Musiał on być ze skrzydłowego szwadronu, gdyż był wielkiej miary. Żartowali więc koledzy, że wyglądam na nim jak wróbel na dachu; inni znów radzili Łąckiemu, który był bardzo niskiego wzrostu, by ze mną zrobił zamianę, to się tym sposobem nadsztukuje. Jeden z tych żartownisiów cytował mi ustęp z psalmu: »I na ogromnym smoku jeździć

będiesz. « Żarty żartami, ale że koń był dobry, chodził dobrze, zostałem przy nim, a chociaż nieszczęśliwie, dosyć długo mi służył; maścią się tylko wyróżniał.

Winienem tu zrobić wzmiankę, jaki duch wówczas ożywił żołnierza, a najlepiej objaśni to fakt następny: Podczas bytności cesarza Mikołaja w roku 1829, cała armia polska zebrana była pod Warszawą. Występowało wojsko na manewra, parady, warty honorowe, ordynanse, posyłki, a w końcu na rewią pod Warszawą. Za każde wystąpienie otrzymać miał podoficer i żołnierz po rublu srebrem, z dodatkiem podwójnej racyi, jako gratyfikację od Cesarza. Zaś W. Książę Konstanty dodawał od siebie po jednym złotym polskim, co czyniło razem pół dukata. Pieniądze te nadejść miały z Petersburga i dlatego robiono wykazy imienne, ile się komu należy, a tworzyło to znaczną sumę pieniędzy, które miały być wypłacone PUŁKOWI. Podczas powstania, gdyśmy stanęli w Węgrowie, przesłano deklarację do Rządu Narodowego, oświadczającą, że PUŁK na potrzeby kraju ten fundusz ofiaruje. Za tę ofiarę otrzymał PUŁK podziękowanie.

Przy formowaniu nowych pułków potrzeba było oficerów, dlatego w starych pułkach były awanse i ciągle zmiany, które i u nas zaszły; awansowali na majorów, kapitanowie: Czyżewicz z 1go szwadronu i przeszedł do innego pułku; Kleszczyński z 2go, Żółkiewicz z 4go, Wierzchlejski, który przeszedł do 5go szwadronu uformowanego z dymisyonowanych żołnierzy naszego PUŁKU, a był poprzednio w korpusie jenerała Dwernickiego. Po kapitanie Kleszczyńskim objął komendę naszego szwadronu kapitan Zieliński.

Dowodzący PUŁKIEM, podpułkownik Chmielewski, przeszedł do innego pułku; dowództwo PUŁKU objął podpułkownik Pawłowski.

W naszym szwadronie 2gim zaszły także zmiany: porucznik Wincenty Długoszewski, odkomenderowany do szkoły podchorążych, jak się wyżej powiedziało, ranny w nocy

Listopadowej, był długo w lazarecie, a po wyzdrowieniu przeszedł z awansem na kapitana do 5go szwadronu nowo-sformowanego. Przeszedł tam także Kotowicz z awansem na porucznika; porucznik Brzoska awansował na kapitana do 2go pułku ułanów.

Podczas tych zaszłych zmian, szwadronem 2gim komenderował kapitan Zieliński, plutonem 1szym Wroński, 2gim Górski, 3cim Łacki, 4tym ja, co było mojem upragnionem życzeniem, gdyż w tym plutonie służyłem od kadeta.

Jakoś, zdaje mi się, w połowie marca, uwiadomiono nas rozkazem dziennym z PUŁKU, że ma być wybrany oddział z każdego szwadronu i ubrany w paradzie. Oddziały te złożyc mają pół-szwadron, którego przeznaczeniem będzie reprezentować PUŁK i być obecnym przy rozdawaniu krzyżów przez naczelnego wodza. Z naszego szwadronu mieli być dekorowani: major Kleszczyński oraz żołnierze Wziątek i Banach, którzy mu uratowali życie w ataku na kirasyerów. Banach wystąpił z obandażowaną twarzą, bo pomimo ciężkiej rany do lazaretu pójść nie chciał.

Po powrocie z owej parady opowiadano, że jenerał Skrzynecki na ten obrzęd, który trwał dość długo, bo była znaczna ilość krzyżów do rozdania w różnej broni, otoczył się wielką świetnością, może nawet niestosowną do smutnych okoliczności, w jakich naówczas kraj się znajdował, w większej połowie zalany, niby powodzią, wojskiem nieprzyjacielskiem. Takie wystąpienie byłoby stosowne tylko po zupełnem zwycięztwie.

W drugiej połowie marca zawezwano PUŁK na służbę do Warszawy. Umieszczono nas w koszarach po-gwardyjskich na Solcu. Konie dostały się do wygodnych stajen; żołnierzom przypomniało się koszarowe życie, ale zupełnie tym razem odmienne od dawniejszych czasów, bo płynęło bez tej sekatury co do utrzymywania porządku, która była bardzo uciążliwą tak dla żołnierzy, jak dla oficerów, i dlatego-to

tak obawiano się niegdyś służby w Warszawie. Teraz zaś, po takiej poniewierce ciągłej w polu, jakiej doświadczyliśmy wśród zimy, a co jeszcze gorsza, w czasie sloty na wiosnę, był-to dla nas prawdziwy wypoczynek, chociaż można się było spodziewać, że niedługo on potrwa.

Jak na początku powiedziałem, PUŁK nasz został z garnizonów niespodziewanie a tak pospiesznie ściągniętym, potem rozstawionym był na kresach nad granicą rosyjską i pełnił tę ciężką wśród zimy służbę aż do rozpoczęcia się kampanii; dalej przy odwróceniu naszego wojska ku Warszawie miał udział w bitwach pod Liwem, Dobrem, Stanisławowem i Okuniewem; wreszcie dnia 18 lutego w nocy stanął pod Grochowem, brał więc udział i znaczne poniósł straty we wszystkich bitwach Grochowskich, dnia zaś 25go lutego w nocy cofnięty był za Wisłę.

Wypadki zatem, jakie zaszły pamiętnego 29go listopada w Warszawie, oraz późniejsze, były nam zupełnie nieznanymi, a że nie mogli być dla nas obojętnymi, dowiadaliśmy się też o nie, korzystając z chwilowej bytności w Warszawie.

Wiadomości, których nam udzielono, były zmaćcone, bo jak to u nas mówią, co głowa, to zdanie. Ale tym razem można byłoby powiedzieć, że co czapka, to zdanie, a były wówczas różnobarwne, nawet zdawało się, że się niektóre zapala, ale tylko czapki. Bawiła nas ta donkiszoterya!

W tych wszystkich wiadomościach niebrak było u jednych nieuzasadnionych uprzedzeń, u innych śmiesznej przesady. A to co najsmutniejsza, że grozy owej chwili ci ostatni zupełnie pojąć nie umieli i lekceważyli siły nieprzyjaciela, chociaż mu jeszcze zbliska w oczy nie zajrzeli, a wojowali tylko konceptami. Śpiewka była wówczas na porządku dziennym w Warszawie; ale my, cośmy przez całą zimę dość biedy zaznali i szeregi nasze w bitwach znacznie także zostały przeredzone, my w owych śpiewkach pełnych przechwałek niebardzo gustować mogliśmy.

Jeszcze my młodzi, chociaż i nam to wszystko w owym czasie wydawało się niestosownem, byliśmy wyrozumiali; inaczej wszakże na to zapatrywali się nasi komendanci, doświadczeni w wojnach Napoleońskich. Ich gorszyła ta lekko-myślna swawola, a więcej jeszcze ten nieład w zarządzie, pozwalający, by tylu młodych ludzi, ubranych w mundury, które dowolnie, jakby dla mody zmieniali, plątało się bezczynnie po Warszawie, szerząc tylko demoralizacją w szeregach wojska. To oburzenie ich pochodziło z tej zasady, że skoro jednym wolno jest usuwać się samowolnie od obowiązków służby, dlaczego ta-sama swoboda nie ma przysługiwać również innym; dlaczegoż tylko jedni mieliby być skazani na znoszenie trudów i niebezpieczeństw? Oto były pobudki, i bardzo słuszne, dla których się nasi starsi na ten nieład oburzali, dziwiąc się, że nie było wówczas nikogo, ktoby rozkazał bruki Warszawy z tych naleciałości oczyścić.

Z tego wszystkiego, co się widzieć i słyszeć dało, zrobione zestawienie nie przedstawiało nam błogich w przyszłości widoków. Rząd, w pierwszej chwili dorywczo ustanowiony, był mieszaniną, jak-to mówią, złego i dobrego, i dlatego zgodnym być nie mógł. To było właśnie jedno i najważniejsze złe, które w następstwie upadek nasz spowodowało.

Następstwem takiego składu rządu było, że złożono dyktaturę w ręce generała Chłopickiego, który ją przyjął bardzo niechętnie. Miał on wprawdzie zdolności wojskowe, ale znany jego nieugięty upór i cierpka opryskliwość, nie mogły rokować dobrych nadziei powstaniu; nie dał się nakłonić do jakichkolwiek planów zaczepnych, które były konieczne. Chłopicki w całą sprawę nie wierzył i dlatego narzucenie mu dyktatury było błędem, bo stracono wiele tak drogiego czasu bezczynnie; gdy zaś dyktaturę złożył, krok ten wywarł bardzo zły wpływ na wojsko.

Pierwsza myśl, jaką powzięto w pierwszej chwili powstania, to jest, by powołać generała Kniaziewicza, który

podówczas był za granicą i w jego ręce złożyć dyktaturę, zdawała nam się najstosowniejszą. Chociaż generał Kniaziewicz był już wówczas wiekowym, ale nie był złamanym, — był to generał wielkich zdolności, jako wojskowy, a charakteru zacnego, jak głosili ci, co pod nim w wojnach Napoleońskich służyli. Co zaś najważniejsza, że przed nim, jako przed starszym w służbie, wszelkie nieuprawnione ambicje wielkich zasług umilknąćby musiały, i każdy wedle zdolności byłby wypełniał chętniej swój obowiązek, nie wyłączając nawet Chłopickiego.

Starsi wojskowi, jakimi byli nasi komendanci, którzy jeszcze w wojnach Napoleońskich udział brali, znali dobrze wszystkich naszych generałów w armii obecnie zostających i twierdzili, że po złożeniu dowództwa nad wojskiem przez generała Chłopickiego, nie było nikogo, komuby to dowództwo oddać było można z zaufaniem, iż wielkiemu zadaniu podołać potrafi.

Do tego zadania, prócz zacności charakteru, poświęcenia bez granic, potrzeba było także wielkich zdolności wojskowych, a tych u nas do zbytku nie było, jak się to później okazało.

Wspomnieć mi tu także należy, że przy naszych pogadankach w czasie wolnym od służby, nasuwały się różne wspomnienia, i kiedy mowa była o naszych generałach, których przymioty i wady podkomendni najlepiej ocenić potrafią, mimowoli nasuwało się wspomnienie o jenerale Sokolnickim, który tak znakomicie odznaczał się w kampanii 1809 roku, a który z ciężką stratą dla kraju tak nieszczęśliwie wypadkową śmierć znalazł; on w tej wojnie byłby bardzo potrzebnym.

Przy takim rozbiorze krytycznym ówczesnego położenia, nie można było pominąć, jak ciężką poniósł kraj stratę także przez śmierć w nocy Listopadowej, generałów Nowickiego i Stanisława Potockiego; jak również przez to, że

nie starano się utrzymać generała Rautenstraucha, który, jako minister wojny, mógł krajowi wielkie oddać usługi, bo zdolności w tej mierze niktby mu zaprzeczyć nie mógł; a ci, co go znali zbliska, zaręczali, że byłby przyjął tę godność. Na tym punkcie także okazał się później brak zupełny zdolności.

Uważano także ogólnie za niestosowne, a nawet bardzo szkodliwe, że po złożeniu naczelnego dowództwa przez generała Chłopickiego, oddano takowe generałowi księciu Radziwiłłowi. Pomimo swej zacności charakteru i osobistej odwagi, jakiej dawał dowody w wojnach Napoleońskich, mógł on tylko dowodzić korpusem, ale nigdy całą armią. Od tej godności wypraszał się przez swą szlachetność; ale że na razie nie było nikogo, komuby powierzyć dowództwo wojska, więc prawie zmuszono go przyjąć takowe tymczasowo. Przy nim, jako już wolontaryusz, a głównie doradca, pozostał generał Chłopicki. Nie nosił on munduru od czasu złożenia dowództwa, brał jednakże udział we wszystkich bitwach Grochowskich, narażał swe życie, gdyby tylko chciał był poświęcić ambicję, i jako szef sztabu występował, byłby tym sposobem wiele jeszcze złego, którego narobił, w stanowczej chwili naprawił. Nie byłaby w takim razie brygada strzelców generała Szembeka w najkrytyczniejszym momencie stała beczynnie, nieopodal Olszynki, gdzie się wówczas rozpaczliwy bój toczył; nie byłby mu także odmówił generał Łubiński posłania dywizyi kawaleryi stojącej w rezerwie, jak naówczas utrzymywano, wiedząc dobrze, że z nim żartować nie byłoby można. Ale niestety, żadnej już nie miał b. dyktator władzy, nie mógł nikogo do odpowiedzialności pociągnąć, a że jeszcze w dniu tym był rannym, wszystko jakoś poszło w zapomnienie, a to tem więcej, że zmiana naczelnego wodza wkrótce nastąpiła. Jak wiadomo, po bitwie dnia 25 lutego i cofnięciu się wojska na lewy brzeg Wisły, ksiązę Radziwiłł złożył dowództwo naczelne wojska,

a Rząd Narodowy oddał dowództwo generałowi naówczas dywizyi, Skrzyneckiemu.

Tak w Warszawie, jak u nas w pułku, zaraz po ogłoszeniu tej nominacyi, ludzie rozważnie fakta sądzący, uważali, że z tego wywyższenia bardzo złych skutków w przyszłości obawiać się można.

Chociaż bowiem generał Skrzynecki dzielnie odznaczał się w bitwach pod Dobrem i w Olszynie Grochowskiej, to przeczuć można było, że zawiść tego wywyższenia nie przebaczy mu, a skutki jej odbić się muszą szkodliwie na sprawie kraju; że dalej, ludzie są zawsze ludźmi, i chociaż, jak to mówią, nikogo niema bez ale, jednakże w tym wypadku miłość własna dotknięta nad wszystkim górować będzie, a nawet dobro kraju uczucia tego nie ułagodzi.

Wszystkie te wiadomości, jakich nam Warszawa dostarczała, a zarazem nieporządki w niej cierpiane, to prawdziwie beczynne wałęsanie się pseudo-wojskowych, brak wszędzie czuć się dający tak potrzebnej energii, nieład w zarządzie, dochodzący do tego stopnia, że o najpotrzebniejsze efekta dopukać się nie było można, nieregularne dostarczanie żywności i furaju, wszystko to razem wzięte, przykre na nas robiło wrażenie. Przytem różne, przez spacerujących beczynnie, a nas nachodzących, rozsiewane do wiary niepodobne brednie, wstrętnemi nam już były i dlatego czekaliśmy z upragnieniem wyjścia w pole, by odetchnąć niezarażonem powietrzem.

Jedną tylko odnieśliśmy korzyść, tę mianowicie, że stojące w dobrych stajniach konie bardzo nam się poprawiły; i że mając obszerny plac mustry, rekruci nasi dobrze się poduczuli.

Uważaliśmy też posterunek obecny w koszarach za odpoczynek po doznanych trudach w obozie przez całą zimę, a w mieście służby żadnej nie pełniliśmy; był tylko rozkaz, by dwa szwadrony w każdą noc miały konie okulbaczone

i żołnierzy do marszu gotowych. Z kolei tę służbę nie bardzo uciążliwą, dywizyony pełniły.

Z nadchodzącą wiosną zbliżały się Święta Wielkanocne. Raz obiegały wieści brukowe, które i do nas do koszar przez nowiniarzy dochodziły, że Moskale postanowili Święta obchodzić w Warszawie. Wieści te zupełnie nas nie trwożyły, dawały tylko powód do różnych conceptów, jakby im te Święta urządzić? To jednakże było pewnem, że się wkrótce kroki nieprzyjacielskie rozpoczną.



CZĘŚĆ DRUGA.

Wielki Tydzień, z wtorku na środę w nocy, zostaliśmy zaalarmowani. Dał się słyszeć huk, jakby pochodzący od strzałów armatnich; rzecz zaś tak się miała: Moskale, chcąc nam most na Pradze spalić, urządzili i puścili z wodą statki, materiałem palnym naładowane; żeby zaś dostęp do nich w razie usiłowania zniszczenia był trudny, nałożyli je granatami; statki więc zapalone szybko z wodą płynęły, a granaty pękały. Huk ten i Warszawę zaalarmował. Ponieważ koszary na Solcu, w których staliśmy, leżą w bliskości Wisły, huk przeto dochodził do nas wielki, a jeszcze powtarzały go rozliczne echa. Wskutek tego alarmu kazano nam jaknajspieszniej konie kulbaczyć.

Wkrótce jednakże wysłany oddział saperów, pomimo niebezpieczeństwa, statki owe zniszczył.

Z powodu tego alarmu przysłano rozkaz ze sztabu, by dwa szwadrony z PUŁKU udały się na rekonesans do Góry, rozeszła się bowiem po Warszawie pogłoska, że równocześnie z ułożonym planem zniszczenia mostu na Pradze, stawiają tamże Moskale most, i mają zamiar przeprować się, a chociaż do tych wieści nie przywiązywano wiary, oddział jednakże dla bezpieczeństwa był wysłany.

Major Żółkiewicz ze szwadronami 3cim i 4tym udał się w marsz. Przybywszy do Góry, przekonał się, że tam cisza zupełna. Jedyne na drugiej stronie Wisły, w Karczowie, stała jakaś szychta drzewa, ale leżała ona już od jesieni i nikt o budowie mostu nie myśli. To właśnie złożone drzewo mogło spowodować owe alarmujące wieści. Straż brzegów Wisły trzymał naówczas, zdaje mi się, batalion strzelców wolnych Grotusa, i im czujność jaknajwiększą nakazano.

Okolo południa wrócił wysłany dywizyon z wyprawy i posłał raport do sztabu. Wkrótce potem nadesłano nam rozkaz gotowości do marszu, bez powrotu do koszar. Karmiono więc konie i zbierano manatki, jak zwykle w takim razie, kiedy się nie wie, w którą stronę wiatr człowieka popędzi, a nasuwały się różne domysły i wszystkie na to się godziły, że z naszej strony rozpoczną się jakieś ruchy zaczepne.

Ze środy na czwartek, z północy, zatrąbiono na koń! Opuściliśmy koszary i posuwaliśmy się w miasto. W ulicy Nowy Świat spotykaliśmy bataliony piechoty, które w cichości i nam nakazanej, spieszyły w tym samym kierunku. Przeszedłszy Krakowskie Przedmieście, dążyliśmy ku mostowi. Teraz już widocznem było, że idziemy na Pragę. Wszędzie po drodze spotykaliśmy kolumny różnej broni, które nas naprzód przepuszczały. W czasie zbliżania się ku mostowi, nakazano największą cichość, założyliśmy więc pałasze na kruczki, żeby nie robiły szczęku.

Przechodziliśmy przez most po grubej warstwie słomy, która tłumiała hałas marszu koni. Na Pradze kazano nam posunąć się do szańca przedmostowego i tam w ściśniętej kolumnie nas zatrzymano. A ciągle przypominano, że jaknajwiększa cichość ma być zachowaną. Nad ranem przeszliśmy szaniec przedmostowy i sformowani szwadronami, stanęliśmy między okopami zewnętrznymi.

Przejechał przed frontem PUŁKU generał Kicki, dowódca naszej brygady i zapowiedział, że wkrótce spotkamy się z nieprzyjacielem. Widocznem to już było z całego ruchu.

Równy ze dniem wyszliśmy z pomiędzy okopów, posuwając się na prawo z gościńca prowadzącego z Pragi ku Miłosny, w rozwiniętym szyku bojowym. Dnia tego mgła była tak wielką, że o kilka kroków przed sobą nie zgoła widzieć nie było można, i w takiej pomroce postępując w największej cichości, naszliśmy na widety i placówkę kozacką, która po kilku strzałach alarmowych, w rozsypce pędem się cofnęła. My, posuwając się naprzód, widzieliśmy przy ogniskach kociołki w pośpiechu opuszczone, a dowodziło to, że się kozaczyska tego ruchu nie spodziewali.

Wkrótce jednakże po tem zaalarmowaniu, dał się słyszeć tętęt koni i przeraźliwy pisk kozactwa. Krzykliwych jednakże bohaterów w pomroce mgły widzieć nie można było, aż gdy się starli z PUŁKIEM całą masą. Uderzyli oni przeważnie na nasz pierwszy dywizyon majora Kleszczyńskiego, który szwadrony zatrzymał, by przyjąć atak kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela. Major Żółkiewicz przysłał szwadron 3ci dla wzmocnienia naszego dywizyonu, sam zaś we mgle niedostrzeżony z szwadronem 4tym, obszedłszy z flanki, na kozaków uderzył. Tym sposobem zmuszeni zostali nacierający przy znacznej stracie do odwrotu, podczas którego strzałami z janczarek zranili nam kilku żołnierzy i podprowadzili nas na działa. Strzały wszakże kartaczowe w pomroce nie nam nie szkodziły, bo szeregi przenosiły. Ciemność więc mgły uchroniła nas od straty, ale i działa od pościgu. Mieliśmy do czynienia z dwoma pułkami regularnych kozaków, prócz nieregularnych Dońców, jak opowiadali ranni wzięci do niewoli, między którymi byli i oficerowie.

Nie mogę pojąć, co spowodowało generała Dembińskiego, który w swym *Pamiętniku* na karcie 105 wspomina o tem

spotkaniu, że twierdzi, iż nieprzyjaciel nasz pułk 3ci odparł i że on stał w gotowości, by nieprzyjaciela powstrzymać. Tej pomocy ani nasz pułk, ani tem więcej generał Kicki, który nas prowadził, nie potrzebował, bo miał jeszcze w swej brygadzie dwa pułki jazdy, których byłby niezawodnie użył, gdyby zaszła potrzeba. My jednakże sami uporaliliśmy się z nieprzyjacielem i zmusili go ze znaczną stratą do odwrotu. A wątpię, by kozacy przed ową gotowością aż pod okopami Pragi, o której generał pisze, ustąpili, bo my wówczas byliśmy już na linii Wawru, a mgła wszystko pokrywała. Generał Dembiński prawdopodobnie uważał za potrzebne i tutaj dodać coś o sobie na swoją chwałę, nie mając względu, że tym sposobem wyrządza krzywdę pułkowi, który w dniu tym był na pierwszej linii i pierwszy bój rozpoczął, jak również znanemu już z waleczności generałowi Kickiemu, który w bitwach Grochowskich się odznaczał, a wtedy o pułkowniku Dembińskim, jako nowo-mianowanym, nikt jeszcze nie słyszał.

Czytając uważnie ową relacją naówczas pułkownika Dembińskiego, przekonać się można, iż sam sobie zaraz poniżej zaprzecza, mówiąc: »że rozwinięcie owego pułku było niepotrzebnem, bo uderzenie generała Rybińskiego zachodzącego z tyłu, jako i żywe natarcie nasze z frontu, zmusiło nieprzyjaciela do nieporządnego odwrotu.« To uderzenie z frontu wykonała właśnie brygada nasza pod generałem Kickim, który rozwiniętymi pułkami szedł na pierwszej linii, brnąc po rozcieczy i spędzając z pozycyi nieprzyjaciela, a wtedy właśnie brygada 1sza pułkownika Dembińskiego, w drugiej linii będąca, postępowała sobie wygodnie gościńcem.

Generał Dembiński sam to przyznaje na karcie 119, że dopiero wieczorem jakaś część jego brygady była użytą i dlatego miała konie niezmęczone, czego nie można było powiedzieć o brygadzie generała Kickiego, która, będąc na

przodzie, ciągle przez dzień cały miały utarczki. Pocóż tu było mącić fakta i wyrządzać przez to PUŁKOWI krzywdę?

Po zepchnięciu kozactwa, posuwaliśmy się, chociaż z wielką trudnością, ciągle naprzód.

Rozciecz była wielka, pola poprzeryzane dość głębokimi fosami, pełnemi wody, a utrudniało to pochód do gościńca, do którego kazano nam jaknajspieszniej się dobić. Na lewo w lesie Wawerskim, do którego zdążaliśmy, wrzał bój zacięty piechoty, jednakże widocznem było, że na całej linii postępujemy naprzód, co podnosiło zapał nie do opisania.

Gdy mgła ustępować zaczęła, weszliśmy na gościniec. Zaraz na kraju lasu Wawerskiego była karczma murowana, przy której leżeli zabici i ciężko ranni po większej części Moskale. Widać, że tej pozycji broniono zacięciem. Postępując dalej, spędziliśmy działa nieprzyjacielskie, które właśnie na gościńcu były ustawione, by powstrzymywać, o ile można, napierającą naszą piechotę.

Posuwając się w las Wawerski, spotykaliśmy z lewego naszego skrzydła prowadzone znaczne oddziały nieprzyjacielskie, wzięte do niewoli, ku Warszawie. Ogień ręcznej broni trwał ciągle w lesie, ale nieprzyjaciel, silnie na całej linii napierany, ustępował w nieporządku, zostawiając po drodze wozy amunicyjne, furgony, ambulanse z rannymi, co nam utrudniało pochód, bo tylko gościńcem można było wówczas jako-tako postępować, w polu zaś wszędzie konie grzęzły. Jako będący w pierwszej linii, mieliśmy je bardzo zmęczone szarżą po grząskiej ziemi za kozactwem, co widząc generał Kicki, dozwolił krótkiego spoczynku w Miłosny.

Pułk Mazurów miał nas tymczasowo zastąpić, jako do brygady Kickiego należący.

W Miłosny miały być obficie zaopatrzone magazyny, które jednakże ustępujący nieprzyjaciel podpalić kazał. Na szczęście nasze, gdyśmy tu na spoczynek stanęli, jeszcze nie

zupelnie zostały spalone; zaopatrzyć się więc było można cokolwiek w furaz dla koni. Lecz dla pożywienia żołnierzy, prócz skwitłych sucharów, nic więcej się nie znalazło; po podpaleniu bowiem zapasów wódki, wszystko, co było lepszego, pożar zniszczył. Po bardzo krótkim spoczynku, ruszyliśmy na prawo z gościńca, by zająć swoje stanowisko na pierwszej linii prawego skrzydła, którą generał Kicki z brygadą swą postępował. Tu były już nie pola, ale bagna, i z wielką tylko trudnością rozwiniętym PUŁKIEM postępować było można.

Jak wyżej powiedziałem, brygada generała Kickiego od rana trzymała nasze prawe skrzydło; tu front zrobiliśmy ukośny, zwrócenie pół-obrotem w stronę Wiązowny, od której obawiano się flankowego uderzenia, o jakim jednakże nieprzyjaciel nie myślał, sam będąc w nieporządnym odwrocie, a przyczyniały się do tego nieładu wielkie błota. Ratując działa, zostawiał nieprzyjaciel po drodze różne tabory, ale i z naszej strony pościg był bardzo utrudniony i z wielkim tylko wysiłkiem robiono w tym dniu, co było można.

Od rana aż pod wieczór słyhać było nieustannie bardzo silny ogień piechoty na naszym lewym skrzydle i w środku, który się wzmagał coraz więcej ku wieczorowi i trwał aż do ciemnej nocy na polach wsi Wielkie Dembe. Na prawem zaś naszym skrzydle, kolumny nieprzyjacielskiej piechoty, przed nami ustępujące, zostały, zdaje się ku wieczorowi, wzmocnione tak, że się wstrzymały i kozactwo naprzód wysunięte zaczęło flankierować. Przeciwno niemu rozsypał się nasz szwadron 3ci flankierski kapitana Janowicza także na flankiery, ale tak ujeżdżanie flankierów, jak szarża, były niemożliwemi w tem błocie, po którym brnęliśmy i w którym konie wiązły.

W naczelnej komendzie uważano za stosowne wzmocnić nasze prawe skrzydło i dlatego nadciągnął pospiesznie batalion strzelców pieszych, rozwinął tyralierów, kozactwo znikło,

a naszych flankierów ściągnięto. Wkrótce nadeszły jeszcze dwa bataliony naszej piechoty i wzmożł się ogień ręcznej broni bardzo zacięty. Bój nie ustawał do ciemnej nocy; pomimo wszakże wielkiego oporu, nieprzyjaciel został zepchnięty z zajmowanych stanowisk i ustępował na całej linii, aż ciemność nocy wszystko pokryła.

Pod lasem zatrzymano PUŁK, rozstawiono forpoczty, kazano zsiąść z koni i po jednym szwadronie konie popasać; a reszta szwadronów miała być w gotowości na wszelki wypadek. W sakwach było dla koni cokolwiek owsa i skręconego w furaż-sznurach siana, tylko czuć się dawał brak wody do napojenia, a wśród ciemnej nocy wyszukać jej było trudno, tem więcej, że staliśmy przed nieprzyjacielem, jak-to ognie obozowe wskazywały. Na brak ten wody żołnierze bardzo narzekali, bo konie we dnie były zmęczone, a nie mając wody, jadły niechętnie.

Ogni palić na takim posterunku nie wolno, o gotowaniu więc bez ognia i wody ani myśleć, chociaż, co prawda, nie było co i gotować. Żołnierze przecież bezsennością i trudem całodziennym znużeni, a obecnie stojąc przy koniach w gotowości, dobrego humoru nie tracili po tak świetnem zwyciężtwie, chociaż było i chłodno i głodno, a do tego błotno, tak dalece, że z końmi raz wstecz, to naprzód posuwać się musiano, by stojąc w miejscu nie uwiązły, tak wielka bowiem była rozciecz.

My oficerowie zaś, zebrani w gromadki przed frontem szwadronów, umieściwszy, jak można było najwygodniej swoją godność na błocie, żartując jeden z drugiego, że wygodniejsze zajął miejsce, chociaż jako gospodarzom, bo przed własnym oddziałem, należało je gościom zostawić. Omawialiśmy przytem, co to się tam w tej chwili dzieć musi w Warszawie? Cieszono się wszędzie z odniesionego zwycięstwa, a ci, niby wojskowi, co zwykle szlifują bruki Warszawy, zapewne nie tacy głodni, jak my, popisują się jaką nową śpiewką,

a gdyby się na tem wygodnem naszym umieszczeniu dzisiejszem z nami znaleźli, zapewneby im się śpiewać nie chciało.

Przy raporcie wieczornym okazało się, że w dniu tym stracił pułk kilkunastu ludzi w zabitych i ranionych, oraz kilka koni. Nazajutrz, to jest w Wielki Piątek rano, dobijając się do gościńca z prawej flanki, bo nieprzyjaciel w nocy się cofnął, przechodziliśmy przez pobojowisko tędy właśnie, gdzie pułk ułanów moskiewskich, podobny naszemu, poniósł wielką klęskę. Pułkownik tego pułku, Szyndler, zabity, leżał wdeptany jednym ramieniem w błoto, przy nim działo odprzodkowane zagrzążnięte w błocie.

Dalej na pobojowisku leżało wielu zabitych albo ciężko rannych, tak Moskali, jak naszych, oraz znaczna ilość koni zabitych albo rannych i ugrzążniętych, mnóstwo połamanych lanc; słowem, panował chaos zniszczenia. Zaznaczyli krwią swoją tę krwawą arenę, z naszej strony karabinierzy i 2gi pułk strzelców konnych. Wszystko wskazywało, że tu była rozprawa bardzo gorąca.

Dobiwszy się z wielką trudnością po grząskiej ziemi do gościńca prowadzącego ku Mińskowi, tak go zastaliśmy zabarykadowanym parkami artylerji i różnych pociągów spieszących w tymże kierunku, że zaledwie pojedynczo z dwóch stron gościńca przeciskać się mogliśmy, — a tu nagłono o pośpiech.

Kłusem mijaliśmy przeszkody, by jaknajśpieszniej przebić się naprzód i spędzić działa nieprzyjacielskie ustawione na gościńcu, którym nasza artylerja odpowiadała. Rzuciliśmy się na prawo i lewo z gościńca w las, ale nieprzyjaciel, dostrzegłszy ten ruch, cofnął się z działami. Ogień ręcznej broni ani na chwilę nie ustawał.

Posuwając się ciągle naprzód ku południowi, stanęliśmy pod Mińskiem i tu przy pałacu nas zatrzymano. Ponieważ dywizya kawaleryi jenerała Skarzyńskiego, która od początku

była w pierwszej linii, a szczególnie nasza brygada, którą dowodził generał Kicki i miała konie bardzo zmęczone, dlatego zatrzymaną tu została, a dywizya jazdy generała Łubińskiego zastąpić nas miała i posuwać się dalej na pierwszej linii ku Kałuszynowi.

Tu mieliśmy kilka-godzinny odpoczynek, który się rzeczywiście należał, bo tak konie, jak również i żołnierze wygłodzeni byli. Podczas wypoczynku opowiadano różne przygody dnia wczorajszego, który do najświetniejszych w tej wojnie należy. Smutno tylko wspomnieć, że nie skorzystano z niego, jak należało, przy podniesionym do najwyższego stopnia zapale wojska, rwącego się iść naprzód, a klęska Moskali mogła być zupełną, a co najmniej bardzo ciężką. Tak sądzili nasi starsi oficerowie, którzy się dobrze znali z wojną z czasów Napoleońskich.

Armia nieprzyjacielska pokonana, lecz nie naciskana silnie, jak należało, zyskała czas do rozdzielenia się — i część jej ustępowała gościńcem ku Kałuszynowi, druga zaś ku Latowiczowi. Trzeba więc było i nasze siły rozdzielić, a raczej rozdrobnić, i tu zaczęły się owe bałamutne rozporządzenia naszych kwatermistrzów w sztabie głównym, które w wojsku sprawiały zniechęcenie.

W brygadach zmieniano komendy, przemieniano pułki, odrywano szwadrony od pułków, co wszystko dla dowódców stanowi wielką przykrość, a przytem jest ta wielka niedogodność, że błędzące w takim razie furgony z furazem i żywnością nigdy na czas nie przychodzą.

Wskutek wyższego rozkazu, z PUŁKU naszego odkomenderowano szwadron 3ci, pod komendą kapitana Janowicza będący, na silny rekonesans, który miał się składać ze szwadronów 5go pułku ułanów i naszego szwadronu, pod dowództwem pułkownika Dembińskiego, na nasze lewe skrzydło ku Liwowi i Dobremu, gdzie udać się miała znaczna część pociągów nieprzyjacielskich.

Dywizya generała Skarzyńskiego, w której była nasza brygada, udała się na nasze prawe skrzydło, zaś nasz pułk, po amputacji jednego szwadronu, postępował przez Wiązowną ku Siennicy. Przed nami maszerował batalion strzelców pieszych. Tu właśnie widzieć nam się dały pierwsze wypadki cholery. Żołnierze w paroksyzmie leżeli po drodze. Obozowiska, zajmowane po ustępujących Moskalach, sprowadziły nam tę straszną naówczas chorobę, chociaż żołnierze niewiele sobie z niej robili.

Wiedziano, że znaczne siły nieprzyjacielskie są przed nami, postępowano więc za ustępującymi bardzo ostrożnie. We wsi Gliniance mówiono nam, że rano dnia tego nieprzyjacielska jazda i działa przechodziły. Późnym wieczorem stanęliśmy pod Siennicą, która już była opuszczoną. Kazano popaść konie i być w pogotowiu do marszu. Zaraz z wieczora, szwadron 4ty wysłany był na rekonesans ku Cegłowu pod komendą majora Żółkiewicza, któremu dodano jeszcze szwadron konnych strzelców 2go pułku.

Nasz zaś dywizyon, t. j. szwadrony 1szy i 2gi, pod komendą majora Kleszczyńskiego, wysłano ku Latowiczowi, gdzie, jak się później okazało, były główne siły nieprzyjacielskie. W drodze spotkaliśmy patrol, który się pospiesznie cofnął. Postępowaliśmy za nim z ostrożnością, by nie wpaść w zasadzkę, noc bowiem była cicha i ciemna; zarządzono boczne straże i tak doszliśmy do miejsca, gdzie się las zaczynał.

Tu stanęliśmy plutonami na gościńcu, mając po skrzydłach po jednym plutonie. Nakazano jaknajwiększą cichość. Major przejechał przed frontem i zapowiedział: ażeby pomimo sygnału środek nie ruszał się z miejsca. W jakiś czas dał się słyszeć tętent, a raczej pluskanie po błocie Moskali i szczeł pałaszy. Gdy nieprzyjaciel się zbliżył, naraz na skrzydłach naszych dały się słyszeć sygnały, co po-

słyszawszy zbliżający się oddział, wykonał natychmiast pospieszny odwrót.

Wszystkie oznaki wskazywały, że wojska nieprzyjacielskie są w bliskości, a utwierdzały nas w tem przekonaniu także łuny ognisk nad lasem widziane. Staliśmy jeszcze czas jakiś w miejscu, lecz z obawy, że bliskość lasu mogła dać sposobność piechocie zdziętkowania nas bezkarnie, bo przy rozcieczy i pomroce o szarży ani myśleć można było, cofnięto nas od tego niebezpiecznego sąsiedztwa o jakie ćwierć mili, a na nowem stanowisku w tymsamym porządku zwróciliśmy się do frontu. Naszem zadaniem było zbadać, czyli nieprzyjaciel ma zamiar pozostać w zajmowanych stanowiskach, czy też naprzód się posunąć, a w takim razie doczekamy się jeszcze silniejszego rekonesansu. Nie doczekawszy się go jednakże, nad ranem wróciliśmy do obozu. Konie mieliśmy tą wyprawą nocną bardzo zmęczone, drogi bowiem były nadzwyczajnie zepsute przechodem dział i wozów amunicyjnych nieprzyjacielskich tak, że brnąć po nich trzeba było. Po takiej forsie krótki nam dano czas do spoczynku. Nakazano gotowość do marszu. W różnych kierunkach rozesłane rekonesanse doniosły, że nieprzyjaciel w wielkiej sile jest przed nami. Zdawało się, że starcie nastąpi wkrótce. By ruszyć naprzód, czekano tylko na parki artylerji, która dla złych dróg się opóźniała, i dlatego dłuższy czas pozostaliśmy w miejscu nadspodziewanie, a była taka niespodzianka naszym biednym koniom bardzo potrzebną.

W wielką sobotę przed południem nastąpił ogólny ruch w naszym obozie. Miano postąpić naprzód; generał Kicki z 3ma szwadronami naszego pułku szedł w przedniej straży i postępowaliśmy ku Latowiczowi tąż drogą, którą w nocy przebywaliśmy rekonesansem. Maszerowaliśmy wolno, by batalion piechoty 2go liniowego pułku mógł nam w marszu dorównać. Już ku wieczorowi doszliśmy do owego lasu,

przed którym w nocy naszedł na nas rekonesans nieprzyjacielski, lecz spłoszony sygnałami, cofnął się do lasu.

Pułek zatrzymano, a batalion piechoty, minąwszy nas, zapuścił się w las. My zwolna, w pewnym oddaleniu postępowaliśmy za nim. Las, jak się okazało, był niewielki, a gdy się kończył, przecinały go dwie drogi: jedna prowadziła do Latowicza, druga do wsi Wielkolas. Na tem rozdrożu zostawiono mnie z plutonem na placówce i wskazano, gdzie widety zwrócone być winny, przy rozstawianiu których major był obecnym.

Nakazano nam wielką czujność, a to tak dalece, byśmy z koni nie zsiadali, tylko po połowie oddziału. Piechota i pułek pomaszerowały w kierunku wsi Wielkolas; w tymże kierunku w razie napadu miałem się i ja cofnąć. Tak więc, po utrudzającym marszu, zostałem na placówce, by wraz z żołnierzami po szczerym całodziennym poście rozmyślać o Męce Pańskiej, właśnie bowiem przypadała dziś Wielka Sobota.

Mniejsza już o żołnierzy, niech poszczą. Chociaż ułani, to dobre dzieci, zwykle niegrzeczni, ale biednych koni niepodobna było zostawić po tak uciążliwym marszu bez pożywienia. Z największą więc ostrożnością, rachując na zręczność żołnierzy, małemi oddziałami po kilka koni, zapasami, jakie były w sakwach, popasać pozwoliłem, zaś połowa oddziału, siedząc na koniach, na wszelki wypadek była zawsze gotową, spodziewałem się bowiem, że ktoś będzie objężdżał forpoczą.

Noc, chociaż leniwo, przeszła spokojnie, bez napaści nieprzyjaciela. Zaświtał dzień, powitały go ptaszęta leśne, odśpiewując jakby modlitwę. Była-to uroczystość Wielkiej Niedzieli. Uchyliłszy kaski i nastąpiła cicha modlitwa, jak był u nas zwyczaj przy pobudce i capstrzyku w czasie przed wojną.

Upadaliśmy z głodu i znużenia, a spodziewałem się ciągle, że nas przecież obluzują. Gdy już było blisko południa,

a zmiana nie nastąpiła, widocznem było, że o nas zapomniano. Znużony zsiadłem także z konia, a z okazji uroczystości nasuwały mi się różne wspomnienia wesoło spędzanych dawniej świąt i obecnej nędzy. Wśród tego natłoku różnych myśli zbliża się do mnie mój ordynans, a był nim stary napoleoński żołnierz, zawsze dobrego humoru, i powiada: Panie poruczniku, o śniadaniu przy dzisiejszem święcie jakoś zapomniano, ale jest tu u mnie trochę wódki w manierce i ciasteczka z magazynu w Miłosny, a chociaż nieświeże, cóż robić? Jeżeli pan porucznik pozwoli?.. I podał mi nalanej wódki do przykrywki od manierki, która zwykle służy za kieliszek. Z chęcią przyjąłem prawdziwą ofiarę pocziwego wiarusa. Podając mi następnie parę sucharów, wprowadzie z mąki białej, ale skwitniętych, powiedział: odświeżyć je bardzo łatwo, w każdej bruździe znajdzie się woda. Nie było wyboru, trzeba było przyjąć dobrą radę.

Około południa nadjechał generał Kicki, objeżdżający forpoczty i jemu opowiedziałem, że zostawieni od dnia wczorajszego z marszu, bez furaju i żywności z musu w dzisiejszą uroczystość pościmy. Uśmiechnął się na to z dobrocią sobie właściwą, posłał następnie adjutanta, za którym wkrótce przyprowadził pluton z 4go szwadronu naszego pułku porucznik Kempieński i rozstawił widety. Ja wróciłem do obozu. Była mała burza z góry za nieporządek, a mnie kapitan uściśkał. Trudno się było na niego gniewać, bo często się zdarzało, że jakiś oddział z pułku posłano, o którym dopiero wtedy się dowiedziano, kiedy powrócił, gdzie był odkomenderowany. Zrobiono składkę, by nas głodnych pożywić, a nie zapomniał o nas i generał Kicki, przyprowadził bowiem za sobą furkę z prowiantem, który zakupił i ofiarował, jak powiedział: dla szczerze poszczających żołnierzy. Generał Kicki, była-to osobistość nadzwyczajnie sympatyczna dla wojska, z walecznością łączył wielką uprzejmość.

Pod wsią Wielkolas staliśmy dni kilka. Tu nadszedł 3ci szwadron naszego PUŁKU z wyprawy pod Liw, na którą zpod Mińska był odkomenderowany. Opowiadano, że pułkownik Dembiński znaczne odniósł korzyści, zabierając zapasy żywności, amunicji i niewolnika z żołnierzy, którzy te zapasy konwojowali. Do odniesienia tych korzyści przyczynił się znacznie kapitan Janowicz z naszym szwadronem; konie z tej wyprawy miał szwadron bardzo zmęczone, brnęły bowiem po bezdrożach z pośpiechem, który był bardzo potrzebnym, jeżeli się chciało coś ułowić. Ten więc kilkodniowy obecny spoczynek bardzo był dla niego potrzebny.

Nadszedł rozkaz ze sztabu głównego, przeznaczający nasz PUŁK do brygady pułkownika Dembińskiego. Przykre ten rozkaz zrobił wrażenie, bo generał Kicki był nadzwyczajnie przez nas lubionym. Brygadę składać miały pułki: 2gi strzelców konnych i nasz 3ci ułanów. Wkrótce nakazano pochód. Postępując naprzód, zajęliśmy miasteczko Jerozal. Nasz PUŁK wysunięty stanął pod wsią Łukawice i tu cokolwiek pozwolono popaść koni, bo nieprzyjaciel przed nami ustępował. Wkrótce jednakże posunięto nas, w pierwszej linii będących, ku Wodyniom. Tu już widzieć się dały kolumny jazdy nieprzyjacielskiej, uszykowane w porządku bojowym. Kazano się nam zatrzymać, żeby cała brygada nadciągnęła. Było już ku wieczorowi, oczekiwano co chwila ataku, do przyjęcia którego byliśmy gotowi, ale cisza panowała zupełna, gdy się zaś ściemniło, rozłożono się do obozowania, lecz wysłano silny rekonesans, który jednakże nie zetknął się nigdzie z nieprzyjacielem. Noc przeszła spokojnie, a równo z dniem wyruszyliśmy naprzód i zajęliśmy opuszczone Wodynie. Mówiono nam tutaj, że znaczne siły kawaleryi w nocy ztąd ustąpiły.

Zaraz odkomenderowano dwa szwadrony naszego PUŁKU, które udać się miały na prawo od Wodyń ku Seroczynowi, a nasz dywizyon, t. j. szwadrony 1szy i 2gi pod komendą

majora Kleszczyńskiego, poszedł w tym kierunku w awangardzie. Batalion jakiegoś liniowego pułku piechoty postępował za nami. Gdy szwadrony nasze weszły do Seroczyna, powiadano, że aryergarda nieprzyjacielska, złożona z kilku szwadronów huzarów, co-tylko opuściła Seroczyn. Major Kleszczyński więc, któremu zawsze było pilno, chociaż piechota jeszcze nie nadeszła, kazał maszerować naprzód, sam idąc na czele. Jak tylko szwadron 1szy, który maszerował plutonami, ukazał się na górze, ujrzał kilkanaście szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej sformowanych do boju i jak gdyby oczekujących go. Major, zamiast kazać się cofnąć, wydał rozkaz sformowania szwadronu, żeby był gotowym do przyjęcia szarży, a gdy następnie nasz szwadron pokazał się na górze, spostrzeżliśmy ze trzy szwadrony jazdy nieprzyjacielskiej idące już do ataku w największym pędzie. My pół-szwadronami rzuciliśmy się na skrzydła zaatakowanego 1go szwadronu, stojącego spokojnie, by go nie oskrzydłono. Nieprzyjaciel o kilkadziesiąt kroków przed dywizyonom zatrzymał się i dał ognia z karabinów, ale jakoś do ataku nie było mu bardzo spieszo, widocznie obawiał się, że za górą muszą być większe siły, skoro z taką zuchwałą śmiałością dotrzymywaliśmy placu. Rzeczywiście odgłos strzałów przyspieszył pochód piechoty, a gdy ona ukazała się na górze, nieprzyjaciel się cofnął. Mieliśmy jednakże kilku żołnierzy i kilka koni ranionych od strzałów. Nadjechał pułkownik Dembiński i niebardzo się pocieszył z powodu, że ponieśliśmy straty, a mogliśmy ponieść nierównie większe. Nasz major nie był winnym strat, ściśle się bowiem trzymał danego mu rozkazu, żeby w ślad postępował za ustępującym nieprzyjacielem; on sądził, że za nim postępuje cała brygada, wina więc za poniesione straty ciążyła na nieprzeznaczeni dowódcy, a jej dowody zwykle wzbudzają nieufność. Wszystko miało miny zwarzone, że nas tak lekkomyślnie na straty narażono, a mogły one być

o wiele większe, gdyby nieprzyjaciel, mając tak wielkie siły, pospiesznie na nas uderzył.

W Wodyniach stał naówczas naczelnny wódz Skrzynecki z całą swą komendą, a kwatermistrzem był przy nim pułkownik Chrzanowski. Wskutek odebranego raportu od pułkownika Dembińskiego, całe główne siły posunięto ku Seroczynowi, nam zaś, nim rozkaz przysłano ze sztabu, pozwolono popaść konie. Jako trzymający awangardę, wiedzieliśmy, że spoczynek ten będzie krótki, a zalecono nam pośpiech. Jakoż wkrótce nadszedł rozkaz ze sztabu, by się posuwać naprzód.

Kolumny jazdy nieprzyjacielskiej, z którymi mieliśmy starcie, ustępowały traktem ku Łukowu, a ich aryergarda zwolna przed nami ustępowała. Przed lasem, który mieliśmy przechodzić, minęła nas piechota, za którą postępowaliśmy. W wiosce za lasem na trakcie położonej, mówiono, że wiele wojska różnej broni przeszło ku Łukowu i Siedlcom.

Przed wieczorem stanęliśmy we wsi Róży. Miejscowość ta była nam dobrze znaną, bo tu niejeden raz w latach poprzednich stawaliśmy w czasie marszu na mustry dywizyjne pod Łęczną, a że osada ta jest wielką, więc mieścił się tu zwykle cały szwadron.

Dostało nam się tu do niewoli wielu maroderów różnej broni za armią ciągnących, tu się również wyjaśniła zagadka, dlaczego nas tak wielkie siły nie atakowały? Zaslaniały one bowiem marsz flankowy generała Dybicza, dążącego pospiesznie ku zagrożonym Siedlcom, więc nie chciały być w bój wciągnięte, przewidując, że postawa śmiała i wyzywająca naszego dywizyonu czuje za sobą większe siły, a ukazanie się w porę naszej piechoty utwierdziło dowodzącego temi pułkami w tem przekonaniu — i dlatego pospiesznie się cofnęły.

Przed wieczorem wzmocniły nas znaczniejsze siły, nadeszły też i nasze dwa szwadrony, które przyprowadził do-

wódzca PUŁKU, naówczas podpułkownik Pawłowski. Nadjechał także kwatermistrz, pułkownik Chrzanowski, co wskazywało, że rozpoczną się jakieś ruchy zaczepne, bo to już ciągle jakżeby szukanie nieprzyjaciela nużyło wojsko, a szczególnie kawalerya, w ciągłym ruchu po bezdrożach będąca, miała konie podniszczone. Z wielkiem więc upragnieniem oczekiwano starcia, a że wiedziano, iż znaczne nasze siły przez Kałuszyn posunęły się ku Siedlcom, zdawało się, że nasze wojsko wysunięto w tym celu, by z flanki uderzyć równocześnie na nieprzyjaciela.

Oczekiwaliśmy z niecierpliwością rozkazu ruszenia naprzód, a że, jak się wyżej powiedziało, okolica była nam dobrze znaną, więc przypuszczaliśmy na pewno, że jeżeli pójdziemy przez Zdżary, to dojdziemy do Łukowa, a zatem na flankę; jeżeli zaś na Domanice, to wprost do Siedlec, by łącznie z wysuniętymi tam siłami, uderzyć na nieprzyjaciela.

Tak te ruchy starzy nasi komendanci, doświadczeni w wojnach Napoleońskich, kombinowali. Noc jednakże przeszła spokojnie, a około południa z wielkim naszym smutkiem otrzymaliśmy rozkaz odwrotu. Z tego rozkazu sądziliśmy, że generał Prądzyński, posunięty ku Siedlcom, ponieść musiał klęskę powodującą odwrót, który wszystkich zasmucił.

Aryergardę w odwrocie trzymały szwadrony naszego PUŁKU, które później nadeszły, a nasz dywizyon wysłano naprzód. Wieczorem stanęliśmy w Wodyniach, a późno w nocy nadciągnęły wszystkie nasze siły, które były naprzód wysunięte. Po kilkugodzinnym odpoczynku ruszyliśmy w dalszy pochód i około południa stanęliśmy na polach wsi Wielkołas, zkąd po krótkim wypoczynku posuwaliśmy się ku Cegłowu, gdzie już późnym wieczorem stanęliśmy, zajmując oznaczone dla PUŁKU stanowisko.

W Cegłowie znajdowała się główna kwatera naczelnego wodza, siły więc nasze w tym punkcie były znaczne.

Obecnie dowiedzieliśmy się szczegółów z wyprawy generała Prądzyńskiego, w której nasz ulubiony generał Kicki pod Iganiami z 2gim pułkiem ułanów, dowodzonym przez walecznego pułkownika Mycielskiego, świetną wykonał szarżę, rozbił znacznie liczniejsze siły jazdy nieprzyjacielskiej i wziął znaczną ilość niewolnika. O ile nas to powodzenie cieszyło, o tyle doznaliśmy przykrego wrażenia, że nasz PUŁK z brygady jego naówczas oddzielono i tym sposobem pozbawiono udziału w tej bitwie, a to tem więcej, że rozkazem dziennym wrócony został znów nasz PUŁK na teraz do brygady generała Kickiego.

W Cegłowie staliśmy dni kilka. Wstrętna-to była nad wszelki wyraz miejscowość dla wojska, zanieczyszczona przez obozowiska armii nieprzyjacielskiej, musiano ją jednakże, jak się zdaje dla pozycyi, utrzymać. Tu rozwinęła się gwałtowna w wojsku cholera, która zabrała z naszego PUŁKU także kilku ludzi. Najdotkliwiej przecież przeraziła nas słabość majora Kleszczyńskiego, jednego z najwaleczniejszych w PUŁKU, którego przecież z wielką naszą pociechą uratowano, ale ponieważ był bardzo osłabionym, więc służby jakiś czas nie pełnił.

Z Cegłowa posunęliśmy się do Jędrzejowa. I tu także zajęliśmy miejscowości zanieczyszczone, które jednakże dla pozycyi zajmować musiano. Wszędzie było pełno brudu i nieczystości, dawał się czuć brak wszelkich potrzeb, słomy, dalej wody i opału, słowem, dostaliśmy się z deszczu pod rynnę. Powstało ztąd wielkie w wojsku przygnębienie, a do niego przyczyniały się i choroby.

Sytuacja na teraz zmieniła się. Był czas, że wojska nieprzyjacielskie znajdowały się w bardzo trudnem położeniu, ale z tego stanu nie skorzystano, teraz na nas przyszła kolej trudnego położenia. Rozrzucone mieliśmy siły, a co chwilę należało się spodziewać ataku. Przytem trudno było wiedzieć, gdzie są główne siły nieprzyjacielskie. Po ruchu generała Dybicza na Siedlce, który umocnił to stanowisko, jako główną

arteryą swych komunikacyj i składów wszelkich zapasów wojennych, a następnie rozpoczął ruchy zaczepne, udając się z głównymi swymi siłami na nasze prawe skrzydło i chciał tym sposobem odciąć dywizję naszą wysuniętą ku Siedlcem, wstrzymanie go w pozycjach Kuflewa i Cegłowa było koniecznością, ażeby dywizya generała Rybińskiego wycofać się mogła, a raporta od niej nadchodziły bardzo niepokojące.

Okolice Kuflewa trzymał pułkownik Dembiński z brygadą jazdy, wspartą oddziałem piechoty i artylerią, a ciągle był niepokojony przez nieprzyjaciela ukazującego znaczne siły, dlatego Dembiński atakować go nie mógł i z trudnością tylko pozycją utrzymywał. Cegłów miał utrzymać generał Gielgud ze swoją dywizją piechoty i stósowną artylerią. Wzmocniono go naszą brygadą jazdy pod dowództwem generała Kickiego, którą składały pułki 2gi i 3ci ułanów, oraz dwa szwadrony nowo sformowanego pułku jazdy Mazurów. Wysyłane rekonesanse spotykały się ciągle z nieprzyjacielem, który przed nami miał być w wielkiej sile. Lada chwila spodziewano się starcia. Nadchodziły także bardzo niepokojące wieści od pułkownika Dembińskiego.

Już późnym wieczorem nadciągnęły oddziały różnej broni pod dowództwem pułkownika Dembińskiego, które opuściły Kuflew, wyparte przez przeważne siły nieprzyjacielskie, postępujące w ślad za ustępującymi. Wszystkie te oddziały były niewypowiedzianie zmęczone. Po krótkim spoczynku komenda pułkownika Dembińskiego udała się ku Jędrzejowu.

Nie było już wątpliwości, że równo z dniem, a może w nocy, która była dość widną, spodziewać się można było ataku na Cegłów. Czujność w obozie naszym nakazano wielką. Wszyscy żołnierze stali przy koniach w gotowości na każde zaalarmowanie; pozycja Cegłowa nie była dla nas dogodną i trudno byłoby ją utrzymać. Dlatego w nocy odebrano rozkaz cofnięcia się ku Mińskowi i zaraz rozpoczął się ruch

w tym kierunku. Równy ze dniem dywizya generała Giełguda rozstawiła się przed Mińskiem, a dywizyi Giełguda dodaną była dywizya jazdy generała Skarzyńskiego, w której znajdowała się nasza brygada, by zasłaniały ruchy naszej armii i broniły Mińska.

Nasza brygada jazdy pod dowództwem generała Kickiego, trzymająca aryergardę w odwrocie zpod Cegłowa, została zatrzymana w znacznej odległości od Mińska. Kazano rozstawić forpoczty przed lasem, który mieliśmy przed sobą, a nasz PUŁK utrzymywał naszą prawą flankę, zaś reszta brygady całą linię bojową.

Przed południem zaczęło się pokazywać z lasu rozsypane w znacznej sile kozactwo. Zwinęliśmy więc forpoczty i staliśmy w szyku bojowym. Wkrótce zaczęły się wysuwać z lasu także kolumny nieprzyjacielskie różnej broni. W następstwie rozpoczął się bój na całej linii, największy jednakże nacisk był na nasze prawe skrzydło. Masy piechoty wysuwały się z lasów, a my ustępowaliśmy zwolna ku miastu. Gdy jednakże atak na skrzydło coraz więcej się wzmacniał i gdy tutaj kolumny piechoty nieprzyjacielskiej szybko się rozwijały, nakazał generał Kicki ten ruch powstrzymać. W tym celu PUŁK nasz wysłano do szarży na owe bataliony.

Kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, ujrawszy ten ruch, zatrzymały się do przyjęcia ataku.

PUŁK nasz posuwał się z wielką natarczywością, pomimo silnego ognia ręcznej broni, lecz zbliżając się do ustawionych batalionów, konie nasze coraz bardziej grzęznąć zaczęły, a szczególnie szwadrony 3ci i 4ty zwolniły atak. Nasze dwa szwadrony z lewego skrzydła, mając grunt suchszy pod sobą, dotarły do kolumny piechoty, w której zrobił się nieład.

Niepoparci jednakże, musieliśmy się cofnąć. Ów nieład, jaki trwał czas jakiś w zepchniętej kolumnie, oszczędził większych jeszcze strat naszemu PUŁKOWI, obsypywanemu gradem kul w odwrocie.

Po tej suchej łaźni, doszedłszy do Mińska, kazano ustępować z wolna ku Wielkiemu Dembem. Silny ogień działowy licznej artylerii, którą nieprzyjaciół rozwinął, w odwrocie narażał nas na dotkliwe straty, bo brygada nasza trzymała aryergardę cofającego się korpusu Giełguda.

Przechodząc, mijaliśmy bataliony naszej piechoty, które nas ze współczuciem witały. Zaprawdę, PUŁK wyglądał niewesoło. Wieziono rannych, prowadzono powodowe konie, między którymi były także i ranione po zabitych oraz rannych żołnierzach.

Już ku wieczorowi doszliśmy pod Dembe, gdzie znaczne siły naszej armii były nagromadzone, a znajdowała się tu także naówczas kwatera naczelnego wodza. Wszystko, jak się zdawało, było w pogotowiu do przyjęcia walnej bitwy, a wojska, przed którymi cofaliśmy się, stanowiły główne siły feldmarszałka Dybicza.

Zajęliśmy oznaczone dla PUŁKU stanowisko. Byliśmy smutkiem przygnębieni, gdyż w dniu tym ponieśliśmy bardzo dotkliwe straty. Z oficerów zabity był Łącki, a Majeranowski bardzo ciężko raniony, zaś Krzycki i Guzowski lżej, ja także zostałem w prawą nogę i rękę bagnetem pchnięty. Z siedmiu podoficerów dwóch było zabitych, a pięciu ranionych, między którymi Ostrowski, brat młodszy oficera tegoż nazwiska. Mieliśmy też znaczną liczbę zabitych, albo bardzo ciężko ranionych żołnierzy. Z koni, trzy oficerskie zabite i kilka żołnierskich, przytem znaczna liczba ranionych, a między niemi i oficerskie. Szczęściem nazwać można, że prawie wszystkich rannych uratowano przed niewolą, której się każdy więcej obawiał, niż śmierci.

Nadjechał dowódca naszej brygady, generał Kicki, i bardzo się zasmucił, żeśmy tak ciężkie ponieśli straty, tem więcej, że nie z naszej winy. Rozpytywał on o szczegóły, a wszyscy wyżsi oficerowie PUŁKU uznali, że miejsce, gdzie walczyliśmy, do użycia kawalerii było bardzo niekorzystne, bo konie

grzęzły; pierwszy tylko dywizyon, a właściwie jeden tylko szwadron, mając grunt twardszy pod sobą, zepchnął kolumnę piechoty, która się w nieładzie cofnęła, podczas gdy inne kolumny, do których nie mogliśmy dotrzeć, z powodu że stały na bagnie, sypały na nas gradem kul nieustannie.

Wieczorem cisza w PUŁKU panowała grobowa. Wszyscy byli w smutku pogrążeni, nawet ogni mało palono. Mnie nietylko cierpienie z odniesionych ran, ale także strata Łąckiego boleśnie czuć się dawała, łączyła nas bowiem serdeczna przyjaźń.

Co do moich ran, to jedna z nich, w nogę mianowicie dość długie draśnięcie bagnetem, była lekką, a druga, to jest pchnięcie w rękę, była ciężką i krew z niej płynącą zatamować było trudno. Zdawało mi się jednak, że wkrótce się ona zagoi i do lazaretu pójść nie chciałem. Krzycki i Guzowski, także ranni, pozostali w szwadronach, lecz nietylko oficerowie, ale także podoficerowie i żołnierze nawet, którzy byli lżej ranni, pozostali w szeregach i folgowano im tylko cokolwiek w służbie. Felczerzy opatrywali rannych, o ile była po temu sposobność, zresztą rachowano na dobre koleżeństwo, by jeden drugiego w złej doli wyręczał.

Zdawało się, że dnia następnego będzie w tych miejscach pamiętnych dla nas z odniesionego dawniej zwycięstwa, walna bitwa, którą tu przyjąć miano i zrobiono do niej stosowne przygotowania.

W wypadku takowej, nam rannym maroderom kazano się trzymać pociągów poza linią. W takim oczekiwaniu przeszedł dzień następny wobec nieprzyjaciela spokojnie. W nocy rozesłane rekonesanse na zwiady doniosły, że nieprzyjaciel cofnął się na całej linii.

Wskutek tej wiadomości, równo ze dniem, dywizya generała Giełguda, do której nasza brygada jazdy należała, otrzymała rozkaz posunięcia się naprzód ku Mińskowi. Wykonała ona ten ruch bez przeszkody, nie natrafiwszy na opór i pod

miastem zatrzymała się, czekając dalszych rozkazów, a tymczasem zajęła się pożywieniem koni; powiadano nam, że w bitwie pod Mińskiem nieprzyjaciel także poniósł znaczne straty, bo stojąc dzień cały na polach stoczonej bitwy, wielu zabitych miał pochować i znaczną ilość rannych przewiózł bardzo pospiesznie.

Już z południa nadeszły wojska zpod Dembego, oraz sztab główny. Dywizyi pod dowództwem Giełguda kazano posuwać się naprzód. Jakoż przed wieczorem zajęliśmy nasze dawne koczowiska pod Jędrzejowem.

Wielkie było niezadowolenie w wojsku, że przy ciągłym nużeniu armii, sponiewieraniu koni po bezdrożach w pospiesznych marszach, stawamy w tychsamyh miejscowościach zupełnie wyniszczonych, gdzie się czuć daje brak wszelkich potrzeb, i marnujemy niepotrzebnie i czas i siły bez żadnej korzyści, nie mogąc się na nic stanowczego zdecydować. Główną przyczynę złego upatrywano w tem, że w sztabie naczelnego wodza było dwóch kwatermistrzów, najczęściej w planach ze sobą niezgadujących się, bo kiedy jeden popychał naprzód, to drugi te ruchy hamował.

Staliśmy pod Jędrzejowem dni kilka, co posłużyło do pokrzepienia moich sił. Jak powiedział przy pierwszym opatrzeniu ran moich sztabowy lekarz pułkowy, miał znaczny ubytek krwi z ręki później mnie osłabić i radził mi pójść do lazaretu, z powodu, że rana potrzebuje starannego opatrywania, którego w obozie i przy ciągłych marszach mieć nie mogę. Że zaś brak było nietylko oficerów, ale także i zdolniejsi podoficerowie wynieśli się z awansem, nie było zatem można zdać komu plutonu. I ta przyczyna właśnie spowodowała nas rannych, żeśmy pozostali, by przynajmniej dopilnować porządku, aby koni nie zniszczono. Jaki był brak oficerów, dowodzi następna nominacya: w szwadronie naszym był stary z czasów Napoleońskich podchorąży Matusowicz, który zwykle za czasów W. Księcia woził sztandar, lecz że

ani pisać, ani czytać nie umiał, dlatego nie awansował, teraz zaś oficerów zastępował i właśnie objął komendę po Łączkim, poległym pod Mińskiem.

Ciągłą jednostajność, bo pełniliśmy tylko zwykłą służbę obozową i rozsyłali patrole w różnych kierunkach, urozmaicił nadesłany rozkaz dzienny ze sztabu głównego o awansach w naszym PUŁKU: porucznicy, Dąbrowski, Skarbek i Brzoska mianowani zostali kapitanami i wszyscy przeznaczeni do innych pułków; Brzoska z naszego szwadronu przeniesiony został do 1go pułku ułanów. Dalej awansowało sześciu podporuczników na poruczników, a między nimi i ja się znajdowałem.

Wszyscy pozostali w szwadronach, tylko Linde przeniesiony został do 3go szwadronu. Wreszcie trzech podoficerów, tj. Sumiński, Bagiński i Konstanty Kępiński, młodszy brat oficera tegoż nazwiska, na podporuczników w PUŁKU naszym. Awans, to pułkowe święto, dlatego też o nim piszę, tem więcej, że w tym czasie nie zaszło nic ważnego.

Ponieważ odbywał się werbunek ciągle do nowo formujących się pułków, więc była coraz większa trudność o podoficerów, a kiedy który z nich awansował na oficera, niepodobna go było uzdolnionym zastąpić. A zabrano nam właśnie dwóch dzielnych podoficerów, o których nie od rzeczy będzie bliżej wspomnieć, zasługują bowiem ze wszech miar na wzmiankę. PUŁK 3ci ułanów stawał zwykle garnizonem w Województwie Podlaskiem, gdzie mieszka wiele rodzin spolszczonych Tatarów, od dawien dawna tu osiadłych. Nawet około miasteczka Łomazy, które zajmował jeden z naszych szwadronów, we wsi Studzianka, znajdował się ich meczet, do którego niekiedy licznie się zbierali. A że to każdy ułan ciekawe zazwyczaj dziecko, często więc tam zaglądali, ztąd znajomość, a z niej skutek taki, że młodzież ta z krwią tatarską w żyłach wchodziła do PUŁKU, a niektórzy z niej mieli już wyższe stopnie oficerskie. Byli-to ogólnie ludzie

bardzo zacni, dobrzy żołnierze, serdeczni koledzy, a nade-wszystko kraj, w którym się zrodzili, miłujący. W naszym szwadronie było także dwóch braci Bielaków, którzy jako kadeci już po parę lat poprzednio służyli posunięci na pod-oficerów, za staraniem jednakże przenieśli się oni teraz właś-nie z awansem na oficerów do jazdy Podlaskiej, w której mieli wielu znajomych ze stron rodzinnych. Zrobiła się po nich luka, którą z trudnością można było wypełnić.

Kilka dni zajmowaliśmy stanowisko pod Jędrzejowem, a te kilka dni były dla nas niejako wypoczynkiem. Nadszedł wreszcie rozkaz ze sztabu, który nasz pułk oddzielił z bry-gady generała Kickiego, a wcielił go na teraz powtórnie do brygady pułkownika Dembińskiego, która tworzyć miała przednią straż korpusu przeznaczonego do posunięcia się w Lubelskie.

Brygadę jazdy składać miał pułk 3ci ułanów i dwa pułki nowo sformowane. Zapowiadała się zatem służba ciężka na takim stanowisku w bliskości nieprzyjaciela, a znaną nam była przytem energia pułkownika Dembińskiego i wie-dzieliśmy, że nas oszczędzać nie będzie, tem więcej, że jeden tylko pułk starej jazdy będzie mieć w swej brygadzie. Jakoż wkrótce nakazano marsz. Z trudnością dosiadłem konia, ponieważ nie mogłem sobie przy dosiadanu prawą ręką do-pomódz. W awangardzie postępowały dwa szwadrony jazdy Podlaskiej, którą po raz pierwszy widzieliśmy, jak również batalion strzelców celnych Kuszła, przez niego dowodzony. Jazdą Podlaską dowodził drugi Kuszal. Za czasów Wielkiego Księcia obydwaj ci bracia Kuszalowie z Podlaskiego, mie-szkali w bliskości Siedlec, jeden z nich w Zeliszewie; nieda-leko od niego w Krześlinie mieszkał wówczas Kicki, obecnie generał, a nieopodal w Patrykozach siedział Szydłowski, na teraz także generał. Wszyscy ci czterej żołnierze z czasów wojen Napoleońskich, ozdobieni krzyżami Legii honorowej, nie słu-żyli w wojsku za W. Księcia, a nam młodym znani byli

z tej okazji, że kiedy rezerwa pułków całej dywizji ułanów miała sztab w Siedlcach, dowódcą której był podpułkownik Nayman z pułku 3go ułanów, tu widywaliśmy często tych panów, przyjeżdżali bowiem do Siedlec, jako miasta naówczas wojewódzkiego, a kiedy była nasza mustra, oni jako znawcy, ciekawie się przyglądali. Gdy ich dostrzegł podpułkownik Nayman, jako znajomych, zaraz salutował. Mówiono tylko o nich wówczas, że wszyscy czterej są sławni myśliwi, a nikomu z nas nie marzyło się nawet, że oni nami kiedyś dowodzić będą.

Z kierunku, w którym postępowaliśmy, zdawało się, że idziemy do Cegłowa. Zwrócono się jednakże do Kuflewa. Mijaliśmy w przechodzie oddziały piechoty liniowej w tym samym kierunku postępujące. W Kuflewie pułk zatrzymano i rozłożyliśmy się do obozowania. Wszystko tak w miejscu, jak w okolicy było zniszczone, tu bowiem były ciągle obozowiska, jeżeli nie nasze, to Moskali, a tak jedni, jak drudzy wyszali prawie wszystką żywność, bo potrzeby wojska są nieubłagane. Teraz o wszystko była tu wielka trudność. Smutny obraz przedstawiała każda miejscowość, gdzie gościliśmy, bo nie tylko że w domach nic nie było, ale i domy po większej części z powierzchni ziemi zniknęły; z tych zaś, które pozostały, jeżeli były słomą kryte, to takową wzięto na posłanie pod konie; jeżeli zaś drzewem, to takowego, jako suchego, użyto do gotowania. Kto owe czasy zapamięta, to przyzna, że tak było istotnie. Cała okolica przy trakcie od Warszawy do Siedlec, obraz zupełnego zniszczenia przedstawiała.

Stojąc pod Kuflewem, pułk nasz miał służbę bardzo uciążliwą rekonesansów w różnych kierunkach, tem więcej, że brak był oficerów, nas bowiem słabych oszczędzano; po kilku dniach stania na tym posterunku, dano rozkaz, by cały pułk był w gotowości do marszu. Równy ze dniem posuwa-

liśmy się ku Wodyniom, i tu w Wodyniach nam maroderom kazano pozostać, PUŁK zaś poszedł dalej naprzód.

Zdążyły za nim jakieś oddziały piechoty i batalion celnych strzelców Kuszla. Widocznem było, że robiono jakowąś podjazdową wyprawę. Ale w razie porażki, co nie daj Boże, gdyby nasze wojsko zostało zepchnięte na inny trakt, a możebnem to było wobec wielkich sił nieprzyjacielskich, stojących przed nami, byliśmy gotową i łatwą zdobyczą kozactwa.

A tę zdobycz stanowiliby oficerowie: Krzycki, Guzowski i ja, podoficerowie: Walczewski i Święcki, oraz kilku żołnierzy, a między nami było tylko trzech ordynansów do obrony zdolnych. W takiej niepewności przeszedł dzień cały, a noc większą nas jeszcze trwogą przejmowała. Rano nadjechał podoficer jazdy Podlaskiej z depeszą do dowódcy Dembińskiego, a w razie, gdyby go tu nie zastał, miał on rozkaz zatrzymać się aż do jego przybycia. To nas uspokoiło, bo wiedzieliśmy już, że wysłanemu oddziałowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Jakoż około południa nadszedł nasz PUŁK i przyprowadził kilka koni kozackich. Zaledwie zsiadli z koni, a już dowódca PUŁKU zapowiedział, że dalszy marsz wkrótce nastąpi, i żeby dlatego pospieszyć się z pożywieniem koni, które były nadzwyczajnie zmęczone. Wszystko miało miny zwarzone i widocznem było, że zaszło jakieś niepowodzenie, a komendant mojego szwadronu, kapitan Zieliński, miał bardzo zasmuconą twarz. Niezadługo nadszedł podoficer Grabowski, który w tej wyprawie mnie zastępował i w krótkości opowiedział, że szwadron miał niebardzo pomyślne spotkanie z kozakami, że jest trzech żołnierzy ranionych, z tych w moim plutonie jeden. Nie było czasu rozpytywać się o bliższe szczegóły.

Przykre to na nas zrobiło wrażenie, a mając się już lepiej i wracając się do swoich oddziałów, postanowiliśmy sobie, już nie opuszczać ich w żadnym razie. Po bardzo

krótkim odpoczynku, skoro tylko piechota, która była w tej wyprawie, nadeszła, zostawiono w aryergardzie szwadrony jazdy Podlaskiej, pułkowi zaś naszemu kazano ruszyć w pochód. Przed wieczorem stanęliśmy w Kuflewie. Tu zapowiedziano, że po krótkim także wypoczynku dalej pójdziemy. Rzeczywiście może w godzinę zatrąbiono na koń! — i jeszcze przededniem stanęliśmy w Mińsku.

Po takich trudach wszystko było nad wszelki wyraz zmęczone, tak konie jak i żołnierze, bo dzień i noc znajdowali się w marszu już od trzech dni, a mieli bardzo krótkie tylko wypoczynki, w czasie których zaledwie cokolwiek konie pożywić można było, a o gotowaniu niepodobna ani myśleć. Za to teraz wzięto się do gotowania, choć zapowiedziano, że i tu krótko stać będziemy. Nie można było domyśleć się, co powoduje ten tak nadzwyczajnie pospieszny odwrót, nieprzyjaciel bowiem nie napierał nas. Jedno tylko przypuszczano, że byliśmy zanadto naprzód wysunięci i dlatego nakazano ten szybki odwrót, by nas nie odcięto, a główne siły nasze musiały jakiś ruch wykonać, bo nigdzie żadnego wojska nie spotykaliśmy, chociaż, kiedy szliśmy poprzednio na tę wyprawę, natrafialiśmy na znaczne oddziały piechoty, dążące w tymże samym kierunku, a teraz nie wracały one z nami. Widocznie więc już poprzednio piechota cofniętą została. W Mińsku zastaliśmy małą załogę, mianowicie jakiś oddział piechoty i dwa szwadrony jazdy Mazurów.

Już po bardzo skromnym popasie mieliśmy wsiadać na koń, gdy nadeszły nasze furgony. Zatrzymano dlatego pułk i kazano pospiesznie wybrać furaz i żywność, czem się żołnierze bardzo uradowali, bo już był brak wszystkiego. A gdyby nas furgony były minęły, to błędząc, nieprędko byłyby się z nami w tym zamęcie spotkały. Doczekaliśmy się przecie wódki i tytoniu, tych arcyważnych potrzeb dla żołnierza w obozie.

Oddziały piechoty, które w wyprawie pułkownika Dembińskiego udział brały, otrzymały rozkaz wrócenia do swoich pułków i po krótkim spoczynku w Mińsku ruszyły w pochód. My także, po załatwieniu się z furazowaniem, pospieszyliśmy za nimi. Dziwiło nas tylko, żeśmy zaraz od Mińska kierunek marszu zmienili, udając się na prawo z głównego gościńca, jak również i ta okoliczność, że naszym furgonom kazano za PUŁKIEM postępować, z czego widocznem było, że już nie w Pradze, ale w innej miejscowości furazować będą. To wszystko różne nasuwało myśli. W marszu mijaliśmy bataliony piechoty różnych pułków, które w tymże, co i my, kierunku dążyły. W Okuniewie PUŁK nasz zatrzymano i kazano konie pożywić. Tu zastaliśmy spoczywające znaczne siły nasze różnej broni. Miejscowość była nam znana, bo już krwawo ją zaznaczyliśmy przy rozpoczęciu wojny, gdy nieprzyjaciel przez Węgrów w kraj się posuwał, a w bitwach pod Liwem, Dobrem, Stanisławowem i Okuniewem, PUŁK nasz brał udział. Miasteczko, które naówczas jako-tako wyglądało, na teraz było zniszczone; widać, że huragan wojny przez nie przeciągnął.

Tu jeszcze była niepewność, w którą stronę się zwrócimy. Zdawało się, że ku Stanisławowu. Jakoż wkrótce po bardzo krótkim spoczynku, zatrąbiono na koń! Wielkie było niezadowolenie w PUŁKU, który jakby na zniszczenie przeznaczono, gdyż zmęczenie ludzi i koni przechodziło wszelkie granice. Od kilku dni dzień i noc byliśmy w marszu, mając tak krótkie wypoczynki, że czas nie starczył, by konie się pożywiły, a o gotowaniu ani myśleć. Zatem nieunikniomem było, że żołnierze nietylko zgłodzeni, ale bezsennością znużeni, spać będą w marszu na koniach. Obawiano się, że skutkiem tego będzie wiele koni odsednionych. Ciągłe się więc w marszu upominało, by nie spano na koniach, ale i ci, co upominali, będąc również znużeni, tożsamo robili.

Z kierunku, w jakim postępowaliśmy, widocznem było, że dążymy ku Modlinowi. Okolica tu lesista, a robactwo dokuczliwe nie uprzyjemnia pochodu. W znacznej już odległości od Okuniewa dopędził nas pułkownik Dembiński, i jemu wtedy dowodzący PUŁKIEM, Pawłowski, wraz z sztabsoficeraami przedstawili, że PUŁK tak spiesznemi marszami trwającemi dzień i noc i to jedynie z krótkim spoczynkiem, nietylko że ma konie bardzo zmęczone, lecz także wiele odpsutych, a żołnierze nigdy na tyle nie mają czasu, by sobie jeść zgotować. Jak konie wyglądają, może się naocznie przekonać. Uznał słusność tego przedstawienia i pozwolił, by w miejscu, które dowódzca uzna za stosowne, PUŁK przez kilka godzin zatrzymał, sam zaś ze swym orszakiem pomaszerował dalej.

W jakiś czas zatrzymano PUŁK nad małym strumykiem, zatem w bardzo dogodnym miejscu, było tu bowiem drzewo i woda. Rozłożono się do obozowania i zaraz bardzo skrzętnie wzięto się do gospodarstwa. Ponieważ tu dłuższy miał być spoczynek, więc przedewszystkiem powiązano konie, zdjęto kulbaki, zadano obroki i rozpalono ognie do gotowania. Jedni z żołnierzy czyścili wojski, inni wzięli się do prania, niektórzy naprawiali uszkodzone efekta. Konie zmęczone po zdjęciu kulbak pokładły się — a były między niemi odsegnięte, nawet i ranne. Wszystkie odpowiednio opatrzone. Czas odpoczynku był więc dobrze zużytkowany, a cieszyło nas to, że żołnierze, chociaż bezsennością znużeni, ochoczo pracę wykonywali. Bo co to był za żołnierz! kiedy się o nim wspomni, żal piersi ściska, że takie dzielne siły zmarnowano przez nieudolność ich użycia.

Posłałem podoficera, by wyszukał felczera, któryby opatrzył moje rany, przyczem pokazało się, że na nodze rana znacznie się podgoiła, ale z ręką zawsze było źle, bo pomimo ostrożności często się ją urażało, a skutkiem tego rana zabliznić się nie mogła. Przybył felczer, opatrzył rany, a ja, że byłem

bardzo forsownemi marszami zmęczony, ułożyłem się do spoczynku. Sen parogodzinny znacznie mnie skrzepił. Stary poczciwy mój ordynans przygotował dla mnie jakowys posiłek, który mnie przecież nie nęcił, raz dlatego, że mi to boleśnie zawsze przypominało Łąckiego, z którym od początku wojny wspólnie spożywaliliśmy obozowe przysmaki.

Jako ranny, nie brałem udziału w wyprawie podjazdowej ku Skurzom, gdzie nasz szwadron miał starcie z kozakami. Chciałem się więc dowiedzieć dokładnie szczegółów, na co w pospiesznym marszu nie było czasu i dlatego teraz udałem się pó nie do kolegów Bagińskiego i Wrońskiego. Zastałem ich przy kociołku — mówię tedy do nich: Bardzo jesteście hardzi zwycięstwem i zdobyczą na kozakach pod Skurzami; że zaś tego tryumfu z wami nie dzieliłem, to nie chcecie mi nawet szczegółów opowiedzieć, a jestem ich bardzo ciekawy. Na to odpowiada Wroński: Co do zwycięstwa, o mało, że się na nas nie sprawdziło przysłowie: złapał kozak tatarzyna, — zaś co do zdobyczy, to kilka chudych koni, z chudszezi jeszcze poduszkami, bo jak mówili żołnierze, ani trojaka w nich nie znaleziono — nie może wzniecić zazdrości. Jedno tylko mamy w zysku, mianowicie niezasłużoną przykrość naszego kapitana, na którego cudzą winę chciano złożyć. Rzecz się tak miała: Zbliżywszy się do Skurza, zatrzymano nas pod zasłoną lasu, a dowodzący tą wyprawą pułkownik Dembiński przeznaczył szwadron, by obszedł posterunek nieprzyjacielski, którego placówkę i widety można było widzieć. Szwadron nasz pospieszył tedy w wskazanym kierunku. Miejscowości nad rzeczką Świdrem niskie i mokre, oraz przykopy utrudniały nam pośpiech, ale że nas drobne zarośla zasłaniały, dlatego kozacy nie dostrzegli niebezpieczeństwa. Gdy się szwadron nagle wysunął, spostrześliśmy, że tylko placówki i widety były na koniach, a reszta posiadała z koni. Zrobił się zamęt między kozakami nie

do opisania. Widety po strzałach na alarm wraz z placówką w bliskie krzaki uciekły. Dalej tedy szwadron bawić się łówką kozaków i koni, przez co zrobił się w nim nieład, a w tym właśnie czasie wysunęło się z krzaków z flanki i z tyłu kilka sotni kozaków. Potrzeba więc było opuścić niewolników i coprędzej sformować się do stawienia oporu, byśmy sami nie zostali niewolnikami. Wkrótce nadesłano nam pomoc, którą ujrzawszy, cofnęli się kozacy.

Wielkie było niezadowolenie w PUŁKU, a wyżsi oficerowie obwiniali pułkownika Dembińskiego, jako dowodzącego wyprawą, że działał tu bardzo nieogłędnie. Mając po temu siły, winien był wysłać przynajmniej dwa szwadrony pod komendą którego z majorów, a w takim razie jeden szwadron byłby zajęty końmi i niewolnikami, a drugi, będąc zwrócony do nieprzyjaciela, byłby zasłaniał ucierający się szwadron.

Cała ta opowieść przykre na mnie wywarła wrażenie i mimowoli nasuwała się myśl, że to już po raz drugi byliśmy tak nieogłędnie narażani. Pod Seroczynem, dwa nasze szwadrony naprzód popchnięte, naszły na kilkanaście szwadronów nieprzyjacielskich i mogły ciężką ponieść klęskę; teraz stał się podobny wypadek. A takie epizody zawsze osłabiają zaufanie do dowodzącego.

Odpuściliśmy jako-tako, kiedy zatrąbiono do kulbaczania koni. Zbierano porozrzucane manatki, a żołnierze oczyszczeni, schludnie wyglądali. Dłuższy spoczynek pokrzepił konie po bardzo forsownym marszu. Nakazano dalszy pochód. Przededniem stanęliśmy pod Serockiem. Furgony nasze miały tu wybrać furaz i żywność i za nami pospieszyć. Zastaliśmy tu zebrane znaczne siły różnej broni, które po bardzo pospiesznym marszu spoczywały.

W Widłach, gdzie się Bug z Narwią ma łączyć, postawiono dwa mosty, jeden na Bugu, drugi na Narwi. Wojska, które spoczęły, przechodziły most na Bugu i posuwały się

dalej. Sądziliśmy, że i nasz pułk, który zatrzymany czekał dalszego rozkazu, pójdzie w tymże kierunku, ponieważ brygada generała Kiekiego, do której zawsze jeszcze byliśmy zaliczani, przeszła przed nami.

Wkrótce nadjechał pułkownik Dembiński z Serocka i rozkazał pułkowi postąpić ku mostowi, sam też udał się naprzód, ażeby nam zrobiono wolne przejście bezzwłocznie. Gdyśmy przeszli Bug, zwrócono nas na most na Narwi. Tu nie było ścisku, przeszliśmy go zatem pospiesznie i znaleźliśmy się na trakcie prowadzącym do Pułtuska.

Okolica była nam nieznaną, bo nie stawała tu dawniej kawaleria, lecz garnizony piechoty. Nie znać tu było jeszcze zniszczenia, jakie wojna za sobą pociąga, nawet powietrze było o wiele czystsze i niezatrute miazmami płytko pogrzebanych tak ludzi jak i koni. Oddychało się też pełną piersią.

Maszerując bez wytchnienia, stanęliśmy przed wieczorem w Pułtusku i tu zaopatrzone nas obficie w furaz i żywność. Radość z naszego przybycia w mieście była wielka. Już późnym wieczorem nadciągnęły tu działa, jak również oddziały piechoty. Zrobił się ruch większy w mieście. Ze wszystkiego widocznem było, że nasz pułk wykonuje ruch flankowy i dlatego-to bardzo forsownemi marszami przerzucony został z prawego naszego skrzydła na lewe i że jesteśmy naprzód wysunięci, a zatem wkrótce z nieprzyjacielem się spotkamy.

Oddawna już nie mieliśmy tak spokojnej nocy, bez obawy alarmu, więc strudzeni żołnierze snem się tu skrzepili. Równy ze dniem ruszyliśmy w dalszy pochód, a w Szelkowie nas zatrzymano. Zastaliśmy tu oddziały piechoty, ale te po większej części kosami były uzbrojone. Nadeszły nasze furgony, zaopatrzone nas w furaz i żywność, chociaż staraliśmy się o to, żeby potrzeby opędzać, o ile się da, z rekwizycy w miejscu, a wybrane z furgonów zaoszczędzać.

Nakazano dalszy pochód, a że odpoczynek w Szelkowie był dłuższy, duch się ożywił w PUŁKU. Spotykaliśmy w marszu oddziały piechoty, a wszystkie nowo sformowane. Nie obeszło się bez konceptów, a wiadomo już starym wiarusom, że przy każdym spotkaniu kawalerii z piechotą bez wzajemnych przymówek się nie obeszło, chociaż sobie nawzajem i kawaleria i piechota były rade, a w bitwach nawzajem dzielnie się wspierały. Najwięcej jednakże żartowaliśmy, przechodząc około dział lekkich, jakby wiwatówki, bo cztero-funtowych. Zapytywano kanonierów: »Na odpust czyli na jakie imieniny spieszycie?« Na co odpowiadali jedni z nich: »Że na chrzest Dybicza;« inni znów: »Żartujcie sobie zdrowi, będziecie się na nas miłosiernie oglądali, jak wam będzie za gorąco, by was ochłodzić.« Było w tem cokolwiek prawdy, ale przy ciepłocie dwunasto-funtówek, cztero-funtówki nie wieleby nas ochłodzić mogły.

Przed wieczorem doszliśmy do Różanny i przed miastem rozłożono się do obozowania, ale nakazano ostrożność, ażeby być w gotowości na wszelki wypadek, ponieważ rekonesanse nieprzyjacielskie często aż tu docierają, a PUŁK nasz był wysunięty naprzód. Tu był skoncentrowany cały oddział, stanowiący jakoby osobny korpus, który w tej wyprawie miał być użyty. Składały go dwa bataliony pułku płockiego, dwa bataliony czwarte ze starych pułków, a cała ta piechota więcej niż w połowie była w kosy uzbrojona, dalej ze dwa szwadrony jazdy płockiej na lichych koniach, z artylerii zaś cztery działa mniej niż lekkie i dwa działa pozycyjne, stanowiące prawdziwą ochłodę, tylko niedostateczną. Wreszcie nasz PUŁK jeden starej jazdy. Jak się zatem z tego obliczenia okazuje, byliśmy niebardzo potężni. Robiono nam także nadzieję, że mają być jakoweś oddziały partyzantów w osadach kurpi w okolicy Kolna i Myszyńca, które nas w tym ruchu wspierać będą, co wszakże nie nastąpiło.

Z temi-to, jak wyżej wykazałem, siłami, mieliśmy uderzyć na generała rosyjskiego Sakena, który stał w Ostrołęce z korpusem, jak utrzymywano, liczącym do dwunastu tysięcy, oraz ze stosowną artyleryą. Most na Narwi miał on obsadzony batalionem piechoty z przeciwnej strony, a mostu bronił szaniec przedmostowy w Ostrołęce obsadzony działami. Właśnie wyprawa nasza w tym celu była zrobiona, by ten most na Sakenie zdobyć, a przynajmniej nie dać go zniszczyć. Zadanie więc było niełatwe.

Z kierunku jednakże, jaki armia nasza brała przy przeprawie pod Serockiem, domyślano się, iż obchodzi ona nieprzyjaciela, i to wzniecało w nas otuchę. Że dowodzącemu naszymi siłami pułkownikowi Dembińskiemu było zawsze pilno, a czasem nawet i zanadto pilno, co nieraz równą szkodę spowodować może, jak opieszałość, tegośmy już doświadczyli.

Zaraz z wieczora rozpoczął się ogólny ruch. Pułk nasz postępował pierwszy. Odkomenderowano szwadron 3ci kapitana Janowicza, któremu dodano oddział piechoty, by obszedł posterunek, który strzegł mostu na rzece Omulewie na gościńcu prowadzącym do Ostrołęki i ażeby takowy, otoczywszy, sprzątnął, lecz żeby Ostrołęki nie zaalarmował. Cały oddział zwolna postępował, oczekując zawiadomienia od Janowicza.

Po jakimś czasie zawiadomiono dowodzącego, że most na Omulewie nie jest obsadzony, więc bez straty czasu ruszyliśmy naprzód, podsuwając się jak najciszej pod miasto.

Zeszliśmy z gościńca i pułk stanął w szyku bojowym, frontem zwrócony ku Ostrołęce. Przed nami rozciągał się dość wysoki nasyp gościńca, a zaraz poza nim znajdowała się znaczna liczba domków murowanych, jakby dla jakiej fabryki przeznaczonych, bo wszystkie były jednakie i jakby wojsko w równej linii stojące.

Jeszcze wśród nocy rozpoczął się ogień ręcznej broni przy moście na Narwi, który nieprzyjaciel zaczął niszczyć.

Ogień wzmagał się coraz bardziej ku dniowi, a skoro tylko o tyle się rozwidniło, że rozstawione nasze szeregi widzieć można było, rozpoczął się silny ogień działowy od strony Ostrołęki.

Nieprzyjaciel wszakże miał na całej linii pozycję górującą nad naszą, przytem działa ciężkie, dlatego w krótkim czasie zdemontował nasze dwa lekkie działa, które między dywizyonami PUŁKU były ustawione, lecz że nas Narew od nieprzyjaciela dzieliła, do akcji przyjść nie mogło. Stojące w miejscu szwadrony nasze, były jakby tarczą dla dział nieprzyjacielskich i one też zwróciły na nas gwałtowny ogień. Teraz jedynie te domki, które mieliśmy przed sobą, stały się jaką-taką ochroną przynajmniej od strzałów rdzennych, chociaż nie żałowano nam dla odmiiany i granatów. Około południa istotnie zaczęło nam być za gorąco, bo nietylko słońce dopiekało, ale i działa zza Narwi mocno dogrzewały; ci zaś, co nas chłodzić mieli, oddawna już zamilkli. Każdy z wojskowych zrozumieć, że taka pozycja dla kawaleryi jest najprzykrzejszą.

Ale trwało to już długo i trudno było zrozumieć, dlaczego nas nieprzyjaciel, w przeważnej sile będący, czego łatwo mógł dostrzedz, nie atakuje. Rozumieliśmy dobrze, że w takim razie ponieśliśmyby wielkie straty. Działa nasze, prócz dwóch pozycyjnych, zostały zdemontowane i zupełnie umilkły. Dowodzący nami, pułkownik Dembiński, spodziewał się, jak się to później pokazało, natarcia na Sakena z przeciwnej strony, lecz, niestety, było ono spóźnione, a my mogliśmy tymczasem zupełnie być zniesieni, bo zaczęliśmy nieprzyjaciela zawczasie.

Szczególnie przedstawiała się ta akcja. My, jako strona zaczepna, byliśmy za słabi do wyparcia nieprzyjaciela z zajmowanego stanowiska i na teraz trzymaliśmy się odpornie; przeciwna zaś strona, chociaż o wiele silniejsza, trzymała się także odpornie, bo tylko przy moście ucierała się piechota,

a artylerya prażyła nas ogniem działowym zza Narwi, który ani na chwilę nie ustawał. Jednakże pod osłoną owych domów niewielkie ponieśliśmy straty i to w większej części od pękniętych granatów.

Już z południa dał się widzieć ruch wojska w Ostrołęce; artylerya pośpiesznie opuszczała zajmowane pozycje. Wszystko się cofało, a wkrótce i most został opuszczony. Dowodzący nami pułkownik Dembiński kazał batalionowi piechoty przeprować się, co z trudnością wykonano, bo nieprzyjaciel, jak wyżej powiedziałem, w nocy most uszkodził; wzięto się zatem pierwaj do naprawy, by nam przejście ułatwić, a kiedy już chociaż jako-tako dokonano naprawy, zaczęliśmy przechodzić, ale bardzo ostrożnie, bo nietylko że żadnej poręczy na długim moście nie było, zrzucano je bowiem, ale także drzewo, naprędcy ułożone, pod koźmi tańczyło. Po tej przykrej przeprowie pułk nasz pospiesznie przeszedł miasto i nie ku Łomży, lecz ku Nowogrodowi się zwrócił, dokąd także jakiś oddział piechoty za nami postępował. Zdawało się, że jenerał moskiewski Saken, widząc się otoczonym, cofał się ku Prusom. Pospieszaliśmy za nim, chcąc wziąć odwet za to, że nam tak dopiekał pod Ostrołęką.

Uszedłszy już z milę drogi w tym kierunku, z wielkiem naszym zdziwieniem zwrócono nas napowrót do Ostrołęki. Kazano popaść konie, a nie było na tyle czasu, by się i żołnierze pożywić mogli. Zatrąbiono na koź! Zwróćeni na gościniec ku Łomży prowadzący, już późnym wieczorem stanęliśmy w Miastkowie. Tu, jak się zdawało, dłuższego dozwolą nam spoczynku, bo tak ludzie, jak konie, bardzo byli zmęczeni — nie wykonywaliśmy już bowiem marszu z wytkniętym kierunkiem, ale jakieś błądzenie, które sprzeczne ze sobą rozkazy powodowały. Po rozłożeniu się do obozowania, za ledwie parę godzin minęło spokojnie, a już nakazano gotowość do marszu, który-to ruch jakieś złe wieści spowodowały.

Należy mi w tem miejscu wyjaśnić fakt, który dla naszego PUŁKU przykrym był bardzo. Jak wyżej powiedziałem, wysłano zaraz po ustąpieniu generała Sakena z Ostrołęki trzy szwadrony naszego PUŁKU ku Nowogrodowi, jeden zaś szwadron, to jest 3ci Janowicza, pozostawił dowodzący nami pułkownik Dembiński przy sobie w Ostrołęce. Kiedy wskutek rozkazu zwrócono nas z powrotem do Ostrołęki, nie zastaliśmy tu już ani dowodzącego, ani naszego szwadronu, z którym miał się pułkownik Dembiński posunąć ku Łomży. Po krótkim wypoczynku kazano i nam postępować w tymże kierunku, a kiedy stanęliśmy w Miastkowie, szwadron nasz przyłączony do jakiegoś oddziału piechoty pod komendą pułkownika Sierakowskiego odszedł już, lecz w jakim kierunku, dowiedzieć się naówczas nie było można. To tylko powiedzieć muszę, że już dla PUŁKU szwadron został stracony, i odtąd PUŁK nasz składał się tylko z trzech szwadronów, aż do końca kampanii.

Około północy wyruszyliśmy z Miastkowa, a posuwając się naprzód, mijaliśmy wojska różnej broni do dywizyi generała Giełguda należące. My mieliśmy tworzyć awangardę i dlatego jeszcze przededniem stanęliśmy pod Łomżą, czekając dalszego rozkazu. Ponieważ dość długo byliśmy tu zatrzymani, więc przybywały do nas z miasta różne osoby i opowiadano różne szczegóły, n. p. jak dnia wczorajszego Moskale niszczyli wszystko, czego zabrać nie mogli i z wielkim pośpiechem miasto opuszczali.

Nadszedł sztab dywizyi i generał Giełgud z muzyką wszedł do miasta. Nas zwrócono na prawo i drogą około miasta poprzed wszystkimi okopami, któremi było opasane, doszliśmy do gościńca, prowadzącego ku Tykocinowi i na wzgórzu około wiatraków przy tymże gościńcu stanęliśmy do obozowania, jako awangarda naprzód wysunięci.

Poza nami stały różne zabudowania, do klasztoru Panien Benedyktynek należące. Mówiono nam, że w jednej szopie

mają być złożone różne bagaże oficerów nieprzyjacielskich w pośpiechu odwrotu pozostawione. Na tę wieść nie zwracaliśmy bynajmniej uwagi, bo żołnierze przedewszystkiem zająć się musieli karmieniem koni. Również i w innych miejscach miały się znajdować różne pozostałości odbieżone, a w klasztorze Kapucynów powozy W. Księcia Michała dowodzącego gwardyą. Kiedy się ta wieść rozeszła szerzej, nasze ciekawe piechurki pospiesznie się zabrali do poszukiwania rzekomej zdobyczy w mieście.

Zapewne musiano im wskazać ową szopę poza klasztorem będącą, o której mówiłem, bo usłyszeliśmy wielki hałas, kiedy ją otworzono. Wyrzucano z niej i rozchwytywano futra, walizy, mantelzaki, juki, wszystko spakowane, a były-to oficerskie bagaże; lecz przy tej zdobyczy rozpoczęła się tak zacięta bójka, że zbrojnie amatorów rozpedzić musiano. Nasi ułani nawet w mieście nie byli, bo zakazano im jak najsurowiej od koni się oddalać, co im przecież, jak się później pokazało, wyszło na dobre, bo piechurki, prócz zdobyczy, która ich nęciła, zdobyli także i cholereę grasującą tu bardzo naówczas.

Ponieważ wojsko polskie za czasów W. Księcia nigdy w tych stronach nie stawało, zatem okolica była nam prawie zupełnie nieznaną, dlatego z wielką ciekawością rozglądano się po niej. Przychodziły i do nas różne osobistości z miasta, przyczem opowiadano nam rozmaite szczegóły o prawdziwie barbarzyńskich nadużyciach, jakich dopuszczali się Moskale, chociaż w mieście stał W. Książę. Wszelkie zażalenia były bezskuteczne. Przez nienawiść dokonywano zniszczenia. W jaki sposób to się działo, winienem poprzednio wyjaśnić, a równocześnie o mieście kilka słów powiem.

Miasto Łomża od strony Narwi położone jest na dość wyniosłym wzgórzu, dosyć obszerne i nie źle zabudowane, szczególnie tak zwane Nowe Miasto, przez które przechodzi główny gościniec warszawski pomiędzy zabudowaniami da-

wniej klasztorami, na teraz zaś na szkołę wojewódzką przeznaczonemi, gdzie i profesorowie byli pomieszczeni, a kościołem po-pijarskim. Zabudowania te, niegdyś złączone galeryą z kościołem, stanowiły jedną całość, galerya wszakże celem przeprowadzenia rzeczzonego gościńca została zburzona. Odtąd idzie ów gościniec po wysokim nasypie przez część miasta, a dalej groblą także wysoko usypaną, dość długą, z pięciu mostami na Narwi, do wsi Piątnicy, Stawisk i dalej. Owe to mosty na Narwi, Moskale, cofając się, prawie wszystkie zniszczyli. Ponieważ mieszczanie tutejsi mają grunta i trudnią się rolnictwem, mieli więc na przechowanie zbiorów pobudowane stodoły za miastem, które im Moskale spalić kazali, jakoby dla odsłonięcia pozycyi, chociaż leżały one z przeciwnej strony, z której ataku spodziewać się nie można było.

Była również w bliskości miasta posiadłość zwana Rembelińszczyzną albo Rembelinem od swego właściciela. Wznosił się tu piękny pałac z różnemi zabudowaniami, a przy nim był bardzo wielki park dobrze utrzymywany, stawy, kanały zawadnione. W lecie całe miasto używało tam zwykle przechadzki, a w zimie młodzież na stawach i kanałach próbowała sportu łyżwiarskiego. Moskale, kiedy cholera srożyć się poczęła, założyli w pałacu i zabudowaniach szpital choleryczny, a w jakiś czas wszystko spalili, i twierdzili, że stało się to wypadkiem tylko, chociaż inaczej o tym wypadku mówiono.

Dozwolono nam dość długiego wypoczynku, gdyż generał Giełgud, pod którego dowództwem na teraz zostawaliśmy, nie grzeszył pośpiechem. Skorzystałem z tego czasu i odszukałem felczera, by mi rany opatrzył, na co w ciągłym, bardzo pośpiesznym marszu, czasu nie było. Rana w nodze już się zablizniła, ale z ręką zawsze jeszcze źle było. Po opatrzeniu, mocno strudzony, ułożyłem się po bezsennych nocach do spoczynku, którym się bardzo skrzepiłem. Kiedym się zbudził, opowiadali mi koledzy, że był u nas pułkownik Katerla,

stojący ze swym pułkiem w mieście. Pułkownik Katerla służył długi czas w pułku 3cim ułanów i dopiero w roku 1826 przeszedł do pułku 1go ułanów, jako major, dlatego znał starszych oficerów z dawniejszych wojen i przybył ich odwiedzić. Zdziwił on się bardzo, że konie mamy tak zniszczone, a kiedy mu powiedziano, iż już od dni dziesięciu pułk prawie dzień i noc nie zsiada z koni, zwrócił się do naszego dowódcy podpułkownika Pawłowskiego i powiedział mu, że on powinien bronić pułku od zniszczenia i zrobić przedstawienie do sztabu głównego. Bardzo to przypomnienie było potrzebne Pawłowskiemu, bo on o pułk zupełnie nie dbał i dlatego był nielubiony.

Co do Katerli, lubiono go bardzo w pułku, bo był jego ozdobą, po pierwsze dlatego, że miał sławę zdobytą w dawniejszych wojnach; w roku 1809 był w owym starciu, gdzie szef jego, ów sławny Berek, alias Berkowicz, w Kocku przez luzarów węgierskich obskoczony i zarąbany został, on zaś, aczkolwiek bardzo poraniony, zdołał się przebić, a w roku 1812 także bardzo się odznaczał. A powtóre, był to ułan w całym znaczeniu tego słowa, piękny, i miał sławę najlepszego jeźdźca w całej naszej armii. Kiedy w roku 1826 pułk 1szy ułanów stał na służbie w Warszawie, ożenił się on bogato, zdaje mi się, z panią Kuczyńską.

Po dość długim odpoczynku, a który w czasie pościgu nieprzyjaciela był nawet za długim, kazano nam posuwać się naprzód traktem ku Tykocinowi. Przeszliśmy przez Pniewo, a gdyśmy doszli do Jakaci, mówiono nam, że aryergarda nieprzyjacielska przeszła tędy niedawno bardzo pospiesznie i że siły przed nami ustępujące są bardzo znaczne. Zdążyliśmy za nimi i już pod wieczór starliśmy się pod Rutkami z ich tylną strażą. Nadeszła nasza piechota oraz artylerya i wszczął się zacięty bój, który w lesie należącym do Mężenina trwał do późnej nocy. Nieprzyjaciel silnie napierany,

ciągle ustępował. Tu także, chociaż wśród lasu, poniósł PUŁK straty od pękających granatów.

Noc ciemna przerwała walkę; cofnięto nas z lasu i rozłożyliśmy się do obozowania. Wkrótce jednakże dało się słyszeć strzelanie, a w lesie ruch się zrobił i poczęto się zbierać. Trudno było zrozumieć, co by to znaczyć miało, bo przecież w tak ciemną noc nie rozpoczynał boju obydwie strony; że jednakże po tej strzelaninie zrobiła się cisza, sądzono więc, że rekonesanse zetknęły się i powitały wzajemnie strzałami. I u nas nastał spokój, a wówczas wzięto się do żywienia koni i gotowania. Straż obozową utrzymywała piechota.

Dziwiło nas, że w czasie stania obozem pod Łomżą, pułkownik Dembiński PUŁKU nie odwiedził, a to tem więcej, że zazwyczaj, kiedy PUŁK, jak teraz, stał w pierwszej linii, on zwykle był obecny, a teraz nie pokazał się wcale. Domyślano się z tej okazji, że musiała zajść jakaś zmiana w komendzie, o której wszakże PUŁK nie został jeszcze zawiadomiony. Równy ze dniem ruszyliśmy w pochód ku Tykocinowi.

W lesie Meżeńskim, w którym dnia wczorajszego było bardzo gorące starcie, leżeli zabici i ranni, tak nasi, jakoteż Moskale. Na gościńcu pozostawił spieszący nieprzyjaciel działą z zgruchotaną lawetą, obok którego leżało dwóch kanonierów zabitych. Smutny tu także mieliśmy widok: ujrzelśmy rannych żołnierzy z któregoś nowo sformowanego pułku piechoty, a rany te odnieśli od swoich, bo przez nieostrożne prowadzenie wśród ciemnej nocy, sami swoi między sobą do siebie strzelali. To była właśnie owa nocna strzelanina, która tak nas jak innych chwilowo zaalarmowała.

Już dobrze z południa zatrzymano PUŁK pod Tykocinem. Nadjechał generał Kicki i z wielką radością dowiedzieliśmy się, że PUŁK wrócił do jego brygady, a wtedy z piersi naszych wyrwał się z wielkim zapędem okrzyk powitania. Wtedy właśnie dano wiadomość z miasta, że Mo-

skale bardzo spiesznie przeprawiają się przez Narew, a most zaraz po przeprowieniu się mają zniszczyć.

Sformowani szóstkami, mieliśmy galopem wpaść do miasta. Ale ostrzeżono generała, że gdy jedni z Moskali pospiesznie przez most się przeprawiają, inni zrobili zasadzkę po domach przy ulicy wiodącej do mostu, więc możemy na ciężkie straty być narażeni. Skutkiem tego ostrzeżenia zostaliśmy zatrzymani, a generał wysłał adjutanta, by jak najspieszniej batalion piechoty sprowadził, który ujrzeliśmy wkrótce, prawie biegiem dążący. Od miejsca, gdzie nas zatrzymano, był na lewo kościół na wzgórzu. Tu odprzodkowano nadeszłe nasze dwa działa i zaczęto rzucać pociski na most, na którym zza Narwi nieprzyjaciel odpowiadał. Za wejściem naszej piechoty w miasto, rozpoczął się ogień ręcznej broni, a ustępujący Moskale rzeźbić nań odpowiadali. Jednakże jakaś część ich, nie mogąc się wcisnąć na most, została przez naszą piechotę odcięta, a wtedy przepuściła nas piechota i galopem wpadliśmy na most, pędząc przed sobą ustępującą nieprzyjacielską piechotę. Tym sposobem uniknęliśmy skartaczowania, bo nieprzyjaciel, chcąc nas razić, raziłby i swoich przed nami ustępujących. Przeszedłszy most, formowaliśmy się na lewo poza budynkami komory celnej, a w ślad za nami przeszedł także batalion piechoty i formował się na prawo gościńca, również poza jakimiś budynkami. Most zatem był zdobyty. Moskale, po przeprowieniu się naszych szwadronów, z działami, które mieli na gościńcu prowadzącym do Białegostoku, pospiesznie się cofnęli i cisza nastąpiła zupełna.

Wieczorem dwa nasze szwadrony ściągnięto, a batalion piechoty pozostał dla strzeżenia mostu. Za miastem, na placu dla PUŁKU oznaczonym, zastaliśmy nasz sztab oraz szwadron i rozłożono się do obozowania. W tem spotkaniu, ponieważ dywizyon postępował w ślad za naszą piechotą, która się ucierała, dwóch żołnierzy i podoficer Przybyłowicz z 1go szwadronu zostało ranionych.

Niezadowolenie w wojsku coraz bardziej się zwiększało. Ponościło wojsko niewypowiedziane trudy, a z nich żadnej korzyści nie odniesiono, przez opieszałość bowiem dowódców wszędzie przychodziliśmy za późno. Jeszcze podtrzymywała ducha nadzieja, że następnego dnia o tym czasie obozować będziemy pod Białymstokiem, niestety była - to złudna nadzieja.

Rano dowiedzieliśmy się ze smutkiem, że w nocy most na Narwi zniszczono. Jeżeli więc ruszymy w marsz, to w zupełnie innym kierunku, niż pragnęliśmy. Nadesłano rozkaz dzienny ze sztabu, że PUŁK wraca do brygady 1szej pod dowództwem generała Kickiego będącej, o czym już poprzednio sam nas zawiadomił.

Od samego rana rozpoczął się ruch naszego wojska w różnych kierunkach. Dywizya generała Gielguda wracała do Łomży. Nadjechał generał Kicki i bardzo był niezadowolony, że konie w PUŁKU były bardzo zniszczone, jak również, że oderwano jeden szwadron i dlatego PUŁK jest teraz niekompletny. Oświadczył, że się o to w sztabie postara, by szwadron zwrócono. Nie przewidywał nikt, że wypadki, bardzo szybko po sobie idące, staną temu na przeszkodzie.

Przed południem dywizya generała Rybińskiego wyruszyła, a że brygada nasza na teraz do niej przydzieloną została, więc ruszyliśmy i my w pochód. Już z południa stanęliśmy pod Zambrowem do obozowania. Furażowanie było bardzo trudne, bo miejscowości, przez które przechodziliśmy, zajmowane poprzednio przez Moskali, zupełnie były wyniszczone. Z trudnością można było pożywić konie, a żołnierzom często głód się przypominał.

Że to był koniec maja, więc słomy na posłanie, a jak my zwaliśmy, materacy, prawie nigdzie nie było.

Trzeba było dlatego niezbyt kownie ułożyć się do spoczynku na gołej ziemi. Ależ bo ta mazowiecka ziemia! Jak zwykle z Mazurów żartowaliśmy, że u nich kamień na ka-

mieniu i pod kamieniem kamień, a teraz przekonaliśmy się na prawdę, że posłanie takie nie bardzo było wygodne.

Samym wieczorem ruszyliśmy w dalszy pochód. Minąwszy miasteczko Śniadów, stanęliśmy równo ze dniem pod Kleczkowem. Rozeszło się wojsko na oznaczone miejsca do obozowania. W PUŁKU naszym kazano rozkulbaczyć konie, a było już wiele między niemi pospiesznymi marszami odpsutych. Zdawało się z tego powodu, że tu dłuższy czas będziemy zatrzymani, by rany poodmywać, wojłoki poczyścić i że musi być wszelka pewność, iż nieprzyjaciel nie wykona na nas napadu. Ja także skorzystałem z tego wypoczynku i dałem sobie rękę opatrzeć, a noga już się podgoiła.

Teraz już widocznie byliśmy w odwrocie. Smutek ścisnął piersi, że acz mogliśmy z tej wyprawy wiele odnieść korzyści, powracamy przecież z niczem! znużeni nadwyzczajnie i ze zniszczonemi końmi forsownemi marszami. W całej tej wyprawie odsłonił się brak zupełny zdolnego dowództwa, a głośno to zdanie wypowiadali nasi wyżsi oficerowie, którzy już oddawna znali się dobrze z wojną. Zauważyli to oni, że częstokroć mieliśmy o wiele przeważające siły, a jednak zostawiali nasi dowódcy przez opieszałość nieprzyjacielowi tyle czasu, że mógł się cofnąć bez straty.

Najwięcej obwiniano Gielguda, z przyczyny którego po największej części wszelkie korzyści tej wyprawy były stracone. Gnuśny ten sybaryta, dbający tylko o własne wygodę, przez swe lenistwo stracił prawie dwie doby, przyszedł późno pod Ostrołękę i dlatego korpus Sakena z matni wypuścił; spóźnił się także do Łomży, a tymczasem zniszczyli Moskale mosty, magazyny i wszystko, czego uprowadzić nie mogli. Zadługo, podług swego zwyczaju, uraczał się w Łomży, tak, że zaledwie późnym wieczorem moskiewską aryergardę można było osiągnąć, a noc dozwoliła nieprzyjacielowi cofnąć się bez straty. Sądzono wówczas, że pociągniętym być winien do odpowiedzialności. Taka była ogólna opinia, a był to

głos nie klubistów, ale tych, co w każdej godzinie życie swe nieśli w ofierze.

Jak to wyżej powiedziałem, rozkulbaczyliśmy konie pod Kleczkowem i na dobre się rozgospodarowali. Cisza zalegała zupełna, zdawałoby się, że o nieprzyjacielu ani zasłyszeć nie można. Niestety, było to złudzenie!

Z południa zatrąbiono na alarm. Z największym pośpiechem kulbaczone konie i w krótkim czasie ruszyliśmy w pochód. Pospieszano w marszu i przed wieczorem byliśmy w Ostrołęce. Piechota przechodziła przez most naprędce złożony, a my przechodziliśmy przez most na palach. Przedostawszy się za Narew, posunęliśmy się nad rzekę Omulew i tu stanęliśmy do obozowania. Wojska różnej broni zajmowały rozmaite stanowiska.

Przechodząc przez Ostrołękę, spotkaliśmy nasze furgony, a był-to traf bardzo szczęśliwy, bo inaczej mogłyby błądzić, szukając nas, co się często zdarzało. Gdyśmy zajęli obozowe stanowisko, załatwiono się wkrótce z furazowaniem. Wojsko nasze różnej broni, które przeszło Narew, ustawiało się na linii, jakby do boju, zwrócone ku Ostrołęce. Nie sądzono jednakże, by w tej, bardzo niekorzystnej dla nas pozycji, chciał naczelny wódz przyjąć bitwę.

Lecz tu właśnie niepowodzenie w całej tej wyprawie mieliśmy zupełną klęską zapieczętować, a dzień jutrzejszy miał być dniem ostatnim dla bardzo wielu.

Ponieważ pułk nasz należał poprzednio do wyprawy, która pod dowództwem pułkownika Dembińskiego była wysłaną przeciw Sakenowi, zajmującemu naówczas Ostrołękę, by go wyprzeć z miasta, lecz ponieważ nie mieliśmy dostatecznych sił do wykonania tego pięknego planu, zatem dla tej prostej przyczyny musieliśmy stać długi czas pod ogniem działowym od miasta na nas zwróconym — nadarzyła się więc dobra okazyja, by w pozycji obustronnej rozpatrzeć się dokładnie. Uważam przeto za stósowne opisać takową.

Od mostu na rzece Omulewie, który stanowił prawe nasze skrzydło, prowadzi gościniec po wysokim nasypie aż do mostu na palach na Narwi do Ostrołęki. Nasyp ten był widocznie dlatego zrobionym, by przy wezbraniu Omulewa i Narwi komunikacja nie była utrudniona. Niedaleko od mostu na lewo rzeka Narew zakreśla półkole, a w tym zakręcie są bagna i tak zwane mokre ługi, na które przy wezbraniu wylewa. Te ługi stanowiły nasze lewe skrzydło, środek niski i zupełnie otwarty. Przeciwna zaś strona Narwi, którą zajmował nieprzyjaciel, od owego zakrętu Narwi naprzeciw naszego lewego skrzydła, była znacznie wywyższona. Na tem właśnie wzgórzu stało wówczas dwa lub trzy wiatraki. Dalej miasto Ostrołęka także na wzgórzu, a wywyższenie to ciągnęło się poza miastem aż prawie do ujścia Omulewa, o które oparte było nasze prawe skrzydło. Całą tę górującą linię obsadził nieprzyjaciel ciężkimi działami licznej swej artyleryi, jak również szaniec przedmostowy, przez stojącego tu poprzednio ze swym korpusem Sakena usypany, a który naprędce teraz zaraz po wzięciu Ostrołęki poprawiono i ciężkimi działami także obsadzono. W tem właśnie nad wszelki wyraz niekorzystnem dla naszego wojska położeniu, rozpocząć się miał bój jeden z najkrwawszych w ówczesnej wojnie, bo siły feldmarszałka Dybicza, które mieliśmy przed sobą, były od naszych, po odcięciu dywizyi generała Giełguda, więcej niż dwa razy liczniejsze. Wojska nasze, jak się wyżej powiedziało, przechodziły Narew aż do późnej nocy, dywizya zaś generała Łubińskiego, która po starciu się pod Nurem ustępowała przed całemi siłami feldmarszałka Dybicza, traktem od Nura i Ostrowi ku Ostrołęce, zatem z prawej naszej flanki, miała rozkaz utrzymania Ostrołęki, którą generał Łubiński częścią swej dywizyi obsadził, a to, jak utrzymywano później, dlatego, by dywizya generała Giełguda, znajdująca się naówczas w Łomży, mogła mieć wolny gościniec dla połączenia się z główną armią

w Ostrołęce. Gościniec ten prowadził od Łomży z lewej naszej flanki, zatem na teraz wolnym był od nieprzyjaciela. Dla wykonania tego ruchu trzeba było tylko pośpiechu ze strony generała Giełguda.

Dywizya jazdy generała Skarżyńskiego, do której nasza brygada należała, przeprawiwszy się przez Narew, stanęła po jednej i drugiej stronie rzeki Omulewa. Tędy całą prawie noc przez most, przy którym staliśmy w bliskości, przeprowały się różne pociągi i wiele wozów amunicyjnych, odwrót więc był widoczny i pospieszny. Jednakże inaczej zrządziło złe fatum.

Zaraz zrana dały się słyszeć strzały karabinowe od Ostrołęki, a wkrótce i huk dział. Nieprzyjaciel w wielkiej sile i z wielką natarczywością uderzył na miasto. Ruch wielki z tego powodu zrobił się w naszym obozie, a nam kazano być w gotowości. Bataliony naszej piechoty spieszyły ku mostom, by wesprzeć ustępujących, którzy naciskani zmasowaną piechotą nieprzyjacielską ustępowali na mosty, powstrzymując nacierających nieprzyjaciół bagnetem. Pod takim naciskiem załamał się jeden most naprędce złożony i wielu tak naszych, jakoteż Moskali, pochłonęły głębiny Narwi. Drugi zaś most na palach, pomimo rozpaczliwej obrony, został przez Moskali zdobyty. Chodziło teraz już tylko o to, by powstrzymać przeprawę tak przeważnych sił, przy moście zatem już nie bitwa, ale prawdziwa rzeź rozpoczęła się od samego rana.

Nieprzyjaciel zaraz po zdobyciu miasta obsadził liczną artyleryą całą swą linię bojową i artylerya ta, zbliżając się ku mostowi, nasze kolumny morderczym ogniem razła, szczególnie z szańca przedmostowego, a prócz tego jeszcze najszkodliwiej, bo krzyżowym ogniem, z owego zakrętu Narwi ze wzgórza pod wiatrakami na naszym lewym skrzydle. Przejść więc ów nasyp gościńca ku mostowi było prawie niepodobna, i waleczność naszej piechoty ani na chwilę tego piekielnego ognia

nie wstrzymała. W pierwszym jednakże momencie kilka batalionów nieprzyjacielskiej piechoty pod osłoną swych dział przeszło most i sformowało się na owych mokrych ługach naszego lewego skrzydła — to właśnie poniekąd utrudniło działanie artylerii nieprzyjacielskiej, która przez swoje kolumny nie mogła razić krzyżowym ogniem zbliżającej się naszej piechoty ku mostowi. Zwróciła więc swój morderczy ogień na dalsze nasze kolumny, by powstrzymać zbliżanie się ich ku mostowi, bo przy samym moście najzaciętszy wrzał bój, a pomimo rozpaczliwego męstwa naszej piechoty przeciskały się bataliony nieprzyjacielskie przez most i formowały na owym ługu, nie posuwając się jednakże naprzód z obawy licznej naszej kawaleryi, od której, stojąc na bagnach, były zupełnie bezpieczne.

Okolo południa brygada 2ga naszej dywizyi otrzymała rozkaz posunięcia się ku lewemu skrzydłu, defilowała więc poprzec całą linią dział nieprzyjacielskich, które salutowały ją kulami. Nasza zaś brygada stała sformowana na naszym prawem skrzydle, a chociaż nie była czynną, jednakże nie obeszło się bez strat, bo i tu kule armatnie dochodziły.

Zaraz z południa, kiedy już nasza piechota po ciężkich stratach ze znużenia upadała, kazano naszej brygadzie, pod dowództwem jenerała Kickiego będącej, posunąć się z prawego naszego skrzydła ku lewemu i zająć stanowisko naprost mostu. Cofnął się ztąd właśnie po bardzo dotkliwych stratach pułk 2gi strzelców konnych, a zajął to stanowisko pułk 2gi ułanów z naszej brygady, i nasz pułk, który już poprzednio poniósł straty w ludziach i koniach. Tu zaś stanęliśmy pod najsilniejszym ogniem artylerii. Zaledwie uszykowaliśmy się po przejściu z jednej flanki na drugą, zaraz zaczęły się wyłomy w szeregach i co chwila słyszeć można było komendę: »Naprzód! Zemknij się do prawego! Stój! Równaj się! Od prawego do trzech odlicz się!» Tak-to znaczyliśmy krwawo każdy nasz krok. Kula działowa zabiła w naszym szwadronie oficera

Bagińskiego i dwóch żołnierzy za nim w szeregu stojących. Zastąpił go Matusowicz, stary podchorąży, który dawniej zwykle woził sztandar, o którym wspominałem poprzednio. Wkrótce zginął podoficer Wolski i żołnierz, a po innych szwadronach nielepiej się działo. Był - to przecież dopiero początek.

Pułk 2gi ułanów, posunięty więcej ku lewemu skrzydłu, jeszcze dotkliwiej był rażony, ponieważ prócz kul działowych z frontu, dochodziły go kule z boku od strzałów z ręcznej broni owych kolumn nieprzyjacielskich, sformowanych na ługu.

Przejeżdżał wtedy przed swą brygadą generał Kicki i zatrzymał się przy skrzydłowym szwadronie 2go pułku ułanów. Tu wkrótce, ugodzony kulą armatnią, poległ. Wiadomość ta lotem błyskawicy rozeszła się po brygadzie i niewypowiedziany smutek sprawiła. Znakomity ten generał od wszystkich podkomendnych był uwielbiany i zginął właśnie w tej chwili, tak dla nas krytycznej. Wkrótce po tej bolesnej stracie, kula działowa zabiła konia pod majorem Żółkiewiczem, który stał przed 4tym szwadronem. Wydobyto majora zaledwie żywego zpod zabitego konia i odniesiono z placu bitwy. Co chwila więc nowa, a bolesna spotykała nas strata. Niema wyrazu na określenie przykrego położenia kawaleryi, która ciągle stać musi pod morderczym ogniem działowym, a nie mogła przyjść do akcji, bo Narew od nieprzyjaciela nas oddzielała, zaś nieubłagana konieczność każe nam trzymać te stanowiska, mając przed sobą i za sobą widok śmierci i straszniejszego od niej ciężkiego kalectwa.

Ostrołęka na kilku punktach palić się poczęła, a niekiedy za powiewem wiatru dym z pożogi zmieszany z dymem strzałów, tamował oddech. Przytem dzień pogodny bez chmurki, słońce pali ogniem swych promieni, co zwiększa wycieńczenie sił żołnierzy i koni.

Bataliony piechoty niekiedy się zmieniają, gdyż rozpalona broń od ciągłych strzałów ręce im odparza. Taki zmie-

niony batalion, zdaje mi się z 10go nowo uformowanego pułku piechoty, tak zwanych warszawskich dzieci, przyszedł z czoła linii bojowej i stanął obok nas dla wytechnienia. Wkrótce wpadł granat w jego kolumnę i zrzucił w niej wielkie straty. Batalion poszedł naprzód, a po jego ustąpieniu widzieliśmy zabitych i rannych. Nikt nie myślał, by z tej areny zapasów wyniósł życie, chodziło tu tylko, by utrzymać honor broni i dotrzeć na stanowisku, a wszelkie wysilenia nieprzyjaciela, by nas z tych stanowisk wyparować, pomimo wielkich strat były bezskuteczne.

Ponieważ bataliony nieprzyjacielskie, chociaż zwolna, ciągle się jednakże naprzód posuwały, więc by takowe powstrzymać, kazano pułkowi 2mu ułanów iść do szarży. Posunął się pułk pędem ku tym zwartym kolumnom, lecz gdy konie wiązgnąć zaczęły, zwrócić się musiał z wielką stratą i usunął się na drugą linię. Nasz pułk zajął to stanowisko, które pułk 2gi opuścił. Posunięci teraz byliśmy więcej jeszcze napród, niż poprzednio, i tu nie tylko ogień armatni z frontu, lecz dochodziły nas także kule karabinowe z lewego skrzydła i raniły żołnierzy. Szczególnie narażonym był 2gi szwadron na lewym skrzydle, a ja miałem w nim 4ty pluton skrzydłowy.

Działanie naszej armii, jak to powiedziałem, było odporne i głównie chodziło o to, by wojsku nieprzyjacielskiemu nie dać się z całą siłą przez Narew przeprawić. Przeprawiał się nieprzyjaciel przez jeden tylko most, który wprawdzie już był zdobyty, jednakże piechota nasza przeprawę przez niego z największym męstwem broniła, jak również posuwać się naprzód nie dała tym batalionom, które się początkowo przeprawiły. Przerzedzone bataliony nasze w tym zaciętym boju, zastępowały inne. Przykro było patrzeć na te, które z czoła linii schodziły: pot zmieszany ze sadzą od ciągłych strzałów spływał strumieniem czarnym po twarzach

żołnierzy, a przytem widocznym był po nich upadek sił z wysilenia zupełny.

Zprzed mostu, jako głównego punktu walki, ciągle znoszono rannych tak oficerów, jak żołnierzy. Jakoż dał się widzieć jeszcze w oddaleniu kondukt, który się ku nam zbliżał. Widocznem już było, że ofiarą jest jakiś wysokiej rangi oficer, czterech bowiem żołnierzy niosło nosze, a obok nich szło dwóch oficerów. Tą ofiarą był generał dywizyi Kamiński, któremu kula armatnia obydwie nogi powyżej kolan urwała. Był on już bliskim zgonu. Strata to była nieodżałowana, bo jak mówiono, miał to być wielkich zdolności generał. Jeden z oficerów, idących obok tego żałobnego konduktu, ciągle się nachylał do konającego, zapewne, by usłyszeć ostatnią jego wolę. Widok to był nad wszelki wyraz bolesny, nawet w owej chwili zupełnego zobojętnienia.

Z każdą godziną walka dla naszego wojska stawała się trudniejszą, bo nieprzyjaciel wprowadzał coraz-to nowe siły do boju, kiedy my takimi licznymi nie rozporządzaliśmy i nasza piechota z wysilenia już na siłach upadała. Kawalerya poniosła także bardzo ciężkie straty. W tej-to właśnie krytycznej chwili dał się widzieć na naszym lewym skrzydle oddział kawaleryi, a nam się zdawało, że to szwadron strzelców konnych. Była-to jednakże bateria gwardyi artyleryi konnej, którą prowadził pułkownik Bem, i ona, zrównawszy się z kolumnami piechoty nieprzyjacielskiej, całym pędem koni podsunęła się pod nie i rozpoczęła ogień kartaczowy, który niesłychane w tych kolumnach robił zniszczenie. Że jednakże tej niszczącej baterii nieprzyjaciel osiągnąć nie mógł, gdyż była jego batalionami osłonięta, za to, jakby mszcząc się, rozpoczął prawdziwą orgię swej licznej artyleryi na całej linii bojowej i sypał gradem kul, by nas z zajętych stanowisk spędzić. Wszystkie jednakże nasze kolumny, pomimo wielkich strat, stały jakby w ziemię wrosły i nie tylko, że się nie cofnęły, ale ożywione klęską, jaką zadał Bem

wrogom, posunęły się naprzód. Ta niczem niezłamana wytrzymałość naszego wojska, musiała demoralizująco wpłynąć na szeregi nieprzyjacielskie, bo musiały i w nich być straty wielkie. Ku wieczorowi ogień działowy znacznie zwolniał, jednakże nie ustawał. Piechota nieprzyjacielska po klęsce, jaką jej zadał Bem, cofnęła się w znacznej części ku mostowi, ogień wszakże ręcznej broni ani na chwilę nietylko nie zwolniał, ale wzmagał się raczej.

Szeregi naszego pułku były bardzo przerzedzone, oficerów ubytek wielki. Stanowisko, na którem staliśmy, utrzymać było koniecznością, a tu nietylko kule działowe lecz i karabinowe nas dochodziły i wielu żołnierzy było ranionych. Przyszła kolej i na mnie: uczułem jakby rozpalone żelazo przyłożone do lewej biodry. Chciałem się na koniu utrzymać, ale straciłem równowagę. Podoficer skrzydłowy, Jaczyński, zeskoczył z konia i chciał mię podtrzymać, ale tymczasem, jak powiadał, byłem już na ziemi. Odniesiono mię na bok przed frontu, bym nie był stratowanym. Trudny jest ratunek rannych w kawalerji, bo nie można żołnierzy zsadzać z koni do odnoszenia, gdyż luźny koń w szeregu robi w ruchach nieporządek; zostać znów, chociażby rannemu, na pierwszej linii niebardzo bezpiecznie, ponieważ kule nie wybierają, godząc zarówno tak w zabitych, rannych, jak i w zdrowych. Ten los i mnie spotkał: dostałem poprzednio kulę w biodrę, a teraz drugą w dodatku na ziemi leżąc, około kolana. Jakaś senność mię owładnęła. Jak to długo trwało, nie wiem, a kiedy mnie chłód nocy otrzeźwił, cisza była zupełna, jęk tylko ranionych słyszeć się dawał. Kiedy przyszedłem do przytomności, trwoga mię ogarnęła, że wojsko nasze musiało się cofnąć, zatem mnie w całej swej grozie czeka niewola.

Jednakże koledzy nie zapomnieli o rannym. Nadeszli w cichości żołnierze. Podoficer Jaczyński wbił w ziemię luźną lancę, jako znak, po którym łatwiej byłoby mnie odszukać. Włożyli mnie na derkę i ruszyli ku mostowi na Omulewie.

Nasze szwadrony, będące w boju na pierwszej linii, teraz trzymały straż obozową, mając rozstawione widety i około nich właśnie przechodziliśmy. Przy moście ścisk panował wielki i pomimo, że szwadron stał dla utrzymania porządku, po dość długim czasie zaledwie przeprawić się mogliśmy. Sapery stali w pogotowiu, by zniszczyć most, skoro tylko szwadrony, trzymające straż obozową, przez niego się przeprawią.

Za mostem znajdowało się bardzo wielu rannych gdyż była wielka trudność o podwozy do przewiezienia. Pociągów wojskowych, jakie tylko znalazły się, użyto do przewiezienia rannych i one już po dwa razy do stacyi Różanny odwoziły rannych, a jeszcze czekano na nie i nastarczyć nie mogły. O podwozy też było trudno, ponieważ ze wsi pobliskich huk całodzienny dział wypłoszył ludność; każdy z dobytkiem chronił się do lasu, a te fury, które żołnierzom udało się sprowadzić, zajęli ci, co byli wcześniej ranni, a ciągle i licznie ich przybywało. Ściągano zdalsza podwozy, na które długo czekano i mieszczono się na nich, jak było można, byle się dostać chociażby do pierwszej stacyi. Za wielkim staraniem majora Kleszczyńskiego umieszczono mnie z drugim oficerem na takiej podwodzie. Znalazło się nas dwóch ciężko rannych na małym wózku o jednym koniu, a w braku słomy mieliśmy trochę zielonego żyta jako poślanie. Koń na szczęście był niezły, a zalecano nam pośpiech, gdyż aryergarda wkrótce ruszyć miała, czekano tylko na szwadrony pełniące służbę obozową, które kazano ściągnąć.

Widok, jaki miałem na drodze, jadąc od mostu na Omulewie do Różanny, dziś jeszcze, po tylu latach, gdy go sobie wspomnę, dreszczem mnie przenika i niewysłowioną boleścią piersi mi ściska, chociaż sam byłem wówczas bardzo cierpiący, na wspomnienie tylu nieszczęśliwych poranionych, którzy nie mogąc się doczekać na podwozy, z wysileniem ostatnich sił wlekli się, wspierając jeden drugiego, albo leżeli po gościńcu, upadłszy z wysilenia, by po niejaki

spoczynku ciągnąć z wysiłkiem dalej, byle tylko uniknąć niewoli. Tu potrzeba byłoby sprowadzić owych śpiewaków i mowców pełnych junactwa z bruków Warszawy, a ten widok z tej choroby byłby ich wyleczył. Wojna, to nie zabawa; wszelka zaś, choćby udatna gadanina, to wiatr pusty jedynie.

W drodze do Różanny mijały nas pospiesznie pociągi wojskowe, spiesząc po rannych. Była zatem nadzieja, że jeszcze wielu uratują przed niewolą, bo szwadrony nasze, trzymające aryergardę, będą zwolna ustępować, a w nocy nieprzyjaciel naprzód się nie posunie. Dojechaliśmy do Różanny właśnie, gdy już cokolwiek się rozwidniło. Teraz mógłbym widzieć mego towarzysza. Był-to porucznik z 2go pułku ułanów, nazwiskiem Tarczyński czyli Tarczeński, które-to nazwisko usłyszałem, gdy nas lokowano do drogi. Stan jego był okropny: rękę lewą miał przestrzeloną, z prawego boku krew płynęła. Biały jak kreda, mało w nim już było życia. Nadszedł jakiś lekarz, zdaje się z piechoty, a kiedy mu się przypatrzył, przywołał ludzi i kazał go zdjąć z wózka. Co do zmiany podwoły, powiedziano mi, że nietylko wszystkie, jakie sprowadzone zostały, są zajęte, ale jeszcze znajdują się ranni czekający na podwoły, i kazano mi, bym też podwołą dalej jechał. Sądziłem, że przynajmniej sam pozostanę, wkrótce przecież przyniesiono mi współtowarzysza. Był nim porucznik Kuliński z 2go pułku strzelców konnych. Ten, chociaż także bardzo poraniony, był jednakże przytomny.

Pomimo, że nakazywano pośpiech, musieliśmy się przecież zatrzymać, gdyż konia, który miał odbywać dalszą drogę, koniecznie trzeba było popaść. Ruch tu był wielki, wszystko ustępowało, maroderów nawet popychano naprzód.

Po śmierci generała Kickiego dowództwo brygady naszej objął generał Turno i tenże aryergardę w odwrocie naszej armii prowadził. Ponieważ pułk nasz do tej brygady należał, on też po całodziennym udziale w boju, trzymał

następnie, jak powiedziałem, straż obozową, a na teraz w odwrocie zasłaniał armią, utrzymując aryergardę. Niedziw zatem, że miał konie zniszczone; od początku bowiem kampanii, jak wykazałem obroty jego, nie był bynajmniej pieszczonym (a były przecież niektóre pułki, których oszczędzano), i żołnierzy zaledwie została trzecia część z tych, którzy garnizony opuścili. Kiedy pisałem wspomnienia o tym PUŁKU, szło mi jedynie o to, by wykazać sumiennie i jaknajdokładniej wszelkie ruchy, jakie odbywał on w tej wojnie, a wielką byłoby niesprawiedliwością, by te ślady, które krwawo znać, były przez kogoś, ktokolwiekby nim był, zacierane. A właśnie zaciera je *Pamiętnik* jen. Dembińskiego. Od czasu, kiedy po raz pierwszy byliśmy pod jego dowództwem, operując przeciw generałowi Sakenowi w Ostrołęce, a następnie kiedy postępowaliśmy naprzód, już w Miastkowie zawiadomiono nas, że PUŁK przydzielono do dywizji Giełguda, z którym Dembiński był w nieporozumieniu i już w Łomży od tego korpusu tenże się oddalił do sztabu głównego. A że wówczas naczelny wódz zaproponował Dembińskiemu wyprawę do Litwy, nią więc już tylko był zajęty; oddział zaś, który wysłał pod dowództwem pułkownika Sierakowskiego, a w którym był także nasz jeden szwadron 3ci pod komendą Janowicza, błąkał się gdzieś poza Łomżą; żadnej więc na teraz nie miał komendy, wiadomości zatem o ruchach wojska przez niego spisane, są co najmniej niedokładne.

Zpod Tykocina, jak się wyżej powiedziało, w różnych kierunkach nastąpiły ruchy wojska; nasz PUŁK, zwrócony do właściwej brygady, przez Zambrów postępował ku Ostrołęce, i zatrzymano go pod Kleczkowem, gdzie cała dywizja jazdy generała Skarzyńskiego, do której i nasza brygada należała, została skoncentrowaną i tu właśnie pozwolono rozkulać konie, a było to pod Ostrołęką, nie zaś po drugiej stronie. Gdy zaś po zaalarmowaniu ruszyliśmy w po-

chód, przeszliśmy Ostrołkę i Narew pod wieczór, a następnie pozostawiono nasz pułk nad Omulewem, zaś reszta dywizji mogła przejść za rzekę, gdyż wówczas i więcej wojska różnej broni przez most przechodziło, a nie zwracało to naszej uwagi.

W zwyż wspomnionym *Pamiętniku* na stronnicy 210 i 211 największa jest sprzeczność z faktami. Zaraz zrana, kiedy się rozpoczął żywy ogień naprzód w Ostrołkę, a następnie przy mostach, jak powiada generał Dembiński, ruszył na pożyczonym koniu, będąc przy sztabie, zatem bez żadnej komendy, ku mostowi właśnie w chwili śmierci generała Kickiego. Zaprawdę, ta relacja, gdyby nie była zbyt bolesną, byłaby śmieszną; bo co mógł robić generał Kicki wówczas przy moście, kiedy swą brygadę miał przy Omulewie i właśnie całą porządkował, by na każde wezwanie być gotowym, a w takim razie każdy dowódca jest na swoim miejscu, iżby go w potrzebie nie szukać. Nie mógł więc błądzić, jako wolontaryusz; a przeto tym razem jeszcze nie zginął, nastąpiło to o wiele później. Byli już i tacy piszący, którzy mu zginąć kazali pod Grochowem, a przecież nie jako duch Banka, ale we własnej osobie w wielu bitwach później dowodził. Ot, piszą niektórzy, byle pisać; a inni znów, jak im każe potrzeba, najczęściej kieruje nimi *Vanitas!* Następnie w tymże *Pamiętniku* nagania generał Dembiński, jak zwykle, różne rozporządzenia użycia wojska; czy słusznie, lub nie? roztrząsać nie jest moją rzeczą; to tylko winienem dodać, że ogólna była w całym wojsku opinia, iż sztab główny był w tym dniu bez głowy.

Jest jednakże w rzeczonym *Pamiętniku* niedokładność, o którą mi najwięcej chodzi. Generał Dembiński, wytykając tamże niestosowne użycie kawaleryi, którą na wielkie narażono straty, a bezużytecznie, winien był wiedzieć i zapewne wiedział, jakie-to pułki do tej szarży były użyte; a wymienił tylko pułk 2gi ułanów z 2giej brygady dywizji jene-

rała Skarzyńskiego, kiedy przecież 1sza brygada z tejże dywizji przed południem już w bój była wprowadzona i pułk 2gi strzelców konnych w tej szarży także wielkie poniósł straty.

Tu więc jest niedokładność, bo w *Pamiętniku* generał Dembiński w relacji z owej bitwy, dywizją jazdy generała Skarzyńskiego dopiero ku wieczorowi na linię bojową wprowadza, kiedy ta, już od kilku godzin, była w pierwszej linii i największe z jazdy, biorącej udział w tej bitwie, poniosła straty; a generał Kicki z tejże dywizji na czele swej brygady przed 2gim pułkiem ułanów poległ. Sam zatem piszący tę relację sobie zaprzecza, chociaż zamiecha o stracie 2go pułku strzelców konnych, a ubolewa nad stratą 2go pułku ułanów; temsamem mimowolnie przyznaje, że ta dywizya była już użyta wcześniej, a że i nasz PUŁK był w tej dywizji w brygadzie generała Kickiego i bardzo ciężkie poniósł straty, miałem obowiązek tę niedokładność wyjaśnić.

Baterią gwardyi artylerji konnej, którą pułkownik Bem w najkrytyczniejszej dla nas chwili przyprowadził, nie tylko powstrzymał posuwanie się kolumn piechoty nieprzyjacielskiej, ale zadawszy im bardzo ciężkie straty, zmusił do cofnięcia się. A wykonał to pułkownik Bem samodzielnie, jak to wszystkim obecnym było wiadomo, i jemu tylko wyłącznie zasługa się należy i nie się ztąd nikomu uszczknąć nie da. Co zaś do zaimprovizowanej asekuracyi tejże baterji aż czterema pułkami, i to ściągniętymi z ostatnich linii, jak to nadmienia generał Dembiński, to troskliwość jego o tę baterję jest zbyteczną.

Każdy wojskowy to rozumić, że baterji konnej od piechoty nie grozi niebezpieczeństwo, chyba w takim razie, gdyby się dała obejść, co wówczas w otwartym polu nie mogło być nastąpić. Że zaś cała kawalerya moskiewska była za rzeką i ani jeden szwadron nie znajdował się po naszej stronie, niebezpieczeństwa więc i ze strony kawaleryi nie było, a to tem więcej, że tu w pierwszej naszej linii

stała kawalerya, w oczach której ten ruch baterji się odbył i ona potrafiłaby ją w razie potrzeby obronić — i bylibyśmy z pewnością tak zrobili.

Co do owych czterech pułków kawaleryi, szkoda, że Dembiński, jako świeżo mianowany generał, nie użył ich, jak się zwykł wyrażać, do stratowania owych batalionów grenadyerskich Szachowskiego. Co się starym pułkom nie powiodło, możeby nowemi dokonał. Drzwi do sławy szeroko miał otwarte, a gorąco jej pożądał.

Po tym ustępie, który uważałem za niezbędnym w obrobie pułku, wracam do swojej biedy.

Za zbliżeniem się naszej aryergardy, wzmógł się popłoch, ruch się zwiększył i kto tylko mógł, wynosił się. Nasz woźnica także ruszył ku Szelkowi i tu spotykać można było rannych. Z początku koń szedł jakotako, ale coraz bardziej słabnął. Na szczęście przed Szelkowem minęła nas aryergarda, złożona z naszych szwadronów, prosiłem więc kolegów, by tam jaką furmankę obmyśleli. Kiedyśmy stanęli w Szelkowie, już straż tylna miała wsiadać na koń, ale zastaliśmy przygotowaną przez ten czas dla nas podwodę i zaraz w dalszą udaliśmy się drogę. Marsz naszego wojska był bardzo pospieszny i mówiono, że jak tylko wojsko pod Serockiem przez rzeki się przeprawi, zaraz mosty zostaną rozebrane. Te alarmujące wiadomości spowodowały ów gorączkowy pośpiech, by się jaknajprędzej dostać do owych mostów.

Ponieważ teraz podwodę mieliśmy dobrą, więc drogi sporo ubywało. Dojeżdżając do Pułtuska, można było widzieć oddziały naszego wojska, które po wypoczynku w dalszy pochód wyruszało. To robiło nadzieję, że się dostaniemy na czas do mostów. Czyli w istocie miano te mosty rozebrać, lub nie, niewiadomo, ale wieść ta maroderów do pośpiechu nagliła.

W Pułtusku już z większą gorliwością zajmowano się rannymi. Pozostawiono tu ciężko rannych, którzyby dalszej drogi nie wytrzymali; przygotowano posiłek dla tych, którzy w dalszą drogę udać się mieli. Miejscowi obywatele gorliwie się tem zajmowali, ale cierpiący więcej o napój, niż o posiłek prosili. Brak i tu także był podwód, bo rannych ciągle przybywało i wielu jeszcze czekało na podwoły, a byli także między czekającymi i z naszego PUŁKU. Właśnie, kiedyśmy czekali na podwoję, nadszedł podoficer Brzeziński z 1go szwadronu, ranny w lewą rękę, który czekał, żeby się jakim sposobem posunąć dalej. Gospodarz, który nas przywiózł, widząc naszą biedę, oświadczył sam, że nas dalej powiezie, tylko konie popasie. Widać, że był zamożny, bo koniom dał nie trawy, ale owsa. Bardzo byliśmy mu wdzięczni za tę chętną ofiarę, gdyż w takim stanie przenosiny z wozu na wóz bardzo były bolesne. Brzeziński także się cieszył, bo mu powiedział, że i jego zabierze.

Nasz PUŁK nadszedł i zajął miejsce do wypoczynku po drugiej stronie miasta, bo od Szelkowa inny pułk był w tylnej straży. Nadejście jego zaniepokoiło będących w mieście, bo sądzono, że tworzy on aryergardę. Uspokoił nas Brzeziński, mówiąc, że widział w mieście oficerów, którzy tamże przyszli, by się pożywić i mówili, że aryergarda jeszcze nie tak prędko nadejdzie. To mnie uspokoiło, chodziło tylko o to, by się wcześniej, nim pułk nadejdzie, dostać do mostów, a że przy przeprawie oficerowie nasi zaopiekują się nami, to było pewne i potrzebne, bo można się było spodziewać wielkiego ścisku.

Wyjechaliśmy z Pułtuska. Z początku, dopóki gościniec był wolny, drogi ubywało, ale posuwając się coraz dalej, spotykaliśmy wozy z rannymi, różne pociągi wojskowe, a bliżej Serocka gościniec zupełnie był zapchany. W żaden sposób nie można się było wyminąć, musieliśmy zatem w tej ściśniętej kolumnie wozów zwolna naprzód się posuwać. Zwłoka

Nasz pocziwy woźnica ruszył w dalszą drogę. Chłód nocny cokolwiek nas orzeźwiał. W drodze spotykaliśmy różne oddziały wojska dążące ku Pradze, jakoteż parki artylerji, co wstrzymywało naszą jazdę, chociaż wszędzie jest wzgląd na rannych. Równo ze dniem stanęliśmy na Pradze. Tu także na moście był ścisk wielki, przechodziło wojsko, wszędzie zatem nasuwała się zwłoka dla cierpiących. Poleciłem Brzezińskiemu, iżby się udał do oficera, pełniącego służbę przy moście dla utrzymania porządku, by nas nie zatrzymywano.

Jakoż kazał on natychmiast zrobić miejsce do przejazdu. Kazałem wprost jechać do głównego lazaretu do Ujazdowa. Na ulicy Nowy Świat zatrzymano nas.

Zbliżył się już niemłody mężczyzna i rzekł: »Panowie jedziecie do Ujazdowa, tam już zupełnie niema miejsca; ale że tu jest zakład, gdzie się można pomieścić, więc proszę. Jest doktor i wszelka możliwa opieka.«

Z wdzięcznością przyjęliśmy pomoc. Zniesiono nas do parterowego pokoju, a pocziwy gospodarz, który nas przywiózł, ze łzami pożegnał.

Zaraz zawiadomiono doktora, który nad tym zakładem miał opiekę, że przywieziono rannych. Lekarz wkrótce przybył z pomocą, oraz dwóch felczerów, i zaraz wzięli się do dzieła. Łatwo pojąć cierpienie przy opatrywaniu, bo prawie dwie doby upłynęły od poniesienia ran, które już zapuchły. Krwią zbroczone ubranie, by nas z niego uwolnić, na sztuki pocięto.



CZĘŚĆ TRZECIA.

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10



o klęsce pod Ostrołęką, wojsko nasze w znacznej części przeszło za Wisłę, by się po stratach skompletować. Szczególnie jazda potrzebowała skompletowania i wypoczynku, miała ona bowiem nietylko braki w ludziach i koniach, ale w dodatku w niektórych pułkach, z powodu dalekich i bardzo pospiesznych marszów na gwardye, wśród upałów i przy braku dobrego a dostatecznego furazu, znajdowały się konie zupełnie zniszczone.

Z powodu, że wszystkie lazarety wojskowe przepełnione były rannymi, urządzono także zakłady lecznicze i po prywatnych domach. Czy takowe były utrzymywane z dobrowolnych składek, czy też utrzymywało je miasto ze swych funduszków, tego nie wiem, dosyć, że podobnych zakładów była dość znaczna liczba naówczas. W takim-to zakładzie, jak poprzednio powiedziałem, zostaliśmy umieszczeni i tam zaraz nietylko naszą odzież, ale i nas krajano.

Jak się później dowiedziałem, w zakładzie tym, gdzie i ja leżałem, było łóżek dwanaście, a wszystkie zajęte przez rannych. Zpomędzy tych, dwóch odbyło amputacją, mianowicie kapitan Zaorski, z piechoty, stracił rękę; porucznik Osowski, także z piechoty, nogę; wyjęto zaś kilka kul podoficerowi Brzezińskiemu, który z nami przyjechał i odjęto

mu dwa palce u lewej ręki. Przez cały pierwszy tydzień, jak opowiadał felczer, nasłuchiwał on się różnej komendy rannych leżących w gorączce. Wszyscy jednakże byliśmy spowici, by w tym zapale nie porozdrażniać ran ruchami odpowiedniami komendzie. Jak się później okazało, amputacja udała się szczęśliwie.

Po paru tygodniach, aczkolwiek bardzo osłabiony, byłem przecież przytomny. Zapytałem tedy lekarza przy opatrywaniu, czyli dano wiadomość do pułków o znajdujących się w zakładzie rannych? Na to odpowiedział mi tenże, że zameldowano do placu. Prosiłem go przecież, żeby można zawiadomić wprost pułki. Mój kolega podróży Szaser wzniecał obawę lekarza, gdyż rana w jego boku była ciężką i późno opatrzoną. Lekarz rachował na młodość, że go przy życiu utrzyma.

Tak upłynęło jeszcze parę tygodni, a żadnej o pułku nie miałem wiadomości i to mnie niepokoiło. W zakładzie, gdzie znajdowaliśmy się, mieliśmy jaknajtroskliwszą opiekę, wszyscy więc, stosunkowo do odniesionych ran, stopniowo do sił przychodzili.

Jakoś niespodziewanie w rannej godzinie odwiedził mnie kolega z tegoż samego, co i ja szwadronu, nazwiskiem Wroński. Ani wyrazić nie zdołałem radości, jakiej na jego widok doznałem. Po serdecznem uściśnieniu, on widząc mnie jeszcze bardzo osłabionym, nie chciał trudzić dłuższą bytnością, a powtóre, był w interesie służbowym, więc spieszyć się musiał, powiedział mi tylko, że pułk nasz stoi w bliskości Warszawy około fabryki broni pod Marymontem. Przyobiegał wszakże, że innym razem na dłuższy czas mnie odwiedzi.

Zawiadomienie po pułkach wysłane z zakładu, spowodowało koleżeńskie odwiedziny. Nie było dnia, żeby ktoś nie przyszedł, po największej części z piechoty. O niczem nie mówiono, jak tylko o kompletowaniu się po stratach.

W kilka dni po bytności Wrońskiego, nadszedł Guzowski. Był on z innego, niż ja, szwadronu, ale razem zostaliśmy ranni pod Mińskiem, choć on szczęśliwszym był, gdyż rana jego już się podgoiła, a zpod Ostrołęki wyszedł obronną ręką. Ujrzawszy mnie w tym stanie, widocznie był rozrzewniony; i on krótko się zatrzymał, był bowiem także po służbie. Podoficer Brzeziński z jego plutonu, który leżał razem z nami, powiedział mu, że wkrótce wróci do szwadronu. Ponieważ brak był wielki podoficerów, bardzo się tem oświadczeniem ucieszył Guzowski.

Minęło kilka tygodni, a jakoś żaden z kolegów się nie pokazał. Sądziłem, że PUŁK zmienił stanowisko. Niespożyta młodość i mnie sił dostarczać zaczęła, a z ich przybytkiem trzeba było pomyśleć o swem gospodarstwie. — Czekałem z upragnieniem przybycia którego z kolegów. Przybył nareszcie powtórnie Wroński i zastał mnie siedzącego już na łóżku, a widząc znaczne polepszenie, szczerze się ucieszył. Tym razem opowiedział mi różne szczegóły naszej klęski, dalej różne nowiny, mianowicie, że podpułkownik Żółkiewicz objął dowództwo PUŁKU, ale jeszcze służby nie pełni, jako słaby po wypadku pod Ostrołęką; że major Kleszczyński, chociaż był także lekko ranny, znajduje się przy PUŁKU i zastępuje dowódcę; że z korpusu Dwernickiego wrócili major Wierzchlejski i porucznik Kotowicz; że szwadron 3ci Janowicza, odkomenderowany przed bitwą Ostrołęką, nie wrócił i zdaje się, że z korpusem Giełguda poszedł na Litwę; że straty w PUŁKU wielkie; że nadesłano rekrutów z rezerwy i przyprowadzono surowe konie, a praca ciężka, brak oficerów a nadewszystko zdatnych podoficerów do uczenia, dlatego ani godziny nie mamy wolnej. Wkońcu muszę ci powiedzieć, rzekł Wroński — że koń twój ranny i wskutek tego kulawy, więc do służby frontowej już niezdatny, bądź zatem łaskaw i pozbądź go, jak będzie można, gdyż szkoda go żywić.

Na to odrzekłem Wrońskiemu: Gdy zatem to wszystko, coś mi powiedział, zestawię z tem, co się tu stało, bilans będzie taki, że mi prawie nic nie pozostało; konia straciłem, a tu zaraz na wstępie odzież na sztuki na mnie pocięto, by mnie z niej uwolnić, bo cała była krwią przesiąknięta. Trzeba będzie na nowo o wszystko się starać, a na to i sił i środków za mało. Zamyślił się Wroński chwilę. Źle! rzekł wreszcie, potrzeba temu jakoś zaradzić.

W kilka dni po bytności Wrońskiego, przyszedł do mnie rano kapitan Zieliński, komendant naszego szwadronu. Po serdecznem powitaniu, wręczył mi zaległy żołd, który, jak mówił, może mi się przyda. Wkrótce pożegnał on mnie, bo właśnie rozpoczęło się opatrywanie rannych. Widocznem było, że poczciwy Wroński opowiedział mu moje kłopoty. Wkrótce po odejściu kapitana nadszedł mój ordynans. Przywitałem go jak przyjaciela, gdyż nim był w istocie, jemu to bowiem winienem, że nie został zatratowany, będąc rannym, jak również, że nie dostał do niewoli. Poczciwy stary wiarus miał łzy w oczach, widząc mnie w tym stanie.

— Oj! oj! cóż to tu biedy! — powiada.

A ja mu na to: cóż robić, — co się stało, już się nie odstanie! Teraz potrzeba o innej biedzie pomyśleć. Powiedział mi porucznik Wroński, że koń mój własny już jest do użycia niezdatny; ale jak tam mój koń służbowy i co mi tam jeszcze zostało, bo tu na mnie mundur pocięto i nic niema do stracenia.

— O! niechno tylko Bóg da zdrowie, to tam się jeszcze niema tak bardzo o co turbować, odrzekł zacny mój ordynans; koń służbowy jest dobry i dobrze wygląda, jest w jukach kompletny uniform, pałasz z pendentem i pas z ładownicą; zabrałem kask, u którego łuszczyki pękły; przy spadnięciu z konia podniósł go pan podoficer Jaczyński i wszystko jest w zupełnym porządku.

Podziękowałem mu serdecznie za te oznaki przychylności, polecając mu i nadal opiekę nad moją pozostałością aż do mego powrotu.

Kolega Szaser, przysłuchując się tej relacji, pożegnał odchodzącego wiarusa bardzo serdecznie, a po jego odejściu powiedział, że mi go zazdrości. Zaprawdę było czego, bo jemu miałem wiele do zawdzięczenia, a po tem, com od niego usłyszał, już mi wszystko nie tak czarno się przedstawiało, jak to sobie poprzednio wyobrażałem.

Staranie o chorych w zakładzie było wielkie. Codziennie opatrywano nas dwa razy, mianowicie rano i wieczór. Zaczny doktor Gułowski trzymał się w tem punktualnie godziny. Skutkiem tej jego troskliwości ci, którzy byli lżej ranni, już po ośmiu tygodniach do pułków wracali. Wyprosił się także doktorowi podoficer Brzeziński, chociaż z niezagojoną ręką, ale utrzymywał, że chociaż do służby frontowej jeszcze niezdatny, uczyć będzie przecież rekrutów. Liczba chorych co tydzień się zmniejszała i zeszła do połowy. Cieszyło mnie, że i kolega Szaser szybko, chociaż był ciężko raniony, przychodził do zdrowia.

Przy takim opatrywaniu, droczyliśmy się z zacnym naszym lekarzem, żeby nas przecie już z tej niezasłużonej niewoli uwolnił; że nietylko przebrano nas tak, iż się sami poznać nie możemy, wiązano jakby jakich złoczyńców, nie miłosiernie głodzono, ale jeszcze siedzieć musimy w tem więzieniu. Uśmiechał się dobrotliwie na te zażalenia; cieszyło go, że widzi błogie skutki swej troskliwości i odpowiadał: »Wiedźcie panowie młodzi, że cierpliwością wszystko się zwycięża; przyjdzie i na was kolej, zostanie tam jeszcze i dla was Moskali!«

Po dziewięciu tygodniach zaczęliśmy się już uczyć chodzić o kuli i naprawdę myśleć o powrocie do pułków. A że jeden z felczerów, nazwiskiem Sokalski, który bywał przy opatrywaniu, znał dobrze, jak mówił Warszawę, więc prosi-

liśmy go, by nam sprowadził ubiorczego, któryby nas umundurował. A tych naówczas nie brakowało. Kiedy zawezwany nadszedł, umówiliśmy się z nim o nasze potrzeby, bo i kolega Szaser miał także mundur pocięty. Przy tej umowie o nasze ubrania, zwróciłem mu uwagę, by miał wzgląd na naszą chudą kieszeń.

— A tożbym już miał ciężki grzech, bym panów w takim położeniu obciągnął! Inna rzecz z tymi panami, co im mundur na to tylko potrzebny, by w nim paradować po mieście; niechże za tę paradę chociaż dobrze płacą! — odrzekł krawiec.

Zabawiła nas ta szczerą otwartość. Prosiłszy go o pospiech, wkrótce też wszystko było odniesione, dokładnie według tego, jak było zamówione. Z roboty byliśmy zadowoleni, a jeszcze więcej z rachunku, który był istotnie bardzo skromny w owym czasie, za co podziękowaliśmy mu uprzejmie.

Minął jakiś czas, a żaden z kolegów nie pokazał się, co mnie bardzo niepokoiło, kiedy niespodzianie i to bardzo rano wszedł Guzowski i rzekł:

— Przyszedłem cię powitać, a zarazem od siebie i od kolegów pożegnać. Wychodzimy! Dokąd? — nic nam wiadomo. Poczem uściskawszy mnie, odszedł. — Bardzo mnie ta wiadomość zasmuciła. Kiedy pułk stał około Marymontu, zatem w bliskości, ciągną miałem z nim styczność przez kolegów, wiedziałem zatem dokładnie, co się z moją pozostawiałością dzieje, a teraz, gdyby poszedł na linię bojową, co się z tem wszystkiem stanie? Zatem nowa troska. Że w zakładowej już rannych była niewielka liczba, więc po opatrzeniu prosiliśmy wielce szanownego naszego lekarza, by się za trzymał na pogadankę i coś nam przecie z nowin powie. Na to odezwał się lekarz: »Nowin, któreby was zobaczyć mogły, niema żadnych. Z każdym dniem zwiększa się nieukontentowanie w mieście z powodu, że wielka liczba

wojskowych płacze się po Warszawie bez żadnego zajęcia, a liczba takich z każdym dniem się zwiększa i są ciężarem dla miasta. Armia nasza stoi tak długo bezczynnie i nie stawia żadnej przeszkody przy przeprawie nieprzyjaciela przez Wisłę przy granicy pruskiej, poniżej Płocka, a to trwogą przejmują obywatele.« Bardzo przykre te nowiny zrobiły na nas wrażenie.

W parę dni po bytności Guzowskiego, wszedł oficer Grabowski z tegoż co i ja szwadronu. Jak mówił, był w interesie służbowym, ale pragnął mnie chociaż na chwilkę odwiedzić. Powiedział on, że pułk nasz stoi naprzeciw Modlina, że wrócili z korpusu Dwernickiego, dawniej w naszym szwadronie będący, major Wierzchlejski i porucznik Kotowicz i że praca wielka z nauką rekrutów i surowych koni, a przytem brak wielki zdolnych podoficerów. Ponieważ służba nagliła, odszedł, krótko zabawiwszy; ucieszyła mnie wiadomość, że pułk stoi nie bardzo oddalony, bo miałem nadzieję, że już wkrótce do niego wrócę.

Było-to jakoś ku końcu lipca, gdy nadszedł, jak zwykle zrana, nasz lekarz, celem opatrywania nas. Kiedy spojrzeliśmy na niego, uderzyła nas zmiana na jego twarzy, na której był rozlany wielki jakiś smutek. Gdy się skończyło opatrywanie, powiada: »Muszę panom udzielić bardzo przykrej nowiny, która bądź co bądź, zawszeby do nich doszła. Oto korpus Giełguda wszedł do Prus, on zaś został zastrzelony. Miasto po tej wiadomości jest bardzo wzburzone, obawiają się jakiegoś nieładu, zaś właśnie ci, niby-to wojskowi, co się nigdy bić nie idą, najwięcej w mieście robią hałas, a to pewna, że do tego przyczynia się bardzo zły zarząd, ponieważ tacy krzykacze uliczni winni z miasta być wydalenieni; przyczynia się do zniechęcenia także długa bezczynność wojska, które się w takim razie demoralizuje. Wieczorem udzielię panom dokładniejszych wiadomości.«

Zaprawdę, dosyć już było złego, o jakim od kilku dni słyszeliśmy, by nas ciężki smutek ogarnął. Jakaś rzeźna boleść ścisnęła piersi, bo upadek łatwym był do przewidzenia. Od początku widziało się ciągle błędy w dowództwie, niekorzystanie, jak można było, z odniesionych zwycięstw, uzyskanych nadzwyczajnym męstwem żołnierzy; wszędzie widoczną była zawiść, samolubstwo, zamiast bezinteresownej łączności; niejednokrotnie nawet były wypadki, że generałowie w najważniejszej chwili nie wspierali jedni drugich, ulegając brzydkiej pasyi zazdrości. Wychodziło to wszystko na szkodę kraju, a nie było silnej ręki, by każde takie przewinienie bezwzględnie i jaknajsurowiej ukaranem zostało.

Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczornej wizyty lekarza. Zwykle kilka razy dziennie przychodził felczer Sokalski, ale ten w nas jakoś nie budził ufności, bo, jak się sam wygadał, należał on do klubu patryotycznego, reprezentowanego w Honoratce, a bardzo wstrętnego dla wojska w obozach. Lecz, że wypadki zaszły ważne, ciekawość skrupuły nasze przemogła i zapytałem go, co słyszał w mieście. Zaczął opowiadać: »że oburzenie jest wielkie na naczelnego wodza, iż takiego zdrajcę wybrał na dowódcę na Litwę, który taki piękny korpus zaprzepaścił; że bez strzału pozwolił on Moskalom przeprowić się przez Wisłę, a sam wygodnie w obozie przez ten czas wysypiał; że tak rząca obecny, jakoteż wódz naczelny wkrótce zmienionym być musi.«

Jeszcze większy nas smutek ogarnął, bo z tego, cośmy od niego usłyszeli, widocznem było, że są jakieś knowania i że się burdy ulicznej spodziewać można, bo nie było to jego własne zdanie, ale powtarzał tylko to, co w klubach radzono, a wszystko złe tam miało swój początek, stek-to był bowiem krzykliwych blagierów. Z tem większą niecierpliwością czekaliśmy na przybycie doktora. Zaledwie przybył i chorych opatrzył, a Sokalski zaraz po opatrywaniu

się oddalił, ponieważ mu pilno było po nowiny, powtórzy-
łem doktorowi, co on nam opowiedział.

Wtedy rzekł doktor: »Z przykrością przyznać muszę, że umysły w mieście są bardzo wzburzone, a zdaje się, że do tego publiczność jest z planu podżegana. Towarzystwo, tak zwane patryotyczne, publicznie z tem występuje, że zmiana zupełna jest potrzebna, a najwięcej hałasu robią ci pseudo-wojskowi, którzy od początku wojny bruki po Warszawie zbijają. Tych przede wszystkim potrzebaby było wydaląć, a przytem, jeżeli dłużej wojsko, jak dotąd będzie nieczyne, za spokojność w stolicy ręczyć nie można. Tych niepokojów właśnie uczciwi i rozsądni ludzie obawiają się, bo one pogorszą położenie, które i tak już świetnych nie rokuje nadziei.«

Wysłuchawszy tej smutnej relacyi, powiadam: »Ponieważ Pan jesteś za wydaleniem wojskowych z miasta i to bardzo słusznie, a my dobrowolnie radzibyśmy się wydaląć, lecz Pan na to zezwolić nie chcesz, przyjdzie w końcu do tego, że znajdzie się ktoś energiczny, który nas wypędzi w tych oto mundurach, w jakieście nas tu przybrali.« Rozśmiał się serdecznie lekarz i rzekł: »O to jestem zupełnie spokojny, że was nikt bez mojego pozwolenia nie wydali.« I tak jakoś zatarło się cokolwiek to przykre wrażenie, jakie na nas złe wieści wywarły.

Widząc, na co się zanosi, pragnęliśmy jaknajspieszniej opuścić Warszawę i udać się do pułków. Przy tej więc sposobności prosiliśmy doktora, by nam pozwolił poprzednio, nim się wydalimy, oswoić się ze świeżem powietrzem, którego po długiem zamknięciu w zakładzie zażyć pragniemy. Odpowiedział, że się z tem zgadza i jeżeli jutro będzie dzień pogodny, pozwoli. Wielce nas tem ucieszył. Dnia następnego, zaraz rano po wizycie doktora, prosiliśmy felczera Sokalskiego, by nam jaką niewykwinną dorózkę sprowadził; a dlatego chcemy rano wyjechać, by uniknąć ścisłu i gorąca.

Jakoż wkrótce doróżka nadjechała i udaliśmy się do ogrodu w Łazienkach. Wysiadając, pół-żartem powiadam do doróżkarza, by nam za użycie świeżego powietrza po długiem zamknięciu nie kazał zbyt drogo zapłacić. Uśmiechnął się i mówi: »Bądźcie o to Panowie spokojni.«

W ogrodzie, chociaż to była godzina poranna, zastaliśmy już wiele osób. Chętnie ustępowano nam miejsca do spoczynku, ale przytem zarzucano pytaniami. Było-to nużące, bo wpływ powietrza zupełnie nas rozstroił i to tak dalece, że drzewa w ogrodzie zdawały się w naszych oczach tańczyć. I zupełnie się ziściło, co doktor przepowiedział, że nam tylko się zdaje, iż już jesteśmy silni, a złudzenie to pokaże się przy zetknięciu z powietrzem. Znużeni, zaledwie godzinę zabawiliśmy w ogrodzie. Powróciwszy, chciałem zapłacić doróżkarzowi, ale tenże, pokłoniwszy się nam tylko, odjechał. Mocno nas to zdziwiło. Przy wieczornej wizycie pytaliśmy felczera Sokalskiego, co się może temu doróżkarzowi należeć, którego nam sprowadził, to zapłacimy. Zaręczył nam, że nietylko ten, ale żaden inny nie od nas weźmie, o czem jutro się przekonamy. I tak było w istocie. Parę razy jeszcze byliśmy w ogrodzie, a żaden zapłaty od nas nie przyjął. Ponieważ nas powietrze skrzepiło, stanowczo żądaliśmy powrotu do pułków, na co nasz opiekun zezwolić wreszcie musiał. Zaraz przeto po wizycie, udaliśmy się do placu, by nam dano marszrutę i podwody, ażeby już dnia następnego wyruszyć w drogę.

W placu powiedziano nam, że dywizya jazdy generała Skarzyńskiego, do której nasze pułki należą, stoi obecnie naprzeciw Modlina, pomiędzy wsiami Trusków i Łosiawola i tam je znajdziemy. Podwody na oznaczony czas nakazano. Załatwiwszy najgłówniejszy interes, udaliśmy się za różnemi a niezbędnymi sprawunkami, aby dnia następnego zaraz po wizycie wyruszyć w drogę. Prosiłem Sokalskiego, by nam dobre podwody i to rano sprowadził. Dałem mu na nie

nakaz. Jak tylko dzień się zrobił, poczęliśmy składać nasze manatki. Nadszedł i lekarz raniej, niż zwykle, by nas opatrzyć. Widział tę gorączkową niecierpliwość, z jaką czekaliśmy na podwoły, a gdy te nadeszły, uściskaliśmy zanego doktora, który tak starannie nas pielęgnował, jak również pozostałych jeszcze kilku kolegów, — i opuściliśmy zakład po jedynastu tygodniach, a z nim razem i Warszawę. Tylko te różne wieści, któreśmy w Warszawie słyszeli, bardzo nas przygnębiały.

Dzień był pogodny, podróż przyjemna, powietrze czyste, którego po zamknięciu przez tyle tygodni byliśmy spragnieni. Przed wieczorem stanęliśmy u kresu podróży, a jako towarzysze niedoli pożegnaliśmy się serdecznie i każdy z nas udał się do swego pułku. Kiedym ja swój odszukał, przyjęto mnie jak w rodzinie szczerze się kochającej, a mój stary, poczciwy ordynans, nacieszyć się nie mógł z mojego przybycia. Wszystkie moje efekta znalazłem w wielkim porządku, konie także bardzo dobrze utrzymane, co mnie bardzo ucieszyło. Zastałem wiele zmian w PUŁKU. Opowiadali mi koledzy, że klęska pod Ostrołęką była dla nas bardzo ciężką, i w naszym szwadronie zginął oficer Bagiński, zastąpił go Matusowicz, który także wkrótce zginął, i ja zostałem ranniony; dwóch podoficerów, Wolski i Czaplicki zabici, wreszcie sześciu żołnierzy zabitych, prócz kilku rannych. Jak na jeden szwadron, to dosyć. Nielepiej się działo i po innych szwadronach.

Zastałem w moim plutonie prawie trzecią część żołnierzy z rezerwy przybyłych i jednego podoficera. Przez cały czas spokoju, jaki naówczas był w naszym wojsku, pracowano nad nimi i byli już nieźle przeuczzeni. Że już wieczór się zbliżał, mówili mi koledzy, iż wkrótce usłyszę koncert, który codziennie, jak tylko sprzyja pogoda, smutne myśli chociaż na chwilę rozpędza. Stała muzyka przed frontem i długo w noc grała różne sztuczki, jakie w owym czasie

były ulubione. Przytem w przestankach muzyki śpiewano, w końcu odegrano capstrzyk i wszystko się uciszyło. W istocie, czas zeszedł przyjemnie, ale mnie uderzyła zmiana w organizacji muzyki na lepsze, i o to się kolegów pytałem. Powiedziano mi, że w powrocie zpod Ostrołęki, kapelmistrz nasz umarł dotknięty cholera, której uległo także kilku żołnierzy. Kiedy zaś pułk stał około Marymontu pod Warszawą, zgłosił się na teraz będący kapelmistrz, mówiąc, że jest rodem z Czech, i został przyjęty, a pokazało się wkrótce, że posiada w swym zawodzie uzdolnienie. Muzykę pułkową uorganizował on dobrze, sam zaś, nietylko że dobrze gra, ale niezłe śpiewa. Zebrał kilku młodych podoficerów, cokolwiek poduczył śpiewu i prawie codziennie przed capstrzykiem bawi pułk muzyką i śpiewami, a pomimo brzydoty, (był bowiem przez ospę bardzo zeszpecony), jest jednakże w pułku lubionym. Pokazało się później, że ta jego szpetna fizygnomia dawała mu prawdziwe świadectwo.

W parę dni po mojem przybyciu do pułku, rozeszła się wiadomość w obozie, że generał Dembiński ze znacznym oddziałem wojska powrócił z Litwy. O ile ta wiadomość ucieszyła wszystkich, o tyle więcej utyskiwano na bezczynność, że się nią żołnierz zdemoralizuje. Zdaje się, że powrót Dembińskiego przebudził z ospałości sztab główny, gdyż zaraz na drugi dzień nakazano gotowość do marszu, czem się wszyscy nadzwyczajnie ucieszyli.

Równno ze dniem zrobił się ruch wielki w obozie. Pułki przed nami stojące ustępowały, ale przecież naprzód. Przyszła kolej i na nas. Coraz dalej postępując, wchodziliśmy w okolicę więcej lesistą, a same nazwy wsi wskazywały, że to są karczowiska. W dniu tym powietrze było parne, cisza zupełna, zatem marsz nużący, a na przyczynę robactwo dokuczliwe. Ku wieczorowi stanęliśmy obozem na kraju lasu pod Kampinosem. Przed nami stały już szwadrony Legii Nadwiślańskiej, na prawem zaś skrzydle karabinierzy. Zale-

dwie rozłożyliśmy się do obozowania, dał się słyszeć w oddaleniu grzmot, a cisza zupełna zdawała się zapowiadać wkrótce burzę. Jakoż niedługo dała ona na siebie czekać: zerwał się wielki wicher, napędził chmury i zaczęła się ulewa z piorunami, ale tak gwałtowna, że wkrótce staliśmy w wodzie. Chociaż burza z nawałnicą przeszła, deszcz jednakże bardzo rześisty nie ustawał, z drzew się lało, nie było się gdzie schronić, a chociaż staliśmy w lesie, ognie palić było niepodobieństwem. I taka słota trwała całą dobę, każdy był przemoczony do nitki. Sądziłem, że po tej kąpieli będę się musiał wrócić do Warszawy, gdy się jednakże słońce pokazało i twarze się rozjaśniły. Jeszcze nie mieliśmy czasu się obsuszyć, a już nakazano dalszy pochód.

Okolica, którą teraz przechodziliśmy, była leśną, lecz poza wsią, zwaną Grabina, ku Trojanowu widok się rozszerzył. Stanęliśmy na spoczynek pod Sochaczewem, już późnym wieczorem. Furgony nas odszukać nie mogły i dopiero późno w nocy nadeszły, a to się często zdarzało, ponieważ źle bywały zawiadamiane. Rano wyruszyliśmy w dalszy pochód i przechodziliśmy przez Skotniki, Daryszów, a przed wieczorem stanęliśmy pod Bolimowem, gdzie już znaczne siły naszego wojska różnej broni były rozłożone. Tu zajęliśmy przeznaczone dla PUŁKU stanowisko do obozowania.

Teraz zdawało się, że przecie po długiej a tak dla wojska wstrętnej nieczynności, rozpoczną się jakieś kroki zaczepne przeciw skoncentrowanej armii nieprzyjacielskiej, stojącej pod Łowiczem, pod dowództwem Paszkiewicza.

Wojsko słuszne miało przyczyny oburzania się na naczelnego wodza; raz z powodu, że nie stawiał żadnej przeszkody przeprowie armii nieprzyjacielskiej przez Wisłę; powtóre, że dozwolono jej zająć silną pozycją pod Łowiczem i wzmocnić Arkadyą sztaćcami, przez co przy ataku wojsko nasze na znaczne straty narażone być musi. Wzmagala się

więc niechęć z każdym dniem, a nie brakło jeszcze, jak się zdawało, pod tym względem podmuchu agitacyi, o czem, będąc w Warszawie, mogłem się przekonać.

W parę dni po naszym przybyciu pod Bolimów, zapowiedziano Mszę polową, na którą zebrać się miało wojsko, a po niej miał nastąpić atak. Msza odbyła się z wielką paradą, po niej zaś przemówił wódz naczelny, że ufa w Bogu, iż się atak powiedzie, bo zawsze rachuje na mężstwo żołnierzy. Na co wojsko z zapalem odpowiedziało, że pragnie tylko iść do boju! Ale na tem się wszystko skończyło, a w dniu następnym, tak samo jak w poprzednim, wojsko stało bezczynnie.

Teraz już nietylko z każdym dniem, ale z każdą godziną wzmagała się niechęć w wojsku. Obwiniano naczelnego wodza, że zamiast się bić, bawi się w dyplomacyą i wdaje się w jakieś układy, które nas tylko zgubić mogą; słowem, rozchodziły się teżsame wieści, które, będąc w Warszawie, słyszałem, że po klubach były ciągle głoszone.

Mówiono przecie w Warszawie już wówczas, że zmiana naczelnego wodza wkrótce nastąpić musi. Te i tym podobne złe wiadomości nie mogły dobrze usposabiać wojska. Czuć było, że jakaś katastrofa wkrótce nastąpi, obawiano się kontrrewolucyi, z której armia nieprzyjacielska, przed nami skoncentrowana, z pewnością skorzystać zechce.

Wieści poniekąd sprawdziły się. Rozkazem dziennym ogłoszono, że generał Skrzynecki z woli rządu złożył naczelne dowództwo wojska, które ma objąć generał Dembiński. Wiadomość ta sprawiła wogóle wielkie zdziwienie, ale powiedziałbym, mniej korzystne dla przyszłego wodza, w naszym zaś pułku dosyć przychylnie, bo w wielu potyczkach bywaliśmy pod jego dowództwem, lecz w wielu pułkach, które go mało, albo wcale nie znały, mniej chętne.

Wyżsi oficerowie, po większej części z przymieszką za-
zdrości, przyznawali mu energią, zdolność na organizatora

powstania, słowem, na partyzanta, lub na dowódcę najwyższej korpusu, nie zaś na naczelnego wodza, sądząc, że całym wojskiem władać nie potrafi. Przebijała się wszędzie źle tajona zawiść, bądź-jak-bądź zawsze na szkodę sprawy ogólnej wychodząca, bo ufność w wodza podnosi zapał żołnierza, a w ogólnym zniechęceniu była tego zapału wielka potrzeba. Wszyscy jednakże byli zdania, że przy tej zmianie beczynnie, jak dotąd, gnuśnieć przecie nie będziemy. W obozie panowało jakieś ożywienie, zdania się ścierały za i przeciw przyszłemu naczelnemu wodzowi, chociaż tenże jeszcze dowództwa nie objął. Wkrótce jednakże pogłoska się sprawdziła. Przybył generał Dembiński i nastąpiła formalność zdania komendy w obecności członków Rządu Narodowego. Jak przewidzieć było można, przyjęcie przez wojsko nowo-mianowanego wodza dość było chłodne, a to zależało głównie od dowódców dobrze lub źle usposobionych; bo tu już partye znacznie się uwidoczniły, a pojawienie się cywilnych w obozie, których o różne wicherzenia słusznie czy niesłusznie posądzano, bardzo źle przez wojsko było widziane.

Zaraz na drugi dzień po objęciu dowództwa przez generała Dembińskiego, nakazano gotowość do marszu, który miał nastąpić w nocy. Rozkaz ten wszystkich dobrze usposobił, gdyż nieczynność pomimo partyj, dla wszystkich nad wszelki wyraz była wstrętną; a że mieliśmy zapowiedziany marsz w nocy, wszyscy byli bardzo ożywieni. Muzyka, jak zwykle, stanęła przed PUŁKIEM i grała, to naprzemian śpiewano. Po capstrzyku wszystko się uciszyło i zbierano się do marszu. Z północy zatrąbiono na koń i ruszaliśmy w pochód, ale bardzo zdziwieni, że ku Warszawie, zatem się cofamy. Maszerując za Umin, rozeszła się pogłoska w PUŁKU, że nasz kapelmistrz uciekł w nocy zpod Bolimowa do nieprzyjaciela; a kiedyśmy stanęli poza wsią Czerwonką dla popasu, ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że owa pogłoska jest

prawdziwą; był-to więc agent i pospieszył, by nieprzyjacielowi o naszym ruchu nocnym donieść.

Dywizya jazdy generała Skarzyńskiego była w tym odwoście na naszym lewym skrzydle, a naszą brygadę, do tejże dywizyi należąca, stanowiły PUŁKI: 3ci i 5ty ułanów pod dowództwem brygadiera Gawrońskiego. Ponieważ nasz PUŁK był w aryergardzie, więc przechodziło około nas wojsko nasze różnej broni, spiesząc ku Szymanowu. Kazano i nam w tymże kierunku postępować. Dochodząc do Szymanowa, zatrzymano PUŁK. Piechota nasza z dywizyi generała Ramorino spiesznie przechodziła za wsią groble i mosty, pozostał tylko jeden batalion z 5go liniowego pułku piechoty, łącznie z którym nasz PUŁK stanowić miał aryergardę. Różne jeszcze wozy, do parków artylerji należące, przechodziły groble i mosty, a bardzo je naglono do pośpiechu, bo już w oddaleniu zaczęły się ukazywać zmasowane kolumny wojska nieprzyjacielskiego, które szybko się zbliżały, a przeważnie widoczną była wielka siła kawaleryi. My, rozwinięci szwadronami przed Szymanowem, staliśmy zwróceny do nieprzyjaciela, a batalion pozostawiony posunął się ku mostom, by popchnąć tabory do pośpiechu w przeprawie. Nieprzyjaciel, zbliżywszy się pospiesznie, wysunął artylerję i zwrócił ogień na wieś, która wkrótce stanęła w płomieniach, a szczególnie rozwiniął silny ogień przy drodze, by nam odwrót utrudnić. Odpowiadały wprawdzie nasze działa zza rzeki, nie przeszkodziło to jednakże szerzeniu się pożaru, a skoro tylko batalion przeszedł groble, my, odłamani trójkami, pędem koni przechodziliśmy między palące się po obu stronach drogi budynki i groble, gdzie na nas zwrócony był gwałtowny ogień działowy. Straciliśmy przy tej przeprawie kilku żołnierzy, a porucznik Rola miał zabitego konia i sam otrzymał mocną kontuzję. Z wielką trudnością został on z placu bitwy uprowadzonym, by się nie dostał do niewoli. Mosty zaraz za nami zrzuciono.

Po przebyciu grobli, uformowani szwadronami, cofaliśmy się w porządku. Bój na całej rozległej linii rozszerzył się, piechota nasza zacięty opór stawiała posuwającemu się nieprzyjacielowi, a nasz PUŁK stanowił w odwrocie lewą flankę. Naciskały nas masy kozactwa, a byli to kozacy gwardyi, tak zwani atamańscy, co wskazywało, że główne siły za nami postępują. Kozacy, jak zwykle rozsypani, w ślad za nami się posuwali, nie atakując jednakże ustępujących szwadronów. Nasłuchaliśmy się jedynie pisku i różnych epitetów moskiewskich; kule tylko działowe robiły nam szczyby w szeregach, a po każdym wypadku, kozactwo jak stado kruków na tę krwawą zdobycz się rzucało. Przechodziliśmy przez wsie Gole i Bojowice. Wszędzie ludność z przerażeniem przed zbliżającym się nieprzyjacielem uciekała, a to nam ruchy utrudniało. Pod wieczór ucichły działa, zwolniał znacznie ogień artyleryi i ogień ręcznej broni, wojsko nasze cofało się już późnym wieczorem. PUŁK nasz rozwinął szwadrony, i rotami przeszedłszy miasteczko Błonie, stanęliśmy pod wsią Rokitne do obozowania. Dzień był pogodny, wieczorem zaczął deszcz padać, który się coraz bardziej wzmacniał, odpoczynek zatem niebardzo będzie wygodny, a że przeszła noc maszerowaliśmy zpod Bolimowa, w dzień brali udział w boju, zatem byliśmy znużeni i głodni, tu zaś nadmiar złego, dopiero późno w nocy nadeszły nasze furgony. Rozbierano furaz i żywność, przyczem rozchodzić się zaczęły głuche wieści, że w Warszawie, kiedy ją furgony opuszczały, rozpoczęto kontr-rewolucyą.

Bardzo te wieści zaniepokoiły nas, stojących przed nieprzyjacielem, który zapewne dnia następnego skorzysta z tej okazji. Chociaż byliśmy bardzo znużeni, nikt już o spoczynku nie myślał. Z wielką niecierpliwością oczekiwano dokładniejszych wiadomości, bo różne niepokojące wieści lotem błyskawicy po całym obozie rozchodziły się, a jedne z drugimi sprzeczne. Nad ranem nadszedł rozkaz do marszu.

Musieliśmy bardzo wolno postępować, gdyż gościniec ku Warszawie literalnie był zapchany tak wojskiem różnej broni, jak przeróżnemi taborami i niejeden raz musiano się zatrzymywać, by się jakoś przewidniało. Już z południa zbliżyliśmy się ku Warszawie, a przechodząc wśród szańców, zajęliśmy oznaczone dla pułku stanowisko, około Mokotowskich rogatek, między szańcami.

Tu dowiedziano się dokładnie o wypadkach nocy 15go sierpnia. Nie da się opisać zgrozy, jaką te wiadomości wywarły, ogólnie w wojsku, jak również i w naszym pułku. Oburzenie było wielkie na niedołęstwo Rządu, że nie ukrócił samowoli, a ogólny był głos, by ówczesnego gubernatora Warszawy pociągnięto do surowej odpowiedzialności; by dalej pseudo-patryotyczne Towarzystwo, nienawidzone w wojsku, któremu wszystko złe przypisywano, rozpędzono; wreszcie by winnych kanibalizmu pod sąd wojenny oddano i doraźnie ukarano, a przytem, by się domagano, ażeby ogłoszono odezwę, iż wojsko ten czyn nikczemny samowoli potępia.

Wszystko coraz bardziej zwiększało nieukontentowanie. Nieustannie obiegające wieści o zmianach w naczelnem dowództwie ani na chwilę nie ustawały, a to tak dalece, że nie wiedziano, kto istotnie wojskiem dowodzi. Przytem niepowodzenie doznane na linii bojowej, utrzymywało wojsko w wielkiem rozdrażnieniu, a przyczyniała się jeszcze do tego jakaś jakby zpod ziemi agitacya, i to tak dalece silna, że i żołnierze, dotąd tak karni, zaczęli się w służbie opuszczać, szemrać i widocznem było zniechęcenie.

To ogólne niezadowolenie w wojsku z wypadków w Warszawie przedstawiono Rządowi, bo wkrótce przysłano i do naszego pułku odezwę drukowaną, która, jak mówiono, w mieście miała być ogłoszoną, a opiewała ona, że wojsko potępia morderstwa w nocy 15go sierpnia popełnione. Jakkolwiek ta manifestacya ówczesnego Rządu nie była wystarczającą, bo tu potrzeba było ukarania winnych, złagodziła

jednakże oburzenie. Co do ukarania winnych, niby-to szukano ich, ale tak, by znaleźć nie było można, chociaż o nich dobrze nawet i w obozie wiedziano. Wszystko-to razem wzięte demoralizowało wojsko, a ludziom szczerze kochającym kraj niewypowiedzianą boleść sprawiało, bo koniec tego krwawego dramatu łatwym już był do przewidzenia — wypadki wielkie, a ludzie mali — mali zawiścią i próżnością.

Cała nasza armia, skoncentrowana pod Warszawą, zaczęła wkrótce uczuwać dotkliwy brak wszystkiego. Uszczuplono furaz dla koni, chociaż i dotąd nieobfity; o słomie, czyli materacach, jak ją zwaliśmy, ani mowy już nie było; brak drzewa do gotowania czuć się dawał, a przyszłość z każdym już dniem coraz czarniej się jeszcze przedstawiała, bo z jednej strony Warszawy stała cała armia Paszkiewicza, a z drugiej do samych okopów Pragi docierały patrole z korpusu Rozena. Byliśmy więc zupełnie obleżeni! I w takiej-to, nad wszelki wyraz krytycznej chwili, tak w rządzie, jak również między dowódcami wojska tłała niezgoda. Z każdą godziną rozchodziły się pod tym względem jaknajgorsze wiadomości.

Zwiększyło się jeszcze, o ile to już być mogło, oburzenie, w tem naprężeniu, gdy się rozeszła wiadomość, że znaczny oddział wojska naszego i dwa działa, wysłane na rekonesans, z powodu braku przezorności komenderującego zabrane zostały przez nieprzyjaciela. Dawały się już słyszeć głośne złorzeczenia na niedołężny rząd i na dowódców, słowem, na wszystko i na wszystkich. Jeden i ogólny był głos w obozie, by iść do boju, i że w tem położeniu wojsko ani chce, ani może dłużej pozostać, bo musiałyby głodową śmiercią wyginąć.

W naszym pułku wielkie zaszły zmiany. Bardzo się przedzielili starzy żołnierze, podoficerów starszych zostało także bardzo mało, co zaś do oficerów, to jedni wyszli z awansem do innych pułków, inni wyginęli, słowem, z dawnego pułku

została tylko nazwa, bo nas nie oszczędzano. Szwadron 3ci pod komendą Janowicza wysłany do Litwy, chociaż z jenerałem Dembińskim powrócił, stracony był dla PUŁKU, a stanowił na teraz kadrę 13go pułku ułanów. PUŁK nasz więc obecnie składał się tylko z 3ch szwadronów, a dowodził nim podpułkownik Żółkiewicz. Major Kleszczyński, chociaż awansował na podpułkownika, pozostał w PUŁKU.

Podczas teraźniejszego obozowania PUŁKU pod Warszawą, weszło doń kilkunastu młodzieży Litewskiej, przybyłej z Janowiczem, a odróżniali się oni tem od naszych, że mieli płaszcz z zielonego komiśnego sukna, którego używają na mundury żołnierzy moskiewskich, i dlatego w szwadronach zwano ich »Zieleniakami.«

Że wojsko nasze nie mogło nadal pozostać w krytycznem położeniu, w jakim się obecnie znajdowało, zwołano więc radę wojenną, na której uradzono, by odeprzeć korpus jenerała Rozena, który patrolami docierał aż pod okopy Pragi. W tym celu przeznaczono znaczny korpus pod dowództwem jenerała Ramorino, do niego przydzieloną została także nasza brygada, którą naówczas składać miały PUŁKI 3ci i 5ty ułanów, oraz szwadrony Legii Nadwiślańskiej. Pod wieczór zapowiedziano gotowość do marszu. Jednakże nie było wiadomo, dokąd się udamy. Sądziliśmy, że to będzie jakiś silny rekonesans.

Nadeszły nasze furgony, rozdano żywność i furaz, a żołnierze rozbiegli się za wodą i drzewem, o które-to artykuły było bardzo trudno. Znajdował się w szwadronie naszym żołnierz wielkiej siły, nazwiskiem Nabor, i on właśnie został wysłany, by wyszukał gdzie drzewa na paliwo. Wówczas kończono bardzo pospiesznie szańce, ciosano palisady, tam więc udał się Nabor w nadziei, że może uda mu się trzasek uzbierać. Oficerowie dozorujący roboty, siedzieli na niewbi-tych jeszcze palisadach, a widząc zwijającego się żołnierza, pytają go: Czego ty ułanie szukasz?

— Chcąc się pożywić, szukam drzewa do gotowania —
odpowiada Nabor.

Na co jeden z oficerów, żartując, mówi: Chodzisz około drzewa, a drzewa szukasz...

— A, — bo tego wziąć nie wolno — rzekł Nabor.

— A wziął-byś? — żartuje oficer dalej — no, jak weźmiesz, to ci pozwolimy.

— E, pan porucznik żartuje — śmiejąc się, powiada Nabor.

— Ale nie żartuję, jeżeli tylko weźmiesz, to ci pozwolimy.

Żołnierz przypatrzył się palowi, podniósł go za ociosany koniec, podsunął się, by go zrównoważyć na ramieniu — i pomaszerował. Oficerowie zdumieli się, a widząc to robotnicy przy szańcu, wykrzyknęli: Zuch ułan! Ale kiedy żołnierz przyszedł przed szwadron i zrzucił palisad, kapitan Zieliński ujrzawszy to, bardzo go zestrofował, jak się mógł poważyc brać materyał fortyfikacyjny. Chociaż się żołnierz tłumaczył, że mu oficerowie pozwolili, uwierzyć nie chciał i rąbać zakazał.

Gdy zaś do szańców nadszedł trzeci oficer, opowiedziano mu, co się stało. W żaden sposób uwierzyć on nie chciał, ażeby taki palisad mógł udźwignąć jeden człowiek. Jakoż wkrótce nadeszli ku nam owi trzej oficerowie i zatrzymali się przy owym palisadzie. Kapitan, domyślając się, o co chodzi, chciał się tłumaczyć, gdy ciż powiadają, że chcieli zażartować sobie z ułana, ale on z nich lepiej zażartował. Zeszło się nas więcej, bo to dość było zabawne. Zawołano tedy żołnierza, któremu niby za karę kazano palisad napowrót odnieść. Wziął on go, jak poprzednio, na ramię i pomaszerował, wrócił jednakże bardzo ucieszony, bo za ten żart dostał kilka złotych.

Podczas nocy w cichości przeszliśmy Warszawę. Nikomu wówczas na myśl nie przyszło, że ją widzimy po raz ostatni.

Za Pragę stanęliśmy w okopach, zwróceniem frontem ku gościńcowi, prowadzącemu ku Siedlcem. Przechodząc przez Pragę, widzieliśmy także zbite kolumny piechoty i znaczne parki artylerji. Cieszył nas ten widok i myśl, że się przecież jakaś akcja rozpocznie. Skoro się tylko cokolwiek rozwidniło, wyruszyliśmy z pomiędzy okopów. Odkomenderowano z naszego PUŁKU pierwszy dywizyon, to jest szwadrony 1szy i 2gi pod komendą majora Wierzchlejskiego będące, dodano jedną kompanię piechoty z garnizonu Pragi — i tym oddziałem dowodzić miał podpułkownik Kleszczyński.

Oddział ten udał się w pochód na naszą prawą flankę, postępując brzegami Wisły do miasteczka Karczewa. Gdyśmy się już doń zbliżali, zatrzymano nasz szwadron 2gi i z nim po pewnym umówionym czasie miał major Wierzchlejski z frontu na Karczew uderzyć, zaś jeden szwadron i kompanię piechoty podprowadzić miał lasem przewodnik znający miejscowość, by wziąć tył nieprzyjacielowi. My, sformowani plutonami, po niejakiem czasie ruszyliśmy naprzód, a kiedyśmy przeszli przez mały laszek zasłaniający nas, dały się widzieć przed nami widety i placówka. Gdy nas widety dostrzegły, dawszy parę strzałów na alarm, pędem wraz z placówką posunęły się do miasteczka, lecz my siedzieliśmy im na karkach; a kiedy i z przeciwnej strony od naszych dały się słyszeć strzały karabinowe, co mogło, w zupełnej rozsypane uciekało w lasy. W miasteczku wzięliśmy majora od ułanów, komenderującego posterunkiem, do niewoli; kapitan od kozaków został zabity, kilku żołnierzy także zabitych, kilkunastu znów wraz z końmi dostało się do niewoli. My mieliśmy dwóch żołnierzy ranionych. Posterunek w Karczewiu składać się miał z 2ch szwadronów ułanów na karych koniach, podobnych do naszego 4go pułku ułanów, i sotni kozaków, lecz zastaliśmy tylko jeden szwadron ułanów, drugi zaś wyszedł dniem pierwej do Włodawy czy do Żelechowa, dokładnie nie wiadano.

Po tej dość korzystnej potyczce, zatrzymano się pod miasteczkiem, by pożywić konie i żołnierzy. A że tu stali poprzednio Moskale, furaż więc dla koni był przygotowany, jak również i żywność, z czego skorzystano. Żołnierze ochoczo wzięli się do popasu, zadowoleni z pierwszego powodzenia. Że tu nad Wisłą zastaliśmy znaczną ilość drzewa nagromadzoną, zapewne na zbudowanie mostu, więc piechota z nami będąca, zajęła się spieszenie spalaniem tegoż — i w tym celu zapewne z nami była odkomenderowaną. Zwijało się kozactwo po drugiej stronie Wisły, widząc, co się tu działo, ale zaradzić temu nie mogli.

Po odpoczynku i spaleniu drzewa, piechota, zabrawszy rannych i jeńców, udała się do Pragi, my zaś późnym wieczorem w dalszy pochód ku Żelechowu, na które-to miasto mieliśmy zrobić podobną wyprawę. Zachodziła wątpliwość, czyli nam się ten zamiar powiedzie, bo jeżeli rozprószony posterunek z Karczewa udał się do Żelechowa, będzie tam niezawodnie wielka czujność i posterunek będzie przez przybyłych wzmocniony. A tu właśnie chodziło o to, by go niespodzianie obejść. Szwadron 1szy z podpułkownikiem Kleszczyńskim, poprowadzony przez przewodnika, miał tego dopełnić, nasz zaś szwadron 2gi, przy którym był major Wierzchlejski, miał z frontu na miasto uderzyć. Stać się to miało równo ze dniem. Ponieważ szwadron 1szy obchodzić miał dalszą drogę, więc my postępowaliśmy zwolna, by przybyciem wcześniejszem nie spłoszyć nieprzyjaciela. Stosownie do ułożonego planu, równo ze dniem zbliżaliśmy się do Żelechowa, sformowani plutonami, z których półszwadron miał postępować traktem wprost do miasta, po jednym zaś plutonie na prawo i lewo celem oskrzydlenia miasta. Zaledwie rozpoczęliśmy te ruchy, dały się słyszeć z przeciwnej strony wystrzały, co było dla nas hasłem do napadu. Ruszyliśmy galopem naprzód. Przed miastem około cmentarza stała placówka, zaalarmowana już strzałami z przeciwnej strony,

a kiedy w dodatku nas z frontu spostrzegła, poszła w zupełną rozsypkę, oskrzydłona jednakże, prawie całkowicie dostała się do niewoli. Około miasta nastąpiła pogon za pojedynczo rozpiezchniętymi kilkunastoma ludźmi, po większej części rannymi, między którymi był podoficer nazwiskiem Gersz. Jak mówił, był on rodem z Warszawy; wzięliśmy go do niewoli. Zdobyto także kilkanaście koni.

Mnie prawem zdobyczy dostał się koń Gersza, lecz że był kary, dlatego mój stary, bardzo przesądny, ordynans, pomimo że koń był okazały, niechętnie nań spoglądał.

Rozpędziwszy ów szwadron ułanów, oczyściliśmy tym sposobem prawą naszą flankę z posterunków, przez które komunikowały się korpusy Rozena i Rydygera. Czego dopełniwszy, mieliśmy się złączyć z głównym korpusem.

Mając konie pospiesznemi marszami i gonitwą dwudniową zmęczone, pozostaliśmy pod miastem na wypoczynek. Żołnierze byli z tej pomyślnej wyprawy bardzo uradowani.

Furażu i żywności było w mieście podostatkiem, pozwolono nam kilka godzin zasłużonego spoczynku. Nakazano podwoły pod rannych, zaopatrzone się furażem, o który zwykle bywało trudno, i ku wieczorowi wyruszyliśmy w pochód, który furmanki z rannymi i powodowe konie utrudniały.

Dnia następnego przed południem stanęliśmy pod Łukowem.

Tu zastaliśmy już znaczne nasze siły skoncentrowane, a był tu także i nasz jeden szwadron ze sztabem pułku. Nakazano nam pospiesznie żywić konie, bo się spodziewano, że wkrótce może nadejść rozkaz posunięcia się naprzód. Wyszowano nam powodzenia w tej wyprawie, z której ze zdobyczą powracamy, a co najważniejsza, mówiono, że nieprzyjaciel w znacznej sile ma znajdować się przed nami i że tu zapewne nastąpi starcie. Jak się spodziewano, zaraz z południa ruszyły wojska nasze naprzód, a wysłane rekonesanse doniosły, że wojsko nieprzyjacielskie stoi w pobliżu, zupełnie

uszykowane i zdaje się być gotowem do przyjęcia bitwy. Po tej wiadomości, rozwijać się zaczęły także nasze siły i już w szyku bojowym posuwano się naprzód. Kiedyśmy weszli na wzgórze wsi, jak mi się zdaje, Maciejowice, ukazały się rozwinięte do boju wojska nieprzyjacielskie. Teraz rozpoczęła się walka na całej linii; bój zacięty trwał dość długo, szczególnie na polach wsi Poniaty, na których były małe laski jakby remizy, a za niemi chroniły się kolumny piechoty albo działa, i trzeba je było wypierać. Jednakże widocznem było, że nieprzyjaciel ustępuje, a w ślad za nim postępują nasi i ogień obustronnie ani na chwilę nie ustaje.

Najzaciętszy opór stawiał nieprzyjaciel na polach wsi Krymka, szczególnie w samej wsi, z której w końcu nasza piechota wyparła go bagnetem już samym wieczorem. Ponieważ pułk nasz w tym dniu był na pierwszej linii, więc postępowaliśmy za łańcuchem tyralierów naszej piechoty, który się znacznie poza wieś posunął, ale gdy bój stopniowo wolniał, a w końcu ustał zupełnie i coraz więcej się mroczyło, zaczęto ściągać tyralierów, którzy szli przed nami, a pomimo to my rozwiniętymi szwadronami postępowaliśmy naprzód, dość już oddaleni od wsi Krymki. Obecnie szwadron nasz 2gi był na przodzie, a przed nim na teraz podpułkownik Kleszczyński, ponieważ podczas bitwy wypadało niejeden raz zmienić front, by spędzić z pozycyi działa. Było pochmurno i raptownie się mroczyło, więc zatrzymano szwadrony, ale ich nie zwinęto, czekając zapewne dalszego rozkazu.

Dla dokładnego ocenienia następstw nieściągnięcia szwadronów, muszę skreślić położenie miejscowości.

Po lewej naszej stronie były bagna; środkiem szedł gościniec, a na nim dalej grobla i mosty; na prawo zaś niskie krzaki, nieopodal których właśnie przystanęliśmy. Po niejakiem czasie widocznem było, że jakaś kolumna bardzo pospiesznie ku nam się zbliża, zasłonią owemi krzakami. Dostrzegłszy to podpułkownik, wysłał skrzydłowego podofi-

cera, by się dowiedział, co to za kolumna? Tenże dojeżdżając do krzaków, pyta, co to za wojsko? Z kolumny była odpowiedź: »piechota!» — którą i my słyszeliśmy. Kiedy podoficer z tą odpowiedzią chciał wrócić, krzyknął na niego w gniewie podpułkownik, by się dowiedział, jaka piechota? Nie czekaliśmy jednakże długo na powtórny odpowiedź. Batalion dał do nas ognia, wskutek czego konie, po większej części nieostrzelane, zwróciły się na zadzie i popchnęły inne w owe bagna na lewo będące, a popędzał je nieustający ogień rotowy. Pomimo nawoływań: stój! nasi! — stój! nasi! — w pierwszej chwili sądziliśmy, że to jakaś pomyłka, wśród ciemności przecież porządku utrzymać w tem nadzwyczajnem zamieszaniu nie było podobna. Mój pluton czwarty, stojący na lewym skrzydle szwadronu, został wtłoczony w bagno, z którego z wielką trudnością mogliśmy się wydobyć, szczęściem bez straty — zasłaniały nas bowiem inne plutony od strażaków. Batalion nieprzyjacielski po tej suchej łaźni, jaką nam sprawił, cofnął się właśnie w porę, nie czekając odwetu, bo na huk strażaków nadbiegł wkrótce batalion naszej piechoty, ale już wszystko ucichło. Zbieraliśmy się w zupełnej ciemności i kierowali na łuny naszych ognisk obozowych.

A kiedyśmy stanęli do obozowania, pokazały się dość znaczne braki w szeregach naszego szwadronu, chociaż była nadzieja, że jeszcze zbłąkani wśród ciemnej nocy, którzy stracili konie, nadejdą pieszo, kierując się na łuny ogni. Podpułkownik Kleszczyński stracił konia, kask miał zestrzelany na strzepy i cudem tylko uszedł śmierci, a podoficera Głowińskiego, który jeździł z zapytaniem, brakowało. Szwadron 1szy, jako więcej oddalony, nie wiele skorzystał z tego traktamentu, chociaż i jemu się co-nieco dostało, ale najwięcej ucierpiał nasz szwadron, szczególnie pluton 1szy prawo-skrzydłowy.

Wielkie panowało oburzenie w pułku na Starzyńskiego, pułkownika Legii Nadwiślańskiej, który w dniu tym zastę-

pował brygadiera, ponieważ on, kiedy korpus pod wsią Krymką stanął celem obozowania i piechota ścigała tyralierów, nie zatrzymał także szwadronów, które w szyku bojowym tak daleko naprzód się wysunęły, i dlatego-to batalion nieprzyjacielski, złożony także z tyralierów i spieszący ku gościńcowi, którym się jego korpus cofał, spotkawszy na swej drodze szwadron tak natarczywie legitymacji żądający, dał do nas ognia, czego najmniej spodziewać się mogliśmy, i tym sposobem drogę sobie otworzył.

Całą zatem winę tej straty, jaką PUŁK poniósł, przypisywano pułkownikowi Starzyńskiemu i gdyby nie wypadki nagle po sobie następujące, byłby się musiał z tego tłumaczyć, gdyż podpułkownik Kleszczyński byłby tej sprawy nie zaniedbał. W dniu następnym bardzo rano wysłano oddział na pobojuwisko, by ranionych z placu zabrać, a między nimi był podoficer Głowiński, zaś kilka koni było zranionych i uwiązniętych w bagnie z osłabienia. Zdjęto z nich okulbaczenie, a braki koni zastąpiono zdobytymi, chociaż były innej maści. Różna już była mieszanka koni w PUŁKU, z każdym dniem prawie był ubytek, jednym słowem PUŁK topniał, a jakto z przedstawienia widzieć można, nie oszczędzano nas bynajmniej, nie mogło zatem być inaczej, gdzie bowiem drzewo rąbia, tam i trzaski lecieć muszą.

Równy ze dniem wojska nasze opuszczały obozowiska, posuwając się w tym kierunku, w którym dnia wczorajszego nieprzyjaciół ustępował. PUŁK nasz miał trzymać aryergardę, nie bardzo się więc spieszył, a nagłono tylko do pośpiechu te oddziały, które przed nami postępować miały. Przyszła i na nas kolej. Przechodząc przez wczorajsze nocne pobojuwisko, gdzie nas ów batalion na bagno wpędził strzałami, bardzo przykry mieliśmy widok: kilka naszych koni leżało na bagnach, a jeszcze tu i ówdzie bielił się papier z wystrzelonych ładunków, którymi nas poczęstowano. Rozpatrzywszy się za dnia w miejscowości, uznać było potrzeba,

że tylko przez brak należytej ostrożności narażono PUŁK na dotkliwą stratę, a to tem przykrzejszą, że nieprzyjaciel nie poniósł żadnej.

Zbliżając się ku Międzyrzeczowi, doniesiono, że nieprzyjaciel, uszykowany do boju, zdaje się, stawiać tu będzie silny opór. Tu także skoncentrowany był cały nasz korpus.

Zbliżając się ku miastu, rozwijać się zaczęły i nasze siły, a nasz PUŁK posunięto na naszą prawą flankę, jak to mogliśmy zauważyć, gdyż miejscowość była nam dobrze znana. Międzyrzecz stanowił tyloletni garnizon sztabu naszego PUŁKU, a wszystkie miasteczka wraz z okolicami do Brześcia Litewskiego, w których stawały szwadrony, były nam bardzo dokładnie znane i dlatego zapewne wysłano PUŁK na prawą flankę, że jemu, jako znającemu miejscowość, łatwo będzie ominąć wszelkie przeszkody w posuwaniu się naprzód, gdyż znajomość terenu w czasie akcji jest nadzwyczaj ważną.

Ustawienie wojska wskazywało, że główny atak będzie zwrócony na miasto i nasze lewe skrzydło; prawe zaś niekorzystnem było do akcji tak dla jednej jak i drugiej strony walczących, ponieważ rzeczyna bagnista nie dawała przystępu dla artylerji, a trudna przez nią przeprawa i dla piechoty, jeżeli z miejscowością nieobeznana.

Skoro się tylko wojska ku sobie zbliżyły, rozpoczął się zaraz ogień tyralierski bardzo rześisty, wkrótce potem batalionowy, a dalej tu i ówdzie na linii odezwały się działa, najsilniej jednak około gościńca prowadzącego do miasta. I na naszym lewym skrzydle bój był bardzo zacięty, piechota nasza szła kilkakrotnie na bagnety, bo sygnały bębnow słyścić się dawały, nieprzyjaciel wszakże stawiał silny opór. Na prawem naszym skrzydle tylko, ogień tyralierski trwał nieustannie, coraz bardziej się wzmagając.

W niewielkiem od nas oddaleniu, ku prawemu skrzydłu, stały nasze działa, dotąd jeszcze milczące, a przy nich w asekuracyi były szwadrony Legji Nadwiślańskiej. Mówiliśmy,

że zdadzą tu one egzamin wojskowy pierwszej klasy, drugi stanowić będzie szarża na działa, albo na *carré* piechoty. Uważaliśmy, kiedy się rozpoczął ogień działowy i to bardzo silny także na naszym skrzydle, a bój zawrzał gwałtowny na całej linii, przeważnie piechoty — asekuracja pomimo strat stała spokojnie. Osądzono, że będzie można z czasem dać im świadectwo dojrzałości, bo tu wcale dobrze zdają egzamin, a trwała ta próba dość długo, bo bitwa pod Międzyrzeczem była zaciętą.

Po bardzo silnym oporze, nieprzyjaciel spychany z pozycyi na pozycyą, już dobrze z południa wypartym został z Międzyrzecza i na całej linii ustępował. W ślad za nim postępowało nasze wojsko, bo ustępując w szyku bojowym, stawiał on ciągle opór. Skoro tylko nieprzyjaciel rozpoczął odwrót, kazano PUŁKOWI naszemu pósunąć się naprzód. Przeszliśmy jedną rzeczynę około wsi Stołpno w bród, a następnie drugą pomiędzy wsiami Stołpno i Dulsko. Druga rzeka jest znaczniejsza i tu właśnie znajomość miejscowości wielce nam pomogła. Tym sposobem znaleźliśmy się na naszej prawej flance znacznie wysunięci, właśnie wówczas, kiedy nieprzyjaciel zajął pozycyę pod wsią Rogoźnicą i chciał się w niej utrzymać. Tu wznowił się bój bardzo zacięty na całej linii. Nasz PUŁK z prawej flanki starał się oskrzydlać nieprzyjaciela i tym sposobem ruchy jego utrudniać. Gdy nas spostrzeżono, cofnęły się działa nieprzyjacielskie, które naszej piechocie w posuwaniu się naprzód szkodziły. Stało jeszcze dwa bataliony piechoty nieprzyjacielskiej, na które teraz nasze działa, uwolniwszy się od strzałów z przeciwnej strony, zwróciły gwałtowny ogień. Bataliony te, będąc rażone ogniem działowym i widząc się zagrożone z flanki, cofnęły się ku gościńcowi, a w ślad za nimi postępowała nasza piechota. Dochodząc do Rogoźnicy, w której najzaciętszą walkę prowadzono, weszły w największy war bitwy. Tu poprzednio batalion piechoty nieprzyjacielskiej, zrobiwszy zasadzkę po lewej

stronie gościńca w budynkach, jak się zdawało, owczarni i w karczmie murowanej, kiedy się wewnątrz owczarnia od granata zapaliła, ustępując z płonącego budynku, został przez batalion 5go pułku piechoty w części wykłuty, w reszcie wzięty w niewolę. Tych, co zrobili zasadzkę w karczmie, ten sam los spotkał. Właśnie to po owym pogromie nadeszły owe bataliony, naciskane przez naszą piechotę. Wtedy dwa bataliony 5go liniowego pułku, które tu właśnie już się załatwiły, rzuciły się na nie z bagnietem w rękę. Walka była zacięta, o czem plac bitwy świadczył, ale waleczności tego pułku w dniu tym oprzeć się nie było podobna. Co nie wykłuto, wzięto do niewoli. Wojsko nieprzyjacielskie cofało się bardzo pospiesznie na całej linii. Rozen w dniu tym poniósł bardzo dotkliwą klęskę w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a między ostatnimi była znaczna liczba oficerów różnych stopni. Jenerał Werpachowski, polak, w moskiewskiej służbie będący, został także jeńcem.

Po tej zupełnej porażce, wojsko moskiewskie cofało się bardzo pospiesznie ku Brześciowi Litewskiemu. O stawianiu oporu ani myślało, a nasza kawalerya, jak to mówią, deptała im po piętach. Chodziło nam o to, by nie dać zniszczyć mostu na Bugu pod Brześciem. Pod wieczór stanęliśmy pod Białą do obozowania. Straty w tych dniach mieliśmy dość znaczne: zginął oficer Prokopowicz, stary napoleoński żołnierz, podoficer i kilku żołnierzy, ale wzięliśmy za to sowity odwet za Krymkę. Jak to zwykle bywa, kiedy się wiedzie, wszystko było wesołe; opowiadano różne przygodyienne, szczególnie przy przeprawie w bród przez rzeczki, gdzie się nie obeszło bez małej kąpieli. Projekta na przyszłość sypały się bez liku, a między innymi już najpóźniej za dwa dni mieliśmy zdobyć Brześć i układano niezawodny plan jego zdobycia, mianowicie, kiedy piechota pójdzie do szturm na most, wtedy kawalerya upatrzonym brodem przejdzie Bug wplaw, by tył wziąć nieprzyjacielowi. Takie i tym podobne snuły

się projektu, a to tylko pewna, że duch żołnierzy był wyborny i niezłomność jego przeczyła już sama owym z dowódców, którzy zniechęceni, lub mając niecne osobiste widoki, utrzymywali, że na wojsko rachować wiele nie można, ponieważ ono bić się nie chce. Tym-to niedowiarkom potrzebaby było pokazać plac bitwy pod Rogoźnicą, zasłany trupami, gdzie już nie pojedynczo, ale szychtami zabici leżeli, przytem ten nieporządny odwrót nieprzyjaciela, w ślad za którym gościniec zarzucony był bronią, tornistrami, kaszkietami! A owe wysokie kity grenadyerskie, któremi cały gościniec był zasłany! Każdy z oddziałów, który później tędy po aferze przechodził i na własne oczy owo pobojuwisko widział, przyzna, że w powyższym opisie, jeżeli nie za skromnym, niema zupełnie przesady.

Zaledwie zrobiliśmy jeszcze jeden marsz ku Brześciowi w pościgu nieprzyjaciela, gdy nas powstrzymano i zakomenderowano zwrot. Z wielkiem naszym zdumieniem wykonywaliśmy bardzo pośpieszny odwrót. Zawiadomiono wojsko, że przyczyną tego odwrotu, jest atakowanie Warszawy, więc spieszymy, by jej przyjść w pomoc. Ta więc fatalność, jakby przywiązana do naszej sprawy, ocala pobitego nieprzyjaciela, nie pozwalając nam korzystać z odniesionego zwycięstwa.

W ponurem milczeniu, z trwogą o stolicę, robiliśmy forsowne marsze. Niestety, gdyśmy dochodzili do Kałuszyna, a inne oddziały zbliżały się już ku Mińskowi, nadjechał kuryer z wiadomością, że Warszawa kapitulowała, a cała załoga nasza wychodzi na Pragę. Nie byłbym w stanie opisać, jakie przerażenie wiadomość ta wywarła na wojsko. Niewysłowiona boleść rozpierała piersi, posiwiali w bojach nasi dowódcy ze łzami w oczach starali się nas młodszych uspokajać i wzniecać otuchę, że skoro jeszcze mamy broń w rękę, to sprawa niezupełnie stracona. I rzeczywiście mogłoby tak być, gdyby można było na czyjąś zdolność rachować, ale jak się już dostatecznie okazało, wypadki były

wielkie, ale ludzie do nich nie dorosli. Uspokoić żołnierzy była rzecz trudniejsza, gdyż skłonni do podejrzeń, po tej przerażającej wieści, złorzeczyli tak rządowi ówczesnemu, jakoteż dowódcom, przypisując z małym wyjątkiem wszystko, jak zwykle w takich razach, zdradzie. I nie dziw, ludzie ci szli z bohaterską śmiałością w ogień, bez żadnych osobistych widoków, jedynie tylko z przywiązania do kraju, czego o niektórych dowódcach powiedzieć nie było można. A nie było to wojsku tajem, bo dowódcy, jedni drugich oczerniając, podejrzenie w żołnierzach może rozmyślnie dla własnych widoków szerzyli. Niebaczni! osłabiali zaufanie względem drugich, a sami go także nie zyskiwali i w końcu przyszło do tego, że żadnemu z wyższych dowódców nie wierzono. Bezczyinnie zostać tu nie mogliśmy, nie będąc pewni, jaki obrót weźmie wojsko, które ustąpiło z Warszawy, a o czym nas z braku, jak się zdaje, stanowczej decyzji nie uwiadomiono. Jeżeliby ustąpiło ono ku Modlinowi i odsłoniło gościniec Siedlecki, przy którym rozłożeni staliśmy, to z Warszawy mógł być wysłany jakiś oddział znaczniejszy nieprzyjacielski, a tym sposobem moglibyśmy się znaleźć w trudnym położeniu i być wziętymi we dwa ognie, gdyż generał Rozen po naszym cofnięciu się, chociaż nieśmiało, przecież za nami postępował, domyślając się zapewne, że coś bardzo ważnego zająć musiało, skoro korpus po odniesionem zwycięstwie tak pospiesznie się cofa.

Jak tylko w nocy cały nasz korpus się zebrał, zwołano radę wojenną, na której jedni doradzali złączenie się z załogą Warszawy, by całemi wspólnemi siłami działać; inni znów byli za projektem, by trzymając się Wisły, starać się przez nią przeprawić i uwiadomić o tem generała Różyckiego, by przyłożył się do tej wyprawy, o ile można; zaś po złączeniu się wspólnemi siłami pobić korpus Rydygiera, a tym sposobem oczyściwszy kraj po lewym brzegu Wisły, podstąpić pod Warszawę. Projekt był niezły, ależ łatwiej o pro-

wydano rozkaz, by dwa szwadrony z naszego pułku były wkrótce gotowe do marszu. Jakoż po krótkim popasie koni, stanął przewodnik, który nas miał prowadzić wśród ciemnej nocy do miasteczka Kazimierza. Zboczyliśmy z gościńca, przy którym rozbity mieliśmy obóz; na prawo przed nami postępowała piechota i działa. Po niejakim czasie zatrzymał nas przewodnik i zboczyliśmy znowu z tej drogi, którą oddział postępował. Wprowadzono szwadrony jakąś wąską drożyną w las. Wyszedł rozkaz wziąć lance do flanku, by się o gałęzie nie wadziły, zachować odstęp i zalecano ostrożność, by nie najeżdżano jeden na drugiego. Był to pochód bardzo trudny, wśród nadzwyczajnie ciemnej nocy.

Już ku dniowi zatrzymano szwadrony na gołoborzu. Widocznie las się kończył, bo jakoś widniej się zrobiło, chociaż to jeszcze dnia nie było. Kazano szwadrony sformować i zachować jaknajwiększą cichość, co i w marszu zalecano. To już wskazywało, że jesteśmy zbliżeni do nieprzyjaciela. Objechał szwadrony major Wierzchlejski i powiedział, że równo ze dniem uderzyć mamy na szaniec przedmostowy, żeby więc żołnierzy do tego przygotować. Oficerowie zapowiedzieli, że gdy dotrzemy do szanieca, pierwsze i trzecie numera z trójki zsiądą spieszenie z koni; drugie zaś numera, jako środkowe, mają trzymać konie, a spieszeni z lancami mają uderzyć na szaniec.

To rozporządzenie użycia kawaleryi cokolwiek niestosownem się zdawało, taki był przecież wyższy rozkaz i wykonać go potrzeba było. Stosowniejsem zdawało się tutaj użycie piechoty, której w tej wyprawie było dwa bataliony, jeżeli nie więcej, a nas mogła spotkać bardzo gorąca kąpiel. Przed nami rozścielała się łąka, ciągnąca się po sam szaniec. Skoro tylko zaczęło się cokolwiek rozwidniać, szwadron 1szy wysunął się z lasu na łąkę i galopem posunął się naprzód, a szwadron nasz 2gi w odstepie postępował za nim. Spodziewaliśmy się, że za lada chwilę będziemy powitani kar-

taczami na pierwsze danie, a po niem nastąpi ogień ręcznej broni. Cisza jednakże była zupełna, gdy szwadron dotarł do szańca i stosownie do rozkazu żołnierze spieszeni weszli do niego, zastali w nim tylko kilku chorych maroderów, którzy mówili, że w nocy został szaniec opuszczony. A kiedy nasz szwadron, jako niespieszony, naprzód przed szaniec się posunął, ujrzeliśmy Wisłę, a na niej rozerwany most, którego większa część była na przeciwnej stronie. Kilka tylko galarów z naszej strony pozostało. Ogarnął nas smutek, nie dający się wysłować, znikła bowiem cała nadzieja ocalenia korpusu, a z nią i wszelkie marzone projekta. Wysłano raport do generała Zawadzkiego, który tą wyprawą dowodził, donoszący, że most zniszczony, i mała tylko ilość galarów po tej stronie pozostała, a szwadrony czekają dalszego rozkazu.

Miasto Kazimierz, gdzie stał generał, było dość odległym od szańca przedmostowego, do którego prowadziła droga ponad samą Wisłą. Oczekując dalszego rozkazu, szwadrony stały przed szanccem, zwrócone frontem ku rzece. Na przeciwnym zaś brzegu, widać było na wysokim wzgórzu Janów, gdzie stało wojsko nieprzyjacielskie, które ztąd w nocy ustąpiło, a mogło ono z tego wywyższonego punktu obserwować nasze ruchy.

Gdy tak w zadumie pogrążeni, wpatrujemy się w nurty Wisły, stojącej na przeszkodzie wszelkim naszym projektom, dały się słyszeć strzały karabinowe i hałas, który zwrócił naszą uwagę. Wtem wysunął się od miasta na drogę ku nam wiodącą jakiś oddział kawaleryi i w pędzie koni zmierzają ku szanccowi. Z największym pośpiechem zrobiliśmy zmianę frontu ku niemu i wzięto broń do ataku. Widząc ten ruch zbliżający się oddział, zatrzymał się w miejscu i wyjechał z niego komenderujący oficer. Do niego podjechał major Wierzchlejski. Oficer ów oświadczył, że widząc się otoczonym, a nie chcąc ludzi narażać na stratę, zmuszonym jest poddać się. Był-to szwadron dragonów na gniadych

koniach, a wysłanym został na rekonesans w nocy z Kazimierza, który z powrotem zastał już przez nas zajęty. Ponieważ kompania piechoty w ślad za nim postępowała, więc oddano ich pod jej nadzór. Nasi żołnierze byli z tego niekontenci, mówiąc, że skoro nam się poddali, do nas należą. Uspokoił się jednakże, gdy się im przedstawiło, że niewolnik jest dla jazdy w odwrocie tylko ciężarem, bo nie tylko, iż trzeba go pilnować, ale żywić także konie, jak i ludzi, a częstokroć nam samym żywności i furazu brakuje. Uznali to za słuszne i już o tem nie było mowy.

Nadjechał wysłany z raportem do jenerała i przywiózł rozkaz, ażeby bardzo spieszenie wzięto się do pożywienia koni, bo wkrótce dalszy marsz nastąpi. Przywieziony z Kazimierza furaz w mgnieniu oka rozerwano, a cofnąwszy się na ową łąkę, którąśmy rano przebyli i otworzywszy szeregi, wzięto się do żywienia koni. Ludziom bardzo skromnie wydzielano żywności, a na taki sposób przy codziennym zwiększających się trudach, tak konie, jak żołnierze byli głodzeni. Skutkiem tego konie mieliśmy zupełnie zniszczone. Żołnierze nocną wyprawą znużeni, o gotowaniu nie myśleli, tem więcej, że dalszy pochód miał wkrótce nastąpić.

Nadeszło kilku saperów i oni owe galary, które zostały z mostu przy naszym brzegu, mocno uszkodzili, by już do żadnego użytku nie były zdatne, a następnie z wodą je puścili. Musiały one wkrótce zatonać.

Zaledwie godzinę mieliśmy wypoczynku, gdy wojsko nasze zaczęło przechodzić około szanca drogą, brzegiem Wisły prowadzącą ku Opolu. Przechodziły działa, wozy amunicyjne, bataliony piechoty, był-to więc znaczny oddział do tej wyprawy użyty. Za tym oddziałem szwadrony nasze, jako aryergarda, postępowały. Zaledwie uszliśmy z milę drogi, dały się słyszeć z lewej strony kierunku, w którym postępowaliśmy, strzały armatnie. Nagłono do pośpiechu w obawie, byśmy nie zostali odcięci od głównego korpusu, który,

nieby nas uratować i naciskającego nieprzyjaciela powstrzymać, przed Opolem się rozwinął.

Kiedyśmy dochodzili do Opola, wrzał zacięty bój na całej linii. Oddział nasz, wchodząc na linię bojową, po złączeniu się z korpusem, wzmocnił lewą jego flankę, silnie wówczas atakowaną, wskutek czego nieprzyjaciel odparty zwolnił wkrótce ogień. Korpus nasz rozpoczął odwrót i już późnym wieczorem stanęliśmy poza Józefowem do obozowania.

Mieliśmy konie nadzwyczajnie pospieszonymi marszami zmęczone i prawie o głódzie, a żołnierze w wysokim stopniu strudzeni, widocznie byli bardzo zniechęceni, bo ciągle się rozchodziły zatrważające wieści, a takowym w ciągłym niepewności łatwo się daje wiarę.

Mówiono, i może nie bez podstawy, że korpus dość silny posuwa się ponad granicą austriacką, by nam wziąć tył i łącznie z korpusem Rozena, znacznie wzmocnionym, zmusić do złożenia broni, a w razie oporu zepchnąć nas do Wisły. Te i tym podobne wieści nie mogły korzystnie usposobić żołnierzy. Odzywały się też głośnie złorzeczenia na niesumienność dowódców, że im ciągle obiecywano jakieś mosty na Wiśle, a których nie było i nie ma, gdyż o budowie ich nikt nie myślał, ani nie myśli. Muszę tu nadmienić, że obiecywano most pod Zawichostem, który dla nas miał być przygotowany, a którego ani śladu nie było. Od wziętych do niewoli w Kazimierzu jeńców dowiedziano się, że dowodzący załogą był ostrzeżony, by się miał na baczności, bo korpus nasz w tym kierunku się posuwa. Nie sądził on jednakże, by niebezpieczeństwo było tak bliskiem i wysłał szwadron na rekonesans. Gdy jednakże w nocy otrzymał powtórne ostrzeżenie, że jest zagrożonym, nakazał natychmiast opuścić miasto jaknajspieszniej, wyprowadzić działa z szańca, a po przeprowieniu załogi, nie czekając na powrót wysłanego szwadronu, most za sobą rozerwać. Tak opowiadali ci, co

byli wzięci w szańcu, że gdybyśmy o dwie godziny wcześniej nadeszli, most i znaczna część załogi byłyby wzięte.

Chociaż byliśmy znużeni bezsennością, bo całą noc przeszłą odbywaliśmy marsz w ciemnej nocy po bezdrożach, sen powiek nie kleił. Każdy pogrążał się w zadumie, w niepewności, co jutro przyniesie, bo widocznym już było, że zdążamy do granicy austriackiej.

Jak tylko cokolwiek rozwidniać się zaczęło, dały się słyszeć strzały na widetach, a za nimi rozpoczął się wkrótce ogień tyralierski na obu liniach. Nasi z wolna ustępowali ku Rachowu, a nieprzyjaciel z wielką natarczywością na nas następował. Dopiero na polach Rachowa rozwinął się bój zacięty przez kilka godzin. Około południa nasze wojsko z wolna ustępować zaczęło, prowadząc żywy ogień w odwrocie.

Działa, przy których nasz szwadron był w asekuracji, zajęły wyniosłą pozycję przy wiatrakach i rozpoczęły bardzo żywy ogień przeciw postępującym kolumnom, a na ogień ten działa nieprzyjacielskie w przeważnej liczbie ogień swój także zwróciły. Szwadron asekuracyjny zaczęły pociski dotkliwie razić, w krótkim czasie straciliśmy kilku żołnierzy i kilka koni, ale najdotkliwszą stratą była, kiedy porucznik Wroński, pod którym kula armatnia zabiła konia, stracił także prawą nogę. Skoro go żołnierze zpod zabitego konia wydobyli, słabe już dawał znaki życia. Złożono go przy wiatraku, bo my z pozycji cofać się musieliśmy, gdyż nieprzyjaciel silnie na nas następował. Zbliżająca się kolumna kawaleryi zdawała się działom zagrażać. Smutek był wielki w szwadronie z powodu straty Wrońskiego, który tak od kolegów, jak i żołnierzy, był bardzo lubiony. Mnie strata Wrońskiego tak dotknęła, że na wszelkie niebezpieczeństwa zobojętniał i cała myśl moja tem tylko była zajęta, czy może on jeszcze być uratowanym, jak również, czy nieprzyjaciel uratować go zechce, bo w tym stanie, w jakim go zostawiono, ratunek jaknajspieszniejszy był potrzebnym. Ciągłe mi stało w pa-

mięci owo szczere zaopiekowanie się moją własnością, kiedym leżał ranny przez dłuższy czas w Warszawie, a każde jego odwiedzenie wówczas i widoczne na twarzy jego współczucie, serdecznie mię do niego przywiązało, tem więcej boleśniej mi było, że mu w złej doli odwzajemnić się nie mogę. Wojsko nasze wciąż ucierając się, ale w ustawicznym odwrócie będące, już dobrze z południa zbliżyło się do wsi Borów, czy Borowa, tego dobrze nie wiem, około której zajęto ważniejsze pozycye, na których nasza artylerya ustawiła się. Nasz pułk przeszedł wieś i wkrótce ze zdumieniem ujrzelśmy słupy graniczne. Wielka rozpacz owładnęła wszystkich. To więc był cel, do którego tak pospiesznie zdążaliśmy! — zawołali wszyscy prawie jednogłośnie. Tu więc ów most, który nam obiecywano! — poza owemi słupami, które wkrótce, jak się zdaje, przechodzić będziemy. Tu już złorzeczenia żołnierzy na dowódców przeszły wszelkie granice. Żaden z generałów nie mógł się zbliżyć, by go przekleństwem nie obrzucono. Chociaż byli oni niewinni, żal przecież nie ma granicy.

Przy samych słupach granicznych stanął nasz pułk w rozwiniętych szwadronach. Nadchodzące nasze wojsko zajmowało wskazane stanowiska.

Na lewo od nas ku Wiśle stanęły szwadrony Legii Nadwiślańskiej, która wówczas w tej samej z nami była brygadzie.

A kiedy się także nieprzyjaciel zbliżył do wsi, bój wszczął się na całej linii bardzo zacięty. Pociski działowe nietylko że nas dosięgały, ale nawet przenosiły. Staliśmy spokojnie, bo za mur graniczny cofnąć się nie było można. Niejeden, nie wiedząc, co go czeka, w tułactwie wolałby na swojej ziemi skończyć.

Na granicy naówczas były zbudowane tak zwane czartaki, służące za schronienie dla straży granicznej, trzymającej kordon. Był to czas grasującej cholery, którą hordy azjatyckie ściągnięte na pogrom Polski ze sobą przyniosły,

straż więc ta stała tu jakby dla względów sanitarnych, — a przytem, by stawić przeszkodę dla udających się do powstania polskiego. Taki czartak mieliśmy poza sobą, a było w nim naówczas czterech landwerzystów, którzy przypatrywali nam się ciekawie, ale na nas ich widok niebardzo korzystne robił wrażenie. Nieprzyjaciel ciągle posuwał się za nami ku granicy, a kiedy kule działowe zaczęły nas dosięgać, a jedna z nich uderzyła w ów czartak i przewierciwszy obydwie ściany, dalej chociaż bez paszportu pojechała, wówczas landwerzyści widząc, że się im ciekawość nie opłaci, a w straźnicy nie mogą być życia pewni, spiesznie się wynosili, nie zważając, że ich nasi żołnierze zapraszali, by się jeszcze zatrzymali, gdyż jeszcze coś ciekawszego zobaczą, bo niezadługo się zaczną sztuki łamane.

Wkrótce z powodu wzmagającego się huku dział, zaczęły się w oddaleniu ukazywać wojska austriackie. Dwa szwadrony, zdaje się dragonów lub kirasyerów, których hełmy w oddaleniu połyskiwały, zbliżyły się ku nam przez ciekawość lub przez brawurę, lecz kule armatnie z dział ciężkich, które nas przenosiły, zaczęły ich przez rykoszet dochodzić. Sami też uznali, że ciekawość nie opłaciłaby się; unikając przeto niepotrzebnych strat, zaraz się cofnęli.

Artylerya nasza, chcąc powstrzymać naciskającego nas nieprzyjaciela, rozpoczęła gwałtowny ogień na całej linii. Strzelała pół-bateriami i trwało to aż ku wieczorowi. Moskale przy tym koncercie ponieść musieli dotkliwe straty, gdyż się już naprzód nie posunęli, pozostając na zajętem stanowisku — i zwolna bój obustronnie się uciszył. Wojska na zajętych stanowiskach, w rozwiniętych szykach, naprzeciwko siebie pozostały, rozciągając tylko na liniach obustronnie silne forpoczty.

W dniu tym pułk nasz poniósł, jak mówiono, dość znaczne straty w rannych i zabitych. W naszym szwadronie, prócz żołnierzy rannych zaraz zrana przy ucieraniu się na

flankierach z kozactwem, kapitan Zieliński otrzymał ranę w prawe ramię kulą z janczarki. Jak się wyżej powiedziało, porucznik Wroński stracił nogę i został na placu, a po innych szwadronach były także dość znaczne straty.

W czasie cofania się zpod Rachowa, widziałem także szefa sztabu naszego korpusu, Władysława hr. Zamojskiego, z obandażowaną twarzą, był bowiem także rannym, lecz czy poprzednio, czy w tym dniu, tego nie wiem. Dla wyjaśnienia w tym dniu dalszych wypadków, winienem opisać miejscowość, którą pułk nasz zajmował. Staliśmy zwróceniem frontem ku nieprzyjacielowi, a poza nami, jak się wyżej powiedziało, była granica austriacka, zaś na lewo od nas stały szwadrony Legii Nadwiślańskiej, wreszcie poniżej ku Wiśle, zdaje mi się, pułk 5ty ułanów, a była-to nasza naówczas brygada.

Przed nami, pomiędzy liniami forpocht naszych i nieprzyjacielskich, ciągnęła się aż ku Wiśle łąka miejscami olszyną niską zarosła, na której stało pięć stogów siana. Być może, że dalej poza olszyną ku Wiśle było ich więcej, a że konie mieliśmy nadzwyczajnie zmęczone i głodne, więc owe stogi siana wiodły na pokuszenie, chociaż ten fasunek przed linią nieprzyjacielską nie był zupełnie bezpiecznym. Ponieważ po nieszczęśliwej stracie Wrońskiego furazowanie z kolei na mnie wypadało, trzeba zatem było próbować szczęścia. Kiedy się już zmroczyło, wybrałem z każdego plutonu po dziesięciu żołnierzy starszych, zatem radniejszych, oraz jednego podoficera i z tym oddziałem ruszyłem ku owym stogom. Po odrachowaniu się do trzech, zapowiedziałem, żeby pierwsze i trzecie numera, zsiadłszy z koni, udały się na stóg siano wiązać, a drugie numera, jako środkowe w trójce, miały trzymać powodowe konie. Zaleciłem cichość i jaknajwiększy pośpiech.

Przechodząc około placówki naszej piechoty, powiedziałem oficerowi dowodzącemu nią, że idziemy do owych stogów siano fasować. Oficer ów żartował, mówiąc, że mu się

zdaje, iż to będzie fałszywy apetyt, bo i kozacy jakoś się ciekawie sianu przypatrywali, ale zdaleka, gdyż się obawiają.

Po podstąpieniu pod pierwszy stóg siana, wzięto się pospiesznie do dzieła. Kazałem mojemu ordynansowi, by mi podał na konia uwiązanego siana, które, jako przezemnie przywiezione, nie szłoby do podziału w szwadronie. Kiedy już znaczna ilość wiązek była na koniach i przedemnie także ordynans włożył już wiązki, a żołnierze z największym pośpiechem wywiązywali resztę, tymczasem oddział piechoty moskiewskiej w ciemności od strony Wisły owemi zaroślami się podsunął i dał do nas ognia. Ci, co byli na stogu, spadali jak gruszki z drzewa, kiedy niem kto dobrze zatrzęsie. Kto był żyw, robił odwrót, popędzany rotowym ogniem, a trzymane konie popuszczano, więc i one się rozbiegły. Inne oddziały, które także ze szwadronów dalej stojących za furazem wysłano, przekonawszy się o tem, co nas spotkało, z drogi się zwróciły. Nadbiegła jednakże nasza piechota i po kilku strzałach wszystko ucichło, bo ciemność była wielka.

Koń mój zaraz po pierwszym strzale wzniósł się i stanął dęba. Sądziłem, że to blask od strzałów zbliiska go nastraszył, podałem mu się więc na kark, zaraz się jednakże ze mną przewrócił. W tym wypadku było tyle dla mnie szczęścia, że miał pod sobą owe wiązki siana i one mi życie uratowały, bom nie został zgnieciony. Poczciwi żołnierze moi, pomimo niebezpieczeństwa, wydobyli mię z trudnością prawie bezprzytomnego zpod zabitego konia. Złożono mnie następnie pod owym czartakiem na granicy, jako miejscu spokojnem, ażebym przy jakim ruchu PUŁKU wśród ciemnej nocy nie był stratowanym, bo tej właśnie nocy wojsko nasze przechodzić miało granicę — czekano tylko rozkazu.

Kiedym cokolwiek odzyskał przytomność, byłem zupełnie bezwładny i czułem nadzwyczajny ból w lewej biodrze. Jak się później pokazało, otworzyła się rana dawniejsza, bo koń zabity na lewym boku mnie przyległ.

PULK nasz każdej chwili za nadejściem rozkazu mógł opuścić zajmowane stanowisko, a zachodziła trudność, jak mnie zabrać w tem nadzwyczajnem zamieszaniu, jeszcze wśród ciemnej nocy. Ambulanse już były przepelnione rannymi i tylko za usilnem staraniem kolegów ułożono mnie w furazerskim furgonie, zapchanym różnemi rupieciami. Choć mi parę koców podłożono, jednakże dla tak cierpiącego, jakim ja wówczas byłem, było-to twarde łoże na deskach bez garści słomy, a furgon po złej drodze tak się trząsł na dobytek, że mógłby zdrowego do choroby przyprowadzić. A jednakże w takim krytycznem położeniu i to trzeba było uznać za wielkie szczęście, bo los nas nie pieścił, a pozostawiony, dostałbym się do niewoli.

Zaczął się ruch. Wojsko nasze przechodziło granicę wśród ciemnej nocy. Uczułem, że i furgon się posuwa, bo mi to wielką sprawiało boleść. Nad ranem PULK się zatrzymał, zatrzymano i pociągi PULKOWE. Było-to już w kraju austriackim, zasłyszałem komendę obcą. Już zaraz od granicy byliśmy pod konwojem, a jak się tylko dzień zrobił, ruszono w dalszy pochód — i zostaliśmy zatrzymani pod Chwałowicami, gdzie PULKOWI wskazano zająć oznaczone stanowisko. Tu był kres naszych usiłowań. Straciliśmy naszą wolność, słowem, byliśmy w niewoli. Każdy z kolegów, który mnie przyszedł odwiedzić z załamionemi oczyma, boleścią zgnębiony, zlorzeczył przeznaczeniu, że nas taki los spotkał po tylu ciężkich trudach. A jaka przyszłość? — tułactwo! — W tem ogólnem zamieszaniu trudno mi było pomyśleć o lepszem umieszczeniu — pozostałem w furgonie. Nadszedł z mojego plutonu podoficer Jaczyński, który mi całą duszą był oddany i on jeden w tem ogólnem zniechęceniu, o ile było w jego możliwości, mną się zajmował, — widocznie z wielką przykrością, widząc mnie dość już cierpiącego, ociągał się z wiadomością, którą mi zmuszony jest powiedzieć, wiedząc, że ona mnie zmartwi. Zmusiłem go do wyjawienia jej zapytaniem:

dlaczego mi mój ordynans nie pokazuje się? — Na co mi odpowiedział: że jego służba już się skończyła, bo przy owym stogu siana został zabity. On szczęśliwszy od nas i niejedynemu tej śmierci zazdrości w dzisiejszym naszym położeniu. Teraz uczulem się zupełnie opuszczonym, a nigdy bardziej jak właśnie teraz, potrzebowałem jego opieki, bo był-to człowiek uczciwy, a tak do mnie szczerze przywiązany, że mógłbym mu zupełnie zaufać i że on-by mnie już nie odstąpił, a w tem nadzwyczajnem zamieszaniu, gdzie już tylko każdy o sobie myślał, jakby się ratować, sam bezsilny, na nikogo już rachować nie mogłem. Kapitan, wskutek otrzymanej rany sam cierpiący, nic mi pomódz nie mógł; poleciłem więc Jaczyńskiemu, by mi mego prywatnego ordynansa przysłał z końmi. Wkrótce mi go przysłano. Był-to poczciwy żołnierz, który z powodu ciężkiej rany pod Grochowem był kulawym i nie mógł już służyć w szeregach. Ale ten, pomimo dobrych chęci, był nieporadny. Nakazałem mu, by mnie już nie odstępował, a konie żywił przy furgonie.

Nadszedł oficer ze szwadronu, Grabowski. Bolesć na jego twarzy dała poznać na pierwszy rzut oka, co się w jego duszy działo. Powiedział mi, że wkrótce mają złożyć broń i że są jacyś agenci, którzy kupują oficerskie konie, jakie sprzedać wolno i że on już swoje sprzedał — jeżeli to sprzedażą nazwać można, bo za bezcen, a jeżeli sobie życzę, to mi ich przyśle. Po jego odejściu wkrótce nadeszli, przyszedł z nimi podoficer Jaczyński. Konie były młode, ale zagłodzone, poleciłem Jaczyńskiemu sprzedać jak będzie można. Agenci zaofiarowali kwotę 30 złr. monetą austryacką. Przyjąłem i byłem kontent, że się pozbyłem kłopotu.

Przysłano rozkaz, by furgon przy nastąpić mającym rozbrojeniu stanął na oznaczonym miejscu. Dlatego zniesiono mnie i ułożono na ziemi tymczasowo, zanim przyjdzie podwoda, której zażądano. Ranni, znajdujący się w ambulansach, także na podwody byli przeniesieni.

Chociaż chorobą znękany mój umysł nie mógł w pierwszej chwili objąć całego ogromu nieszczęścia, jakie nas obecnie dotknęło, to mimowoli nasuwała się myśl, co za okropna czeka nas przyszłość! Dlatego-to zapewne rozprzęgły się stosunki koleżeńskie, bo tu już każdy myślał o sobie. Jedni, jakby się ratować, — inni, ambitniejsi, by coś utargować.

Przy złożeniu broni miały się dziać serce rozdzierające sceny — tak dalece, że niemi nawet nieprzyjaciele mieli być wzruszeni. Jak mi to później opowiadano, zaraz po złożeniu broni ruszono w dalszy pochód, pod konwojem wojska austriackiego. Ja, złożony na podwodzie, należałem do transportowanych. Zatrzymano PUŁK, jeżeli go jeszcze nazwać tak było można — pod Rudnikami, po lewej stronie Sanu, nad samą rzeką, do obozowania. Zostawieni tu byli żołnierze i podoficerowie, otoczeni przez wojsko austriackie, które także obozowało i rozstawiony był łańcuch wart, by się nikt z obozu nie wydalał.

Oficerowie zaś naszego PUŁKU mieli przeznaczone miasteczko Rudnik, które leży po prawej stronie rzeki Sanu, zatem od żołnierzy oddzieleni byliśmy Sanem. Wydalać się z miasta nie było nam wolno, nadzór jednakże nie był bardzo ścisły — ciągle się też liczba więźniów obniżała. Niestety ja, jako chory, pozostać w miejscu musiałem. Miałem wynajęty pokój i jakieś w miejscu pożywienie, za co wszystko dość umiarkowaną cenę płaciłem. Obsługiwał mnie jeszcze mój ordynans, którego z wielką trudnością utrzymać mogłem w czasie mej słabości — był on bowiem rodem z Sandomierskiego, a mając blisko do miejsca rodzinnego, chciał tamże powrócić.

Jedno tu jeszcze nadmienić muszę, mianowicie, że nas agenci pewnej firmy z Krakowa nasłani, niemiłosiernie wyzyskiwali, płacąc za 100 złp., chociaż te miały zupełną pewność, po jedynaście reńskich monetą austriacką, zatem mniej, niż połowę wartości, co w tak przykrem, jak nasze naówczas położeniu, czyniło to położenie jeszcze trudniejszym.

Dla podoficerów i żołnierzy ogłoszono amnestye, a skutkiem owej łaski, wydalono ich z kraju austriackiego i oddano władzom moskiewskim. Ułaskawionym, dozwolono »najłaskawiej« po powrocie do kraju dosłużyć lat, a raczej służyć na nowo, kasując im dosłużone stopnie, w szeregach wojska moskiewskiego i to w korpusach na Kaukazie, w wyprawie do Chiwy pod jenerałem Perowskim — która wyłącznie z samych Polaków była złożoną i tam grób znalazła, jak również w garnizonach sybirskich. Taka-to łaska moskiewska! Oficerowie zaś z korpusu jenerała Ramorino, jako zpod amnestyi wyjęci, udać się musieli za granicę przymusowo.

Tu jest kres wspomnień o PUŁKU 3cim ułanów byłego wojska Polskiego od wyjścia onegoż z garnizonu dnia 2go grudnia 1830 roku po dzień rozbrojenia w Galicji cesarsko-austriackiej.

Jak się wyżej i najsumienniej, chociaż nieudolnie opisało, w czasie wojny nie oszczędzano tego PUŁKU, od początku aż do końca. Przewinęło się też kilku dowódców, co dla PUŁKU nie było z korzyścią, bo się nim szczerze żaden z nich nie zajmował i nie mógł poznać swoich podkomendnych — przez co pomijano często zasłużonych — a mieli żniwo blagierzy, których nigdy i nigdzie po wszystkie czasy nie brakło — oni zaś, jak zwykle, są skrzątni i umięją około siebie chodzić, by się dało coś dla siebie uszczknąć. Była dla tego wyjątku utartą nazwa — której przez cześć dla PUŁKU nie użyję.

Z całego tego PUŁKU pozostała mała liczba oficerów i podoficerów, jak również mała tylko garstka żołnierzy starych, którzy wyszli z garnizonu, powołani do obrony kraju; niechże przynajmniej w tem wspomnieniu jakaś pamięć po tym PUŁKU zostanie. To był jedyny cel niniejszego pisma.



OMYŁKI DRUKU:

				Gdzie wydrukowano	Sławutycze	czytaj	Sławatycze.
		»		»	Wagrów	»	Węgrów.
		»		»	Lag	»	Lęg.
		»		»	Stardyń	»	Sterdyń.
Str. 80	wiersz 7 i 9	od góry	zamiast	Brzoska	czytaj	Brzeski.	
» 87	» 9	»	»	Skurzom	»	Skorcom.	
» 111	» 14	»	»	Tarczyński	»	Tarczyński.	
				czyli Tarczeński	»	czyli Tarczewski.	
» 124	» 8	od dołu	zamiast	i nie niema	do stracenia	czytaj	
				i nie niema	do ubrania.		
» 125	» 12	»	»	Gulowski	czytaj	Gutowski.	



GENERAL BOOKBINDING CO.

QUALITY CONTROL MARK

